



SIECI

MAREK BUDZISZ:

PLAN ZEŁENSKIEGO

**W TEN SPOSÓB
UKRAINA CHCE
WYGRAĆ
WOJNĘ**

**ZNAMY PROGRAM PO.
TO BĘDZIE TOTALNE
ZNISZCZENIE**

**NAGONKA NA MŁODEGO
KONSERWATYSTĘ
JAK Z MARCA '68**

**CO NAPRAWDĘ
ZDARZYŁO SIĘ
W SZCZECINIE?**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 11 (537) 2023
13–19 marca 2023

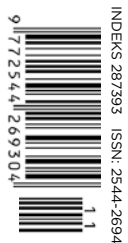
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY:

TAK

**KŁAMIA
O PAPIEŻU**

**POLOWANIE NA WOJTYŁĘ. ZA POMOCĄ MEDIALNEJ MANIPULACJI
PRÓBUJĄ DOKOŃCZYĆ TO, CO ZACZĘŁA KOMUNISTYCZNA BEZPIEKA**



INDICES 287393 ISSN: 2544-2694
9 177234 269304

Telewizja Polsat Box z Disney+ to prawdziwa rozrywka dla całej rodziny



polsat box 

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i internetowej przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe z minimalnym zobowiązaniem od pakietu S z Disney+. Aplikacja Disney+ dostępna na dekodernach polsat box | 4K i polsat box | 4K lite. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl
© 2023 Disney i podmioty powiązane



Uderzenie w Jana Pawła II to uderzenie w naszą wspólnotę

Jeżeli w tym samym czasie kilka różnych mediów atakuje jedną osobę za pomocą przygotowywanych od dawna materiałów, to znaczy, że mamy do czynienia z wcześniej zaplanowaną i precyzyjnie zorganizowaną kampanią. Tak jest w przypadku Jana Pawła II, który stał się obiektem szeroko zakrojonej akcji dyfamacyjnej.

Operacja została oparta na dwóch filarach. Pierwszym jest książka holenderskiego dziennikarza, który wcześniej nie dał się poznać ani jako historyk, ani znawca Kościoła, zasłynął za to jako autor tekstów oskarżających Polaków o rusofobię i antysemityzm. Wypromował także Marka Lisińskiego, który udawał ofiarę księdza pedofila, a w rzeczywistości okazał się oszustem.

Drugim filarem wspomnianej akcji stał się siódmy już z kolei odcinek z cyklu reportaży TVN24 zajmujących się pedofilią w Kościele. W poprzednich mimo wielu starań autorom nie udało się udowodnić tezy, iż Jan Paweł II tuszował skandale pedofilskie jako papież. Teraz postanowili zająć się okresem, gdy sprawował posługę biskupią w Krakowie. Ich materiał jest utrzymany w stylistyce gatunku seriali o seryjnych mordercach w stylu Teda Bundy'ego czy Andrieja Czikatili: ponure obrazy, mroczna muzyka, powoli przesuwające się kadry, budzące niepokój i oddziałujące na emocje. Właściwie od pierwszych chwil wiadomo, że film jest o przestępcy.

Cała narracja została podporządkowana z góry założonej tezie, wywołując liczne zastrzeżenia zawodowych historyków. Zarzucili oni reportażowi wiele przekłamań, nieścisłości, korzystanie z niewiarygodnych źródeł, brak weryfikacji materiałów, ahistoryczność, prezentyzm – tę listę można ciągnąć jeszcze długo. Cóż jednak z tego, skoro w świat poszedł przekaz, powtarzany przez wiele pudeł rezonansowych, że Karol Wojtyła tuszował afery pedofilskie.

Tymczasem z materiałów przedstawionych w reportażu wcale to nie wynika. Dziennikarze „Rzeczpospolitej”, którzy badali dwa z trzech przedstawionych przez TVN24 przypadków, doszli do odmiennych wniosków. Jeden z nich, Tomasz Krzyżak, mówi: „Nie chodzi o to, czy Karol Wojtyła wiedział o tych przypadkach, bo odpowiedź na nie jest prosta – tak, wiedział. Pytanie zasadnicze brzmi: ile wiedział i co z tą wiedzą robił?”. Reporter TVN nie ma problemu z odpowiedzią, sadząc Jana Pawła II na ławie oskarżonych. Jednak wielu historyków komentujących wspomniany reportaż ma zbyt dużo krytycznych uwag do warsztatu i metod oskarżyciela, by traktować jego ustalenia poważnie.

Powiedzmy sobie szczerze: problem pedofilii wśród księży jest patologią, którą trzeba wyplenić; cierpienie ofiar woła o pomstę do nieba, domagając się ukarania sprawców i ustalenia prawdy. Media lewicowo-liberalne wykorzystują jednak realną tragedię do swoich celów: obciążenia Karola Wojtyły odpowiedzialnością za tuszowanie haniebnego procederu, co miało skutkować pobłażliwością dla pedofilów w sutannach już w trakcie jego pontyfikatu. Ta teza – oznaczająca *de facto* uśmiercenie moralne papieża – została postawiona bez żadnych niezbitych dowodów, za pomocą materiału dalekiego od obiektywizmu, pełnego za to insynuacji i manipulacji. Okazuje się więc, że można postać uważaną we wszystkich badaniach za największego bohatera w historii Polski oskarżyć o współudział w przestępstwie bez rzetelnie zebranego materiału dowodowego. Nic dziwnego, że wielu Polaków poczuło się tak, jakby ktoś napluł im w twarz.

Stawką tej akcji dyfamacyjnej nie jest tylko dobre imię Karola Wojtyły. Moralna delegitymizacja Jana Pawła II to mocne uderzenie w Kościół katolicki, który odpowiedź na wyzwania dzisiejszych czasów czerpie w dużej mierze z nauczania Jana Pawła II. To także cios w sam zwornik współczesnej polskości, której papież jest najlepszym uosobieniem. To uderzenie w naszą wspólnotę, dla której pozostaje on ostatnim wielkim autorytetem. Tak więc w ostateczności jest to jeden z kluczowych elementów walki o przyszły kształt cywilizacyjny, kulturowy i religijny naszego kraju, o jego duchowe i ideowe oblicze. Po prostu bóg o duszę Polski.

Grzegorz Górny



28

Zamach na ziemię
Marcin Wikło



48

Z poligonu prosto w bój
Andrzej Rafał Potocki



69

Warszawa 1905
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 PSL 2050**
Krzysztof Feusette
- 9 NIKT TAK NIE POTRAFI ZAATAKOWAĆ KOBIETY JAK INNA KOBIETA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 FAJERWERKI HIPOKRYZJI**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 ETOS AK-OWCA – ETOS UBEKA**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA TERESY BOCHWIC**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 DOŚĆ CHAOSU W PLANOWANIU PRZESTRZENNYM**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 TO ZDJĘCIE**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 ANATOMIA MANIPULACJI**
Milena Kindziuk
- 26 KOGO ZAATAKUJĄ PO ŚW. JANIE PAWLE II?**
Marzena Nykiel

KRAJ

- 28 ZAMACH NA ZIEMIĘ**
Marcin Wikło
- 32 PATRIOCI KONTRA WASALE**
Stanisław Janeczek
- 34 ZNAMY PROGRAM PLATFORMY**
Konrad Kołodziejski
- 38 POLITYKA W CIENIU TRAGEDII**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 40 NAGONKA NA MŁODEGO KONSERWATYSTĘ**
Goran Andrijanić
- 42 CZERSKA W LUPANARZE**
Dariusz Matuszak
- 46 TĘSKNOTA ZA BEZKARNOŚCIĄ**
Dorota Łosiewicz
- 48 Z POLIGONU PROSTO W BÓJ**
Andrzej Rafał Potocki
- 52 Z PIOTREM SKWIECIŃSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

ŚWIAT

- 56 PLAN ZEŁENSKIEGO. JAK UKRAINA CHCE WYGRAĆ WOJNĘ I PRZYSZŁOŚĆ?**
Marek Budzisz

- 59 CENA ZA DOMOWĄ WAŚŃ**
Jan Rokita
- 62 IZOLACJONIŚCI I JASTRZĘBIE**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

- 64 UKRAINEC W SZEREGACH POWSTANIA STYCZNIOWEGO**
Artur Jagnieża
- 66 JERZY URBAN NA CELOWNIKU SB**
Grzegorz Majchrzak

SIECI KULTURY

- 69 WARSZAWA 1905**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 72 NASZE HISTORIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 74 SIKORKI I FRAKTALE**
Robert Tekieli
- 75 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 76 POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 78 Z JANEM ŻARYNEM**
rozmawia Maciej Walaszczyk
- 80 WEGAŃSKA ZASADZKA**
Aleksander Nalaskowski

PODRÓŻE

- 90 MOJE SZLAKI: JÓZEF RACINIEWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 92 DZIENNIKARSKA ŻENADA**
Wojciech Reszczyński
- 93 CUD MIESZKANIOWY**
Aleksander Nalaskowski
- 94 BROŃMY PŁATNOŚCI GOTÓWKOWYCH**
Jan Pospieszalski
- 95 ODEZWA WALCZĄCEJ MŁODZIEŻY**
Jerzy Jachowicz
- 95 ROSJANKA NA URODZINACH CHOPINA**
Adam Ciesielski
- 96 WIEJE GROZĄ**
Ryszard Makowski
- 97 COŚ MNIE OMIJA**
Leszek Długosz
- 98 WOLNOŚĆ W TROPIKANIE**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



AKADEMIA
KOPERNIKAŃSKA

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Akademia NBP współpracuje ze Szkołą Główną Mikołaja Kopernika.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, został nominowany na członka Akademii Kopernikańskiej podczas Światowego Kongresu Kopernikańskiego. W trakcie Kongresu odbyło się spotkanie przedstawicieli banków centralnych, którzy zaangażowali się w rozwój Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika.



Naszym głównym celem jest kierować programowo Szkołą Główną Mikołaja Kopernika, która będzie prowadzić wykłady na wszystkich szczeblach z ekonomii, zarządzania i finansów [...] Zależy nam na tym, aby na wykłady Akademii NBP przyjeżdżali wykładowcy z całego świata, ci najlepsi, z czołowych ośrodków uniwersyteckich [...] – powiedział prof. Adam Glapiński po otrzymaniu nominacji.

Więcej o kursach na:
akademia.nbp.pl

obserwator
finansowy.pl



BANK I KREDYT
BANK & CREDIT

Sygnalista nadaaje

🔊 Ambasador Niemiec w Polsce Thomas Bagger uważa, że historia powinna skłaniać nas do budowania lepszej teraźniejszości i przyszłości, a żądanie reparacji nie jest sposobem na kontynuowanie pojednania. „Ta sprawa jest zamknięta z punktu widzenia prawa, choć moralnie zamknięta nigdy nie będzie. Mam pytanie do polskiego rządu: czy wystawianie nowych rachunków za stare rany jest najlepszym sposobem na osiągnięcie lepszego sąsiedztwa między Polakami a Niemcami?” – pytał w „Newsweeku”. To nie są nowe rachunki, to są stare rachunki, które nie zostały uregulowane.

🔊 Zdaniem Baggera pomysł, iż Polska mogłaby spożytkować swoje pięć minut na politykę prowadzoną przeciwko Niemcom, jest karkołomny. „W obecnym kryzysie dostrzegam wielką szansę dla relacji polsko-niemieckich. Coraz mocniej przyciągają nas do siebie wspólne interesy” – przekonuje dyplomata i podkreśla: „Rozumiem pewną dozę sceptycyzmu, ale mówienie, iż Niemcy miały przyjazne relacje z Rosją, nie jest jednak fair. To skończyło się po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie”. Szkoda, że rzecz dokonała się w sposób niezauważalny dla opinii publicznej – zarówno polskiej, jak i niemieckiej.

🔊 W podobnym tonie wypowiada się **Paweł Kowal**: „Kancelarz Olaf Scholz w Waszyngtonie, nowy minister obrony Niemiec, niemiecka fabryka czołgów na Ukrainie – kolejne znaki dla Mateusza Morawieckiego, że czas kończyć z polityką antyniemieckiego fiksum dyrdum. W czasie wojny na Ukrainie rząd musi szybko zmienić politykę wobec Niemiec” – przekonuje

poseł KO. Wniosek z tego oczywisty: niczego nie zmieniać, twardo trzymać niepodległościowy kurs i krok po kroku wychowywać sąsiada w duchu szacunku do naszego państwa.

🔊 **Donald Tusk** pozwał Telewizję Polską za wielokrotne przypomnianie w programach informacyjnych jego własnych słów „für Deutschland” (dla Niemiec). Według przewodniczącego PO fraza została przez TVP wyrwana z kontekstu i powtarzana, by niszczyć jego wizerunek. Tusk domaga się zakazu rozpowszechniania „w jakiegokolwiek formie informacji oraz bezpodstawnych zarzutów, jakoby powód rzekomo działał w interesie Niemiec, a przeciwko Polsce i Polakom – poprzez zakazanie pozwanym publikowania fragmentu przemówienia, w którym padają słowa »für Deutschland«”. Bardzo daleko idące roszczenie. Nawet najbardziej rozgrzane sądy nie są w stanie ani zmienić przeszłości, ani napisać historii na nowo.

🔊 Po tragicznej śmierci syna posłanki PO totalna opozycja wpadła w prawdziwy amok. Rzecz wygląda na reżyserowaną: chodzi o zaszczucie mediów publicznych oraz uzyskanie przewagi psychologicznej. Padają bardzo grube słowa. Tomasz Lis posunął się do takich oto stwierdzeń: „Żyjemy w państwie faszystowskim. Jak tego nie powstrzymamy, to za chwilę takich tragedii będzie dużo więcej. Polacy, pobudka”. I dalej: „Hieny z TVPiS szczują na opozycję i wszelkich oponentów jak naziści na Żydów. Nienawiść zabija. Goebbels Info”. Notujemy te spazmy nie tylko w celach kronikarskich, lecz także radzimy mediom opozycji: spójrzcie w lustro. Kampanie wielodniowego niszczenia

🔊 „Planujemy budowę nowego morskiego podejścia do Świnoujścia, które omijając wody niemieckie, całkowicie uniezależni nas od zachodniego sąsiada. W ten sposób wychodzimy ze wszelkich uzgodnień transgranicznych, a przede wszystkim z raportów oddziaływania środowiskowego” – poinformował Marek Gróbarczyk, wiceminister infrastruktury odpowiedzialny za gospodarkę morską. Fakt, że musimy podejmować takie decyzje, wiele mówi o rzeczywistych intencjach władz w Berlinie.

wybranego celu i jego odczłowieczanie (także na okładkach „Newsweeka”) to wasz wynalazek i wasza praktyka. Prawica działa w samoobronie.

 Zobaczmy, jak to działa w praktyce. Po śmierci syna posłanki rozpętano nagonkę na studenta Uniwersytetu Warszawskiego Oskara Szafarowicza, członka Forum Młodych PiS, który zabrał głos w sprawie pedofila z PO („Najbardziej wstrząsające jest to, że matka ofiar pedofila z PO [...], znana posłanka PO, milczy od ponad roku, stawiając karierę partyjną ponad dobrem dzieci”). Daria Brzezicka, studentka prawa na Uniwersytecie Warszawskim i rzecznik Unii Europejskich Demokratów, zapowiedziała interwencję u władz uczelni w sprawie dyscyplinarnego usunięcia Szafarowicza z UW. Zbieranie podpisów w tej sprawie wsparli także niektórzy profesorowie. A wszystko dokładnie w rocznicę wydarzeń z Marca 1968. Jak to brzmiało? „Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale po kres moich dni będę bronił twego prawa do ich głoszenia”. Liberalowie już tego cytatu nie przywołują. Wiedzą, jak fałszywie brzmiałby w obecnych warunkach.

 W rozmowie z portalem wPolityce.pl Oskar Szafarowicz tak opisał swoją sytuację: „Mama otrzymała już ponad 100 wiadomości prywatnych wymierzonych we mnie. Są wulgarne komentarze pod moim adresem, ale jest też masa gróźb karalnych, życzeń śmierci. Dotyczą mnie, moich rodziców, a nawet dalszej rodziny. Nazywany jestem wprost mordercą, podczłowiekiem – pojawia się wręcz retoryka totalitarna. Jest bardzo dużo zapowiedzi, że zniszczą moich rodziców, coś im się stanie. Te sprawy oczywiście będziemy zgłaszać na dniach na policję. Pewnie to też próba zastraszenia mnie, bym się wycofał z działalności publicznej. Moi rodzice są przerażeni tym, jak można stosować takie metody, posługiwać się takim językiem. Bardzo się boją, czy mi się coś nie stanie”. Nawet jeden człowiek, jeśli jest odważny i mocny, może zrobić zdumiewająco wiele. Nawet na UW.

 Znany z postulatu delegalizacji PiS prof. Maciej Górecki z UW chce sprawę rozwiązać systemowo: „Społeczeństwo obywatelskie powinno zorganizować bojkot pracodawców zatrudniających osoby pracujące w TVP na miesiąc przed wyborami i później. Oczywiście Kłeczek, Graczak, Klarenbach czy Ogórek do więzienia, to jest rola demokratycznego państwa”. Później doprecyzował: „Różne osoby pytają mnie, z jakich paragrafów chciałbym skazać Kłeczka, Graczaka, Ogórka czy Feusette’a. Otóż z tego samego, co Przylebską czy Manowską: pomocnictwo w neofaszystowskim zamachu stanu. To jest możliwe, musimy tylko zebrać mocny team prawni-

ków, ale też politologów”. Zbierajcie, zbierajcie. Górecki powinien przewodniczyć, choćby po to, by kabaretowość całej sceny wybrzmiała w pełni.

 Atakowi na TVP towarzyszy atak na Jana Pawła II prowadzony przez TVN i „Gazetę Wyborczą”. Cel jasny: chcą zrobić papieża w rolę tego, który tolerował pedofilię w Kościele. Stefan Niesiołowski już wzywa, by usuwać pomniki: „Te wszystkie pomniki JPII powinny być dyskretnie usunięte. Nie da się już jego obronić. Fakty, jakie są i jeszcze będą ujawniane, świadczą, że papież po prostu krył pedofilów. I właściwie powoli trzeba zapominać o tej postaci. Pomniki za to będą usunięte, prędzej czy później”. W latach 90. Niesiołowski kompromitował konserwatywną prawicę nadmierną agresją i radykalizmem, dziś już otwarcie atakuje polskie świętości. Trudno uwierzyć, że to przypadek.

 **Ślawomir Nitras**, który zasłynął wypowiedziami o opilowaniu katolików, tym razem apeluje do sympatyków opozycji o taktyczną rozwagę. „Pomysł atakowania pomników, ulic i placów to podawanie ręki PiS upadającemu pod ciężarem własnych draństw” – ocenia poseł PO. Za późno. Zapach Koalicji Europejskiej z 2019 r. jest już bardzo wyraźny. Być może właśnie w tych dniach opozycja przegrała wybory.

 Donald Tusk przedstawił projekt zakładający nieoprocentowany kredyt na pierwsze mieszkanie dla ludzi do 45. roku życia oraz 600 zł dopłaty do najmu mieszkań. Odsetki kredytów miałyby refinansować BGK. Przy okazji lider PO ukradł lewicy hasło „Mieszkanie prawem, nie towarem”. Do pomysłu lidera PO odniósł się Janusz Wojciechowski – twórca J. W. Construction. „Do głowy by mi nie przyszło, że Donald Tusk wyjdzie z takim programem. Muszę mu pogratulować. Znalazł dobry patent na kryzys w naszej branży. Może to i nawet zbyt duży ukłon w naszą stronę”.

 „W ciągu niespełna dwóch lat na granicy polsko-białoruskiej zginęło więcej osób niż w ciągu 50 lat na granicy między NRD a RFN. To morderstwo” – wypalił niemiecki „Tageszeitung”. „Granica między Polską a Białorusią jest obszarem wojskowym o ograniczonym dostępie. Umierają tam uchodźcy szukający ochrony w Europie, a ukraińscy uchodźcy są ciepło przyjmowani. Jak to możliwe?” – pytał Caspar Shaller na łamach gazety. Cóż, jedni są sztucznie ściągniętymi uchodźcami, których celem jest utworzenie drogi czołgom Putina, a drudzy są rzeczywistymi uchodźcami. Ale publikacja to także ostrzeżenie: chyba w związku z pomocą Ukrainie mamy zbyt dobrą prasę i znów ktoś bardzo chce oczernić Polskę.

PSL 2050



KRZYSZTOF FEUSETTE

– Halo, Władziu?
 – Władziu, a co?
 – Szymek z tej strony.
 – No, wiem, poznałem po chlipaniu...
 – Przecież... ja... nie płaczę...
 – Dobra, dobra. Znam to, pierwsze lata są najgorsze. „A, weź. Władziu, OFE, a, weź, Władziu, emerytalną...”, a Władziu biegł jak kot z pęcherzem. Dobrze przynajmniej, że ludzie nie pamiętają.
 – Czy możemy się spotkać?
 – A po co?
 – Po to, że wydaje mi się, iż powinniśmy porozmawiać.
 – A o czym?
 – O naszej współpracy.
 – No, przecież idzie świetnie. Podcasty sobie nagrywamy, spotkania robimy, nawet córki mamy, he he, wspólnie...
 – Nie idzie świetnie.
 – Słucham?
 – Czy... czy...
 – Czy „co”?
 – Czy... taś?
 – Szymonku, czy mógłbyś przestać się mazać i powiedzieć, o co chodzi? Co się stało? Ktoś cię uderzył?
 – Tak.
 – Kto.
 – Sondażownie! Czytałeś ostatnie wyniki, Wladek?!

– Pe-e-zelu, owszem. Bardzo ładne. Na inne nie patrzę, żeby nie zapeszyć.
 – Ale co zapeszyć?! Tu za chwilę nie będzie, co zapeszać! Ja miałem 15 proc. w prezydenckich, potem Tusk wrócił i zjechało do 11, „Wyborcza” się na mnie rzuciła i zostało 9. A teraz?!

– No, ile?
 – 7 proc.! Rozumiesz? Miałem mocne wino, a został mi słaby porter! Ile wy macie?
 – Oj, daj spokój, po co taka licytacja?
 – Ile?
 – No, teraz to... między sześć a osiem.
 – Jak żeśmy się łączyli, to mieliście o trzy mniej?
 – Możliwe.
 – A teraz macie trzy więcej, a my o trzy mniej?
 – Szymon, to są drobiazgi. Idziemy razem, nieważne, kto ma więcej. To znaczy ważne o tyle, że ten kto ma więcej, ustala listy wyborcze, prawda? Ale dla ciebie, Koboski i Hennig-Kłoski, jak powiedziałby poeta, miejsca będą zawsze i wszędzie. Pamiętasz, co ci mówiłem? Ty masz poparcie, my struktury, zrobimy tak, żebyś ty miał struktury, a my poparcie. I co?
 – Z czym?
 – Masz struktury?
 – Skąd mam mieć? Wyście mieli zapewnić.
 – No tak, za wasze poparcie. Ale skoro teraz mamy swoje, to po co nam wasze?
 – Władziu, cieszę się twoim szczęściem, ale nie tak miało być...
 – Tylko mi tu nie płacz. Nie możemy obrażać się na wyroki demokracji, nawet jeśli tylko sondażowe. Miałeś być nowy, świeży,

pełny pomysłów. Ja, to znaczy, my, ruch ludowy, bardzo cię polubiliśmy, Rysiu, to znaczy, Szymku. A że przechodziliśmy akurat z tragarzami, to wpadliśmy pomóc.

– Wy nam? A kto pod progiem leżał i kwiczał? Kto błagał, żeby go do metropolii wpuścić na salony? Co innego mówiłeś, Władziu, jak żeśmy pakt podpisywali!

– A ten swoje, jak dziecko. „Cio innego mówiłeś...”, „cio innego lubiłeś...”, Szymku, to jest polityka, a nie zajęcia w miniklubie. Jeszcze się nie zorientowałeś, że ważne jest tylko ostatnie słowo? Co nie znaczy, że wiążące. Gdyż wszystko płynie.

– I w takim szambie siedzisz od lat?

– A ty po coś tu wlaż?

– Już mówiłem: przyszedłem do polityki po to, żeby z niej wyjść.

– Znalazł się, cały na białą. Lepiej sobie przypomnij, co mówiłeś o aborcji kiedyś, a co teraz. Albo o małżeństwach

jednopłciowych. Taki z ciebie konserwatysta – za 2,50.

– A ty? Spójrz w lustro, Władziu. Kto z tęczowymi diamentami poszedł? Mnie w Rafalalę nie zrobisz, pamiętam, jak głupa rżnęła, że tęcza to jest znak spółdzielni Społem. „Społem”, he he, chyba, „z chłopem”, co?

– Dobra, kończ, bo muszę listy układać.

– Jakie?

– Polecone i ekspresy. Bo ja na pocztę pracuję. No, jakie, Einsteinie? Oczywiście, że wyborcze.

– Do Senatu?

– Do Sejmu.

– To my... jednak.... nie idziemy... razem?

– Ale gdzie? Popłakać do kina?

– Do wyborów.

– A kto tak powiedział? Zresztą poważna partia, a taką jest Pe-e-zel pod moim skromnym przywództwem, musi być przygotowana na każdy wariant, każdą liczbę list, każdy termin wyborczy, każdy układ kart do głosowania, a zwłaszcza to ostatnie, gdyż przyniosło nam kiedyś w wyborach samorządowych 700 tys. głosów więcej. Zatem listy muszę mieć gotowe tak czy siak. A jeśli pójdziemy razem, co przecież ciągle jest możliwe, wtedy dokona się korekt. Jeszcze coś?

– Czyli, że... nie możemy się spotkać?

– Możemy. Ale najlepiej, kochany, już po wyborach. No, przecież mamy jeszcze kilka spotkań, to sobie pożartujemy, jak będziesz jeszcze miał ochotę. A tak to ja wolę popracować. Rośnie nam poparcie i głupio by było...

– Moim kosztem!

– A skąd! Tobie zabiera Tusk. Zresztą zrobimy po wyborach badania, to się dowiemy. Halo, Szymon, ty jednak płaczesz?

– Nie! To znaczy nie wiedziałem, że słycać. Bo ja już mam dość. Mnie ciągle albo śmieciarka na lajfie przed samochód wejeżdża, albo ktoś mi stronę wykupuje, zanim zdążę, albo świetlówka nie działa, albo mnie internauci zaczepiają, kiedy do TVN wrócę...

– Widzisz, mówiłem, najtrudniejsze są początki. Z czasem nabierzesz odporności i będziesz chłop na schwał. Kto wie, może nawet ludowiec?

Nikt tak nie potrafi zaatakować kobiety jak inna kobieta

Co jakiś czas postanawia o sobie przypomnieć Kinga Rusin. Kiedyś dziennikarka, dziś bizneswoman i celebrytka, co jakiś czas dzieli się z opinią publiczną zdjęciami z różnych egzotycznych miejsc, w których właśnie przebywa. Raz dom w Grecji, raz w Kostaryce. I pięknie. Jak ktoś może, niech używa życia. Jednak oprócz dzielenia się z szeroką publicznością radością z życia pani Rusin dzieli się też swoim niezadowolaniem z sytuacji w Polsce, w której rzadko mieszka. W sumie trochę się dziwię, że skoro tak ją mierzi sytuacja w kraju, to ma ochotę się nią zajmować, ale do tego też ma prawo. Ja mam z kolei prawo nie zgadzać z jej przemyśleniami się oraz podzielić się tą niezgodą z naszymi czytelnikami.

Tym razem Kinga Rusin za celatku postawiła sobie pierwszą damę Agatę Kornhauser-Dudę. Powodem do szturmowały być okrągłe urodziny byłej dziennikarki oraz Szczyt Kobiet Forbes 30/50 na temat roli pierwszych dam oraz wystąpienia Oleny Zelenskiej i Hillary Clinton. Na tej fali Rusin wystosowała do polskiej prezydentowej apel. „Apeluję, żeby wreszcie rozpoczęła Pani realne i widoczne działania zmierzające do końca piekła kobiet w Polsce!” – zażądała. Była dziennikarka przypominała orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. „Zlekceważono protesty i opinię olbrzymiej większości kobiet. W ten sposób przedmiotowe traktowanie kobiet stało się w Polsce, kraju w środku Europy (!), normą również prawną. Stałyśmy się inkubatorami. Odebrano nam fundamentalne prawo do decydowania o sobie. Jesteśmy upokorzone” – napisała.

Zarzuciła też pierwszej damie, że nie staje ona w obronie kobiet: „Nie broni Pani kobiet, nie solidaryzuje się z nami, nie wykonuje żadnych gestów w naszą stronę! Nie padły z Pani ust żadne słowa oburzenia przeciw brutalności policji w czasie protestów kobiet. Raz tylko głośno zastanawiała się Pani, czy zmuszać kobiety do heroizmu. »Mam wątpliwości«. Wątpliwości?” – atakowała celebrytka. Zdaniem Rusin bycie pierwszą damą

zobowiązuje, a kobiety w Polsce oczekują, że żona prezydenta będzie działać w ich sprawach.

Była dziennikarka ma też pretensje do Agaty Kornhauser-Dudy, że nie apeluje do hierarchów kościelnych, którzy „o kobiecych macicach mają więcej do powiedzenia niż ich posiadaczki, nie prowadzi szeroko zakrojonej kampanii wśród polityków rządzącej partii, nie apeluje do prokuratury o zaniechanie stosowania drakońskiego prawa”. I jak zakończyła, brakiem oczekiwanej reakcji prezydentowa „udowadnia, że los kobiet i ich prawa są dla Pani mniej ważne niż »jedynie słuszna« ideologia i kościelna doktryna, albo – co chyba byłoby najgorsze – święty spokój”.

To oczywiście nie pierwszy atak ze strony kobiet na pierwszą damę. Była ona już nazywana „polską, katolicką odpowiedzią na Barbie”, „milczącą kukłą, która stoi i ładnie się uśmiecha!”, „ładnie ubraną panią u boku uśmiechniętego pana z długopisem”. Z ust kobiety padły też słowa: „Taki stereotyp, że jak ktoś jest ładny, dobrze się ubiera, zna języki i ma fajnego i mądrego ojca, sam musi być mądry i fajny. No nie, to się nie sprawdza”. Długo by wymieniać liczne obelgi, które padały pod adresem Agaty Kornhauser-Dudy.

Wielka szkoda, że Kinga Rusin i jej koleżanki nie potrafią uszanować decyzji pierwszej damy odnośnie do tego, jak będzie sprawować swoją funkcję. Już na początku swojej działalności Agata

Kornhauser-Duda zdecydowała nie prowadzić polityki ani nie być politykiem. Wybory

wygrał jej mąż, nie ona. I dlatego prezydentowa robi to, co założyła sobie na początku pierwszej kadencji męża.

Konsekwentnie nie rozmawia z mediami i nie daje się wciągać w polityczną awanturę. Dużo jeździ po kraju, odwiedza szpitale, szkoły, hospicja, zachęca dzieci do czytania. Pochyla się nad losem niepełnosprawnych. Prowadzi niezwykle aktywną działalność publiczną, ale nie w blasku fleszy i nie w świetle jupiterów. Tak zdecydowała. I ma do tego prawo. Ale wciąż będzie pojawiał się ktoś, kto na jej plecach zechce sobie poprawić zasięgi i stawiać żądania. Nikt tak nie potrafi zaatakować kobiety jak inna kobieta. Prezydentowa już się chyba do tego przyzwyczaiła.

Dorota Losiewicz





Fot. Paceman/Shutterstock.com

Auta spalinowe mogą przetrwać

Niemcy

W poprzedni wtorek, 7 marca, Rada Unii Europejskiej miała głosować nad zatwierdzeniem zakazu rejestracji nowych samochodów spalinywych i hybrydowych, który miał wejść w życie od 2035 r. Ostatecznie jednak do głosowania nie doszło i zostało ono przesunięte na nieokreślony czas. Przyczyną tej niespodziewanej zwłoki jest sprzeciw Niemiec, których rząd nie wypracował w tej kwestii jednolitego stanowiska.

Nie od dziś wiadomo, że działaniami rządu niemieckiego w dużym stopniu kierują interesy tamtejszego wielkiego biznesu – tak było choćby przy katastrofalnym w skutkach forsowaniu importu rosyjskich surowców strategicznych. Wiadomo też, że jednym z filarów niemieckiej gospodarki jest przemysł motoryzacyjny, a wielka elektryfikacja motoryzacji planowana przez Unię Europejską mocno uderza w przyszłość

tej branży. Nie chodzi tylko o to, że samochody elektryczne będą droższe i mniej funkcjonalne dla masowego klienta, lecz także o finansowe skutki rewolucji technologicznej, która odeśle w niebyt producentów całych zespołów napędowych – zarówno silników spalinywych, jak i sprzęgieł, skrzyni biegów i mnóstwa innych urządzeń, w jakich wyspecjalizowały się niemieckie firmy. Krótko mówiąc, zakaz rejestracji aut spalinywych to ogromny cios dla niemieckiej gospodarki, co zresztą sygnalizowali już przedstawiciele tamtejszych koncernów motoryzacyjnych. W ich obronie stanął minister transportu Volker Wissing z FDP. Przeciwwstawił się on ministerstwu klimatu kierowanemu przez Zielonych, które promuje elektryfikację.

Wissing uważa, że cele klimatyczne Unii nie muszą być sztywno związane

z napędem elektrycznym, chodzi bowiem o zmniejszenie emisji CO₂, a to można osiągnąć również w inny sposób, np. przez neutralne ekologicznie paliwa syntetyczne, które z powodzeniem można stosować w silnikach spalinywych. Taki rodzaj paliwa, które jest wytwarzane z wodoru, bardzo odpowiada nie tylko niemieckim firmom motoryzacyjnym, lecz także tamtejszej branży chemicznej, która od II wojny światowej jest liderem technologicznym w tej dziedzinie. Ofensywa reprezentującego niewielką partię koalicyjną Wissinga ma również wymiar polityczny, bo według sondaży aż trzy czwarte Niemców chce, by ich następny samochód miał silnik spalinyowy. Wissing domaga się więc, by nowe regulacje unijne dopuszczały paliwa syntetyczne. Jego żądanie poparły już Czechy i Włochy, a za nimi może pójść większość krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Ale nie wszyscy są zachwyceni. Wiele firm motoryzacyjnych, w szczególności technologicznych start-upów liczących na przejęcie rynku od starych wyjadaczy, obawia się, że spodziewane zyski przejdą im koło nosa. Podobnie myślą te koncerny, które zainwestowały już mnóstwo pieniędzy w rozwój aut elektrycznych. Bitwa będzie się więc toczyć dalej.

Konrad Kolodziejcki

W ostatnich latach przez Morze Śródziemne dociera do Europy coraz więcej nielegalnych imigrantów z Afryki Subsaharyjskiej. Zazwyczaj dochodzą do nas informacje o problemach, które mają z tym zjawiskiem Włosi lub Hiszpanie. Okazuje się jednak, że jest to coraz większy kłopot dla nadmorskich państw Maghrebu, które służą jako punkt przelotowy wykorzystywany przez przemytników ludzi.

Niedawno prezydent Tunezji Kais Saied, przemawiając na spotkaniu poświęconym bezpieczeństwu narodowemu, zadeklarował konieczność podjęcia pilnych środków nadzwyczajnych przeciwko zbyt wielu nielegalnym przybyszom pochodzącym z głębi Czarnego Łądu. Obwiniał ich o rosnącą przestępczość oraz o zmianę składu demograficznego Tunezji.

Mimo krytyki ze strony organizacji praw człowieka zarzucających prezydentowi rasizm Kais Saied powtórzył nazajutrz swoje oskarżenia, dodając, że trwa wymierzony w Tunezję spisek mający na celu spowodowanie zmian de-

Przeciw nielegalnej imigracji



Tunezja

mograficznych w takim kierunku, by stała się ona krajem mniej arabskim i mniej islamskim. Rozkazał też służbom specjalnym aresztowanie wszystkich cudzoziemców nieposiadających dokumentów. Nie wiadomo, ilu Afrykańczyków o nieuregulowanym statusie mieszka w Tunezji, ale z dnia na dzień zaczęli być wyłapywani na ulicach, a wielu z nich straciło pracę w miejscach, gdzie pracowali na czarno. Niektórzy schronili się w ambasadach swoich państw, prosząc o repatriację.

Kilka rządów, m.in. Gwinei i Wybrzeża Kości Słoniowej, wysłało samoloty czarterowe do Tunisu, by ewakuować własnych obywateli do ojczyzny. Zgromadzenie plenarne Unii Afrykańskiej, skupiającej 55 krajów kontynentu, wyraziło zaniepokojenie działaniami tunezyjskich władz. Restrykcje zapowiedziały też międzynarodowe organizacje finansowe, o których wsparcie zabiega Tunezja. Kais Saied i jego współpracownicy nie przejmują się jednak tą krytyką ani nie zamierzają zbacać z obranego kursu.

Grzegorz Górny

Fot. Hasan Moad/Shutterstock.com

Ukarana za arogancję

USA



Lori Lightfoot (na zdj.) nie będzie już burmistrzem Chicago. To pierwszy od 40 lat przypadek, gdy urzędujący burmistrz tego miasta przegrywa reelekcję.

W 2019 r. większości wyborców nie przeszkadzało, że skrajnie lewicowa, czarnoskóra lesbijka wychowująca wraz ze swoją żoną córkę przejmie władzę w chicagowskim ratuszu. Teraz Lightfoot winę za swoją porażkę zrzuca oczywiście na rasizm. „Jestem czarną kobietą – nie zapominajmy. Niektórzy ludzie nie wspierają nas w rolach przywódczych” – oświadczyła. Jednak zdaniem komentatorów padła ofiarą wyłącznie własnej arogancji i niekompetencji.

Wpadek na tym tle zaliczyła wiele. Deklarując się jako zwolenniczka zeroemisyjnego transportu, zaparkowała swój samochód na ścieżce rowerowej, by kupić pączki w cukierni. W czasie pandemii zamykała zakłady fryzjerskie, by potem fotografować się bez maseczki podczas strzyżenia włosów. Wprowadziła też nieograniczone prawo do aborcji dla kobiet ze stanów, w których jest ona zabroniona, przy czym Chicago wzięło na siebie finansowanie zabiegów wraz kosztami związanymi z podróżą i zakwaterowaniem w mieście. Zapowiedziała też, że nie będzie udzielać wywiadów białym dziennikarzom, ponieważ uznała, że w lokalnych mediach pracuje zbyt wielu białych mężczyzn.

Przed czterema laty obiecywała walkę z korupcją i przestępczością. Tymczasem pod jej rządami zanotowano jej rekordowy wzrost. Jak wynika z raportu departamentu policji, na koniec 2022 r. zwiększyła się liczba kradzieży samochodów, włamań i rozbojów, a aż 63 proc. mieszkańców miasta deklaruje, że nie czuje się bezpiecznie.

Większość miast, w których szaleje przemoc, jest dziś rządzona przez demokratów i ich mieszkańcy – zarazem wyborcy demokratów – poczuli się poważnie zagrożeni. Czerwona kartka dla Lightfoot została więc odczytana jako sygnał ostrzegawczy m.in. w Nowym Jorku (wzrost przestępstw o 18 proc.) i w Waszyngtonie. Nic więc dziwnego, że prezydent Biden poparł republikański projekt ustawy uchylającej łagodzenie kar za przestępstwa w Waszyngtonie, czego domagał się lewicowy burmistrz i rada tego miasta.

Maciej Walaszczyk



Izrael

Polityka dzieli armię

Zapowiedziana przez premiera Benjamina Netanjahu reforma wymiaru sprawiedliwości, zakładająca zmiany w trybie powoływania sędziów, doprowadziła do tej pory nie tylko do masowych, blisko stutysięcznych demonstracji oraz protestów ze strony państw sojuszników, lecz także może negatywnie wpłynąć na sytuację w siłach zbrojnych Izraela, które w znacznej mierze opierają się na rezerwach regularnie wzywanych do służby.

Opozycja uważa, że po reformie proces nominacji sędziowskich znalazłby się pod kontrolą koalicji rządzącej, co mogłoby doprowadzić do upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości. Z kolei zwolennicy reformy są zdania, że to właśnie dziś można mówić o upolitycznieniu sędziów, którzy chcą recenzować uchwalane przez parlament ustawy i uzyskać dominującą pozycję w państwie. Zmiana trybu powoływania sędziów ma ich zdaniem oznaczać demokratyzację systemu, bo większość decydująca o nominacjach znalazłaby się w rękach posłów, którzy zostali wyłonieni w wyborach powszechnych.

Spór na tym tle jest już tak silny, że zagraża bezpieczeństwu państwa. Tydzień temu – jak informuje „The New York Times” – w sztabie sił powietrznych zebrano się 50 oficerów izraelskiego lotnictwa. Większość z nich poinformowała dowództwo, że zawieszają swoje uczestnictwo w szkoleniu, pozostając do dyspozycji jedynie w przypadku misji bojowych. Zbuntowani piloci twierdzą, że reforma wymiaru sprawiedliwości osłabi reputację Izraela w świecie. W efekcie mogą pojawić się naciski, by żołnierzy, którzy realizują misje bojowe, stawiać przed międzynarodowymi trybunałami. Swoje obawy zasignalizowali też m.in. żołnierze jednostek odpowiadających za cyberbezpieczeństwo.

Konflikty w szeregach armii zaniepokoiły 10 byłych dowódców izraelskiego lotnictwa, którzy napisali w tej sprawie list do premiera oraz do ministra obrony Jo'awa Galanta. Jednak Netanjahu bagatelizuje problem. Ostatnio zamieścił na Twitterze swoje zdjęcie w wieku poborowym z podpisem: „Kiedy wzywane są rezerwy, zawsze się pojawiamy. Jesteśmy jednością”.

Jego optymizmu nie podziela prezydent Izaak Herzog, który twierdzi, że kraj znajduje się na krawędzi konstytucyjnego i społecznego kryzysu. Choć pozycja głowy państwa w Izraelu jest głównie ceremonialna, zapowiedział on negocjacje w sprawie wypracowania kompromisu.

Marek Budzisz



**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Fajerwerki hipokryzji

Byle redaktor lisem zwany, w kitę kopany, uważa, że żyjemy w państwie faszystowskim. Wygląda to na obelgę wobec Rzeczypospolitej, Ojczyzny Narodu Polskiego. Piszę te słowa wielkimi literami, by zwrócić uwagę stosownych władz na bezkarnego przestępcę, mającego czelność obrażać Polaków, którzy polegali w wojnie z faszyzmem. Polacy walczyli z faszyzmem na wszystkich możliwych frontach i zwyciężyli. Nigdy nie mieli ani nie będą mieli nic wspólnego z potworną, morderczą ideologią troglodytów ani z ich mentalnością.

Mam różne wyższe wykształcenia, ale akurat prawa nie studiowałem, zwracam się więc z apelem do tysięcy uczonych prawników, by znaleźli właściwe paragrafy na faceta, który obraża Polskę. Nasza Temida wygląda na bezradną. Zwłaszcza w okresie rozkręcającej się kampanii wyborczej, kiedy w sztabach agentów wpływu podgrzewane są nienawistne emocje, należy pilnować naszego dobrego imienia. Nastrój nieustającej awantury

w otocze bezczelnych kłamstw ma pomóc antypolskim środowiskom w odsunięciu od władzy Zjednoczonej Prawicy.

Każdy pretekst jest dla nich dobry, np. dramatyczna śmierć chłopca w Szczecinie. Przyjaciele pedofila z Platformy uznali za konieczne uczynić z pogrzebu nastolatka demonstrację antypaństwową. Główny showman oskarżył media służące prawdzie o jakieś nieczne czyny, które nie miały miejsca. A nie zauważył sprawcy nieszczęścia, narkomana, pedofila, swojego partyjnego podwładnego. Żeby odwrócić uwagę od degenerata, zarządzono powszechną nagonkę na wolne, polskie media.

Szczególnym pokazem fajerwerków hipokryzji popisała się totalna opozycja w Sejmie, wnioskując likwidację publicznej TV. Mają doświadczenie z lat 2007–2015, kiedy trzy największe stacje nadawały codziennie identyczne dezinformacje, kierując się narracją rosyjską i niemiecką. Łatwo się oszustom rządziło. Za tym tęsknią, by bezkarnie likwidować Polskę jak wtedy: stocznie, garnizony, kopalnie, posterunki, fundusze emerytalne, linie kolejowe... Jedyne, co mocno przez dwie kadencje rozbudowali, to był interes pod nazwą LUKA VAT-OWSKA. Ale „to se ne wrati, pane Hawranek”!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pomieszanie dobrego i złego

Są takie historie, które trzeba opowiadać, bo muszą być spisane czyny i rozmowy. Dlatego przywołam historię jedynych kilkudziesięciu minut, które spędziłem na jedynym w moim życiu spotkaniu z Głównym Demiurgiem III RP.

Otóż w 1994 r. po raz pierwszy trafiłem – na krótko – do pracy w „Jedynce” TVP, gdzie byłem zastępcą mojego wspaniałego kolegi Piotra Zaremby. Odpowiadałem za publicystykę polityczną.

Doświadczenie było jedyne w swoim rodzaju, bo podówczas Telewizja Polska była pełna postkomunistycznych intrygantów, których zawodową metodą było donosicielstwo, kłamstwo i manipulacja – i nie myślę o przekazie, który serwowali widzom (choć to też), ale o sposobie robienia kariery. Spotkanie z ludźmi telewizji – także z tymi, którzy powoływali się na swoje sympatie do Solidarności – było niezastąpione i pozwoliło mi szybciej dojrzeć, więcej zrozumieć.

Dostaliśmy wtedy zlecenie od władz najwyższych TVP, by zrobić program o obchodzącej właśnie rocznicę bardzo ważnej gazecie. Umówiliśmy się na spotkanie, przyjęły nas największe tuż tego dziennika z redaktorem naczelnym, słynnym byłym antykomunistycznym opozycjonistą, na czele.



**Dominik
Zdort**

Chcieliśmy zrobić audycję, która miała prezentować najważniejsze teksty z tego dziennika, a potem o nich dyskutowaliby zwolennicy postawionych w artykułach tez i ich przeciwnicy. Redaktor naczelny odpowiedział wprost: „My z nimi do stołu nie usiadziemy”.

Szukaliśmy kompromisu. Zaproponowaliśmy więc, by krytycy linii gazety najpierw wygłosili swoje tezy, a przedstawiciele redakcji potem je skomentowali. Szef dziennika i na to nie chciał się zgodzić. Wtedy jego przyboczna nagle rzuciła: „Ale Adam, przecież oni sobie powiedzą, co chcą, a potem my wytniemy, co będzie trzeba...”

Te słowa to dla nas, naiwnych młodych podówczas żurnalistów, były wstrząsem. Że ktoś w wolnej już Polsce wywodzący się z opozycji mógł tak myśleć o dziennikarstwie...

Nie mogłem sobie tej rozmowy nie przypomnieć, gdy czytałem parę dni temu wywiad ze wspomnianą panią przyboczną o wydarzeniach z 1968 r. „Żądaliśmy wolności słowa” – wspominała.

Oddajmy sprawiedliwość, komu trzeba. W czasie naszego spotkania w 1994 r. redaktor naczelny odpowiedział jej: „Teresa, tak nie można”.

Nie można, ale się dało... Audycja powstała wedle oczekiwań pana redaktora. Choć my ręki do tego nie przyłożyliśmy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Etos AK-owca – etos ubeka

„**S**tanowczo protestowałem przeciwko budowie pomnika Żołnierzy Wyklętych, który ostatecznie będzie pomnikiem Żołnierzy Niezłomnych [...]. Tam po prostu na pomniki są wynoszone osoby, które nie powinny być wynoszone, czyli osoby, które dopuściły się zbrodni, niejednokrotnie ludobójstw. Jeżeli my na sztandarach [...] mamy wielbić i czcić osoby, które po II wojnie światowej zabijały ludność cywilną, no to nie ma na to mojej zgody. Nie ma na to zgody też mojej partii politycznej” – oświadczył Bartłomiej Ciążyński z Nowej Lewicy.

To wiceprezydent Wrocławia i dlatego te skandaliczne bzdury nabierają dodatkowego znaczenia. Problem w tym, że ciągle funkcjonują one w dominujących mediach i głównych ośrodkach opiniotwórczych w Polsce. Ciążyński, skądinąd prawnik, bredzi o ludobójstwie. Jest to zdefiniowana w prawie międzynarodowym kategoria i oznacza wyniszczanie narodów, grup rasowych, etnicznych czy religijnych. Kogo chcieli eksterminować żołnierze niezłomni? Polaków czy może Rosjan? Owszem, jak to w czasie wojny na rubieżach kraju zdarzały się walki grup narodowych: Polaków z Białorusinami czy Ukraińcami. Cywilne ofiary padały z obu stron. Rzecz to ponura, choć realnie nie do uniknięcia, ale z ludobójstwem nie ma nic wspólnego.

Czy zdarzało się, że antykomunistyczni partyzanci zabijali osoby cywilne? Owszem, niekiedy było to usprawiedliwione, jeśli miały one na sumieniu śmierć żołnierzy, np. wydając ich UB, niekiedy nie. Wojna partyzancka jest okrutna, jej uczestnicy ad hoc muszą definiować normy, według których działają i jest nieuchronne, że poczynania ich muszą ślizgać się na granicy dopuszczalności, co oznacza, że również ją przekraczają. Nienormalność takiego stanu powodować musi patologie, które prowadzą niekiedy do staczania się walki podziemnej w bandytyzm. Żadna partyzantka nigdy nie była od tego wolna. Problemy te dotyczą zresztą wojny jako takiej, która zawiesza normy cywilne. W przypadku żołnierzy wyklętych zjawisko to nie wykraczało poza statystyczny margines.

Żołnierze niezłomni to w przytłaczającej większości bojownicy AK. Można uznać, że najbardziej konsekwentni, gdyż do końca wierni przysiędze, że nie złożą broni, dopóki Polska nie odzyska niepodległości. Pamięć o nich jest postponowana i atakowana w sposób szczególnie dlatego, że dowodzą fałszu narzucanej nam w III RP interpretacji historii. Zgodnie z nią PRL był państwem polskim i działanie na jego rzecz nie powinno nikogo kompromitować bez względu na to, czy była to kariera w aparacie partyjnym, służbie bezpieczeństwa, propagandzie, czy cenzurze.

Niekoherencja owego przekazu rzuca się w oczy. Gdy tylko trzeba, wyciągany jest argument zależności Polski od Moskwy. Ma on usprawiedliwiać np. Jaruzelskiego, który podobno musiał zdławić polskie dążenia wolnościowe, gdyż inaczej dużo większym kosztem zrobiliby to Sowietci. W rzeczywistości konsekwencją podporządkowania PRL ZSRS powinno być uznanie za absolutnie naganne podtrzymywanie tego systemu, zwłaszcza funkcjonowanie w jego ramach, w jego represyjnych instytucjach. W III RP argumenty są jednak zagłuszane przez medialną przewagę dominujących sił, które dlatego jak ognia boją się jakiegokolwiek pluralizmu.

Można uznać, że heroizm żołnierzy niezłomnych zwłaszcza z upływem czasu nabierał samobójczego charakteru. Czy może to być powodem ich potępienia?

W obecnej dobie mentalność publiczna ulega redukcji, a jej horyzonty stają się coraz bardziej ograniczone. Dominuje perspektywa utylitarna, zgodnie z którą działania muszą przynosić doraźne korzyści. Jest to uderzenie w fundament cywilizacji, która może być budowana wyłącznie przez ciągłość pokoleń, a więc przedsięwzięcia, które często będą przynosić niewymierne efekty, gdy ich bohaterów dawno już nie będzie przy życiu. Utylitaryzm kwestionuje sens wspólnoty, która może żyć i się rozwijać wtedy, gdy mamy poczucie jej fundamentalnej wartości, a więc patriotyzmu. Wyrazem tego jest poświęcenie, w skrajnym wypadku oddanie życia. Ofiara żołnierzy niezłomnych to wzorzec zachowania. Nie tak wielu na nią stać i dlatego tym, którzy ją ponieśli, budujemy pomniki. Wskazujemy tym samym, że właśnie taka postawa warta jest czci. Jeśli to zakwestionujemy, przekreślimy znaczenie wspólnoty. Zastąpi ją kontrakt, który wiąże nas o tyle, o ile zgodny jest z naszym krótkowzrocznym interesem. Gdyby tego typu postawa zwyciężyła za naszą wschodnią granicą, Ukrainy by już nie było. Gdyby nie nasi bohaterowie, nie byłoby także Polski.

Trudno się dziwić, że kłuje to w oczy członków partii, która wyrosła z ugrupowania realizującego moskiewskie interesy w naszym kraju. Na szczęście ulega ona marginalizacji. Niemniej ubecka propaganda, która patriotów przedstawia jako bandytów, ciągle funkcjonuje w przestrzeni publicznej III RP. Jej jaskrawy przykład dał Ciążyński, wiceprezydent Wrocławia. Prezydent Jacek Sutryk milczy w tej sprawie.





Walizka Teresy Bochwic

*pisarki, dziennikarki
i wykładowcy akademickiego*



Podróżowałam w życiu dużo, ale chciałabym o wiele więcej. Wprawdzie nie byłam w Stanach czy Anglii, za to zwiedziłam znaczną część Europy. W 1989 r., gdy pracowałam krótko jako reportażystka w „Gazecie Wyborczej”, a potem w „Tygodniku Solidarność”, zjeżdżałam praktycznie całą Polskę. Obserwowałam, jak się wykuwa nowa rzeczywistość. Przyjemny zwyczaj wyjazdów zimą w góry czy w lecie nad morze i jeziora rozpoczęli moi rodzice. Tzw. własnym przymysłem, często z własnym jedzeniem nocowaliśmy w chatkach, domkach kempingowych, namiotach, czasem – ponieważ mój ojciec był artystą – w domach ZAIKS. Byle tylko gdzieś wyjść, chodzić, zwiedzać. Tradycja jest kultywowana. Do dzisiaj często podróżujemy całą rodziną.

SIERPIEŃ '68

3 sierpnia 1968 r., gdy wjeżdżaliśmy do Pragi, poczułam zapach prochu i chrząst gąsienic. Na moje spostrzeżenie ojciec odpowiedział:

„No skąd! Węgry były 12 lat temu. Teraz jest zupełnie inna Rosja!”. Nie minęły dwa tygodnie,

kiedy wracaliśmy z Bułgarii, zatrzymaliśmy się w Budapeszcie, skąd mieliśmy pociąg do Polski. Niestety, cały ruch kolejowy został zablokowany. To był świt 21 sierpnia. Rozpoczęła się interwencja w Czechosłowacji.



MORA

W latach 90. postanowiłam sama pojechać małym fiatem 126p na wczesny wędrownie. Zabrałam z sobą swoją ukochaną Morę, która właśnie dostała cieczi. Ostatniego dnia jednak Mora się urwała...





PARYŻ

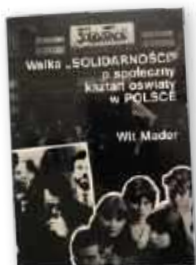
Jerzego Giedroycia w Paryżu odwiedziłam kilka razy. Byłam w Maisons-Laffitte, gdzie znajdował się jego dworek, i patrząc na ogród, doszłam do wniosku, że jest to najdalej wysunięte na południe stanowisko polskiego świerka.



SOLIDARNOŚĆ

Giedroyc w „Kulturze” opublikował mój duży esej o Solidarności, który można przeczytać też w „Brylancie”. Solidarność to najważniejszy okres mojego życia. Pracowałam w oświacie Solidarności, wydawałam miesięcznik bez cenzury. Opracowaliśmy nowe

programy do wszystkich przedmiotów, ale zanim je wdrożono, ogłoszono stan wojenny.



KASZUBY

Od 25 lat stale jeżdżę na Kaszuby.

Mam tam ulubiony ośrodek dr Ewy Dąbrowskiej, która przepisuje różne zdrowotne diety.

Poznaję tam kaszubski świat.

Nie tylko piękne krajobrazy, lecz także ludzi. Zawsze tam

kupuję prezenty. Np. haftowane serwetki ludowe, gliniane dzbanuszki

od Necla, świeczki z prawdziwego wosku, akwarele

Andrzeja Zaborowskiego, rzeźby świętych

autorstwa Henryka Podjaskiego – mieszkańca wsi Sikorzyno.



„BRYLANT”

Mojego autorstwa. Jest to zbiór opowiadań prawdziwych lub prawie prawdziwych, często z podróży. Prawda brzmi bardziej niesamowicie niż fikcja.

BIOGRAFIA MOJEGO OJCA

To zwieńczenie moich bardzo

przyjemnych obowiązków wobec rodziny. Pisałam ją siedem lat, ponieważ po trzech latach, gdy była skończona (z dużą

liczbą źródeł, z 30 godz. nagrań rozmów z moim ojcem, kompozytorem Witoldem Rudzińskim), odkryłam pamiętniki obejmujące 35 lat jego życia...



„SAMA Z DZIEĆMI”

Gdy miałam w życiu problem, pisałam książkę na ten temat i problem zniknął. Po rozwodzie napisałam poradnik dla kobiet. Wiele osób twierdziło, że lektura „Samej z dziećmi” uratowała im małżeństwo. Z kolei od zjazdu Stowarzyszenia Samotnych Ojców dostałam nagrodę za rozdział „On też został sam”.

W sali teatralnej, w której się odbył, byłam jedyną kobietą.



WARSZAWSKA SZKOŁA DZIENNIKARSKA

Dwa lata z rzędu jeździłam z Warszawską Szkołą Dziennikarską do Berlina, Hamburga i ówczesnej stolicy Niemiec – Bonn. Jednym z moich studentów był Krzysztof Ziemięć, a to ciemne zdjęcie z „oczami” to stacja kolejowa w Hamburgu.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Następca tronu i wiewiórki



No i Prigożyn, który ryl pod Kadyrowem, dopiął prawdopodobnie swego. Skazany na piekło czeczeński watażka Ramzan Kadyrow ma poważny problem z nerkami i nosi na palcu coś w rodzaju pulsoksymetru. Najprawdopodobniej został podtruty. Jednym z poważniejszych symptomów końca Kadyrowa jest ślub jego małoletniego syna. Wśród niewiernych (islamistów) ożenek podnosi rangę 17-letniego Ahmada do dorosłego, umożliwiając mu przejęcie tronu po ojcu. Orszak ślubny kilkudziesięciu luksusowych limuzyn przejeżdżał opustoszałymi ulicami Groznego zapłaci ruskim podatnik, w tym za 100 tys. rubli, które dostanie każda para, która weźmie ślub w Czeczenii tego samego dnia co syn Kadyrowa. Dostojny Ahmad poczuł się jak sułtan, „a klejnoty i złoto, które [tam] rozsypało zaćmiły światło słońca i księżyca”. Gorzej na froncie. Wojsko Kadyrowa „podobne do pyłu zwiewanego przez wiatr” wycofano z frontu i zdegradowano do pełnienia funkcji obozowych ciurów oraz katów moskiewskich tchórzów (oddziałów zaporowych), którzy uciekają z pół bitewnych niczym szczury z tonącego okrętu, bo nie chce im się walczyć. Jak pisał niegdyś Hadża Mehmed Senai z Krymu, biograf chana Islam Gereja III: „Czy to możliwe, by się z lwem zmagala gazela? / Czy to możliwe, by z lampartem toczył walkę szakal?”. Jak mawiali Persowie: „Po cóż komentarz do tego, co jasne?”.

Kiedy propagandystka Kremla Olga Skabiejewa i jej redakcyjni znajomi zorientowali

się, że groźby ataku na nasz kraj nie robią na Polakach większego wrażenia, „eksperci” skupili się na innych państwach Zachodu. Według reżimowej telewizji Rossija 1 ustami Skabiejewej okazało się, że niektóre restauracje w Wielkiej Brytanii będą serwować wiewiórki. „W ich parkach jest dużo takich zwierząt, więc dla czego ich nie zjeść?” – kombinowała propagandystka. „Mają problem z niedoborem żywności, ale nie wycofują się ze wspierania Zelenskiego i dostarczaniu broni Ukrainie. Będą jeść wiewiórki i nadal dostarczać haubice” – doszła do nieoczekiwanego wniosku. Nikt nie nadążył już za skojarzeniami Skabiejewej. Ona sama ma z tym kłopoty. Skąd wzięła wiewiórki? Jak się jej bliżej przyjrzyć, to jedyne zwierzątko, do którego może być podobna, to właśnie wiewiórka. Zapewne potraktowała Brytoli zbyt osobiście. Polecam jej przeczytanie końcówki uzasadnienia wyroku jednego z sędziów na Florydzie skazującego mordercę na karę śmierci. „[...] i proszę nie brać tego do siebie [jak Skabiejewa]. Będzie pan już 19. osobą, którą w tym stanie zostanie stracona”.

Jakiś czas temu usłyszeliśmy historię pułku z Irkucka, który nagrał apel o pomoc, bo zdaniem tych żołnierzy zostali źle przydzieleni. W ruskich mediach pojawiła się nawet informacja, że po interwencji ich żon bojcy zostali wycofani. W realu wyglądało to zupełnie inaczej. Nie zostali wycofani. Posłano ich za to do ataku pod Awdiijką, wyposażonych tylko w osobistą broń maszynową. Jatka była co się zowie. Rannych zostało kilku.

Reszta zginęła. Ci, którzy trafili do szpitali, wiedzą już, że takie protesty nie mają sensu. Tak kończą się w Kacapii próby budowania społeczeństwa obywatelskiego.

Wielu „ekspertów” od dawna prognozuje wielką ofensywę Moskwy, a niektórzy z nich twierdzą, że nawet już się zaczęła. Jak tak, to wielka zimowa ofensywa wojsk Kremla dobiega końca. Łomot pod Wuhledarem (straconych 130 pojazdów opancerzonych), łomot pod Awdiijką, łomot pod Kremienną – rozbita kompania czołgów (15 sztuk) plus 10 BWP, no i bachmucka maszynka do mielenia mięsa. Ilu tam Moskali dziś gryzie ziemię – nie policzy chyba nikt. Straty kilkumiesięcznej bitwy szacuje się na 10–30 tys. bojów Prigożyna. Już podniósł się krzyk, że Bachmut łada moment padnie, ale Ukraińcy wzorem swoich kozackich przodków umieją walczyć w taborze (dziś nazywa się to obroną okrężną). Stara kozacka forteca jak niegdyś i teraz nie chce się poddać. Moskalowi od dwóch tygodni brakuje jeszcze 4,5 km do zamknięcia okrążenia i nic. Ataki stają się coraz bardziej rachityczne. Z miasta twierdzy nie zostało oprócz ruin praktycznie nic. Jednak na naradzie u prezydenta Zelenskiego głównodowodzący Siłami Zbrojnymi Ukrainy gen. Żalużny razem z szefem wojsk lądowych gen. Syrskim ustalili, że żadnego odwrotu z Bachmutu nie będzie. Kacap traci tam 5–7 bojów na jednego Tryzuba. Obrońcy Bachmutu są jak „lampa, którą Bóg zapalił – każdy, kto na nią dmuchnie, spali sobie brodę”.

Andrzej Rafał Potocki

Dość chaosu w planowaniu przestrzennym

Na początku marca br. rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym. Celem zmian jest uproszczenie, przyspieszenie oraz ujednolicenie procedur dotyczących zagospodarowania przestrzennego przeszło 2,5 tys. gmin, które mamy w Polsce. Nowe ustawodawstwo ma sprzyjać uporządkowaniu przestrzennemu i eliminować chaotyczne zarządzanie obszarem gmin, z których większość funkcjonuje w oparciu o doraźnie wydawane warunki zabudowy, a nie perspektywiczne planowanie przestrzenne ujęte w spójnych miejscowych planach zagospodarowania przestrzennego.

Według opublikowanego w lipcu 2022 r. rankingu pokrycia gmin MPZP zaledwie 317 gmin legitymowało się planem obejmującym ich całe terytorium, a 139 gmin nie miało żadnego planu miejscowego. Oznacza to, że większość terytorium Polski podlega zarządzaniu przestrzennemu, które niekoniecznie musi pozostawać w zgodzie z przyjętą w studiach uwarunkowań i zagospodarowania terenu poszczególnych gmin. Co ciekawe, według stanu opisanego w zestawieniu żadne z miast wojewódzkich nie jest w całości objęte miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego.

Nowe przepisy przewidują wykreowanie nowego narzędzia planistycznego, którym będzie plan ogólny gminy. Przełomowym usprawnieniem systemu gospodarowania przestrzenią będzie dostępny dla wszystkich zainteresowanych Rejestr Urbanistyczny. Za pośrednictwem internetu będzie można łatwo dotrzeć do treści raportów z konsultacji społecznych, decyzji administracyjnych związanych z planowaniem przestrzennym, a także poznać rozstrzygnięcia organów nadzoru. Znikną studia uwarunkowań gmin, a plany ogólne będą musiały swoim zasięgiem obejmować cały obszar danej gminy. Plany będą stanowić podstawę uchwalenia miejscowych planów oraz wydawania warunków zabudowy i zagospodarowania terenu. W planach ogólnych gminy zadecydują o strukturze funkcjonalno-przestrzennej gminy, co nastąpi przez wydzielenie stref planistycznych. W każdej z nich będą obowiązywały wskaźniki maksymalnej nadziemnej intensywności zabudowy, maksymalnej wysokości zabudowy oraz wskaźnik minimalnej powierzchni biologicznie czynnej. W gminnych standardach urbanistycznych samorządy ustalą zasady lokalizacji nowej zabudowy mieszkaniowej względem obiektów realizujących usługi publiczne, takich jak szkoły, biblioteki, posterunki policji, tereny rekreacyjne i inne. Uzupełnianie obszarów zabudowanych stanie się dopuszczalne w ściśle oznaczonych w planach obszarach.

Nowe rozwiązania prawne mają sprzyjać takiemu projektowaniu osiedli, które będzie przeciwdziałać dezintegracji przestrzeni i niekontrolowanemu rozlewaniu się miast, a także wspierać zrównoważony rozwój rozumiany jako planowanie urbanistyczne w harmonii z naturą w takim stopniu, na jaki



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

w danym momencie pozwala aktualny poziom zaawansowania technologicznego. Chodzi o utrzymanie harmonii między postępem cywilizacyjnym, urbanizacją a zapewnieniem przestrzeni publicznej niezbędnej do tworzenia więzi społecznych i wypoczynku.

Nowe przepisy mają za zadanie zapewnić mieszkańcom stosunkowo łatwy dostęp do ośrodków zaspokajających podstawowe potrzeby i ograniczyć powstawanie tzw. sypialni oddalonych od istotnych obiektów użyteczności publicznej i słabo skomunikowanych.

Nowe instrumenty prawne sprawią, że zasady funkcjonowania deweloperów i innych inwestorów staną się bardziej przejrzyste, zrozumiałe dla mieszkańców i sprzyjające zachowaniu lokalnych walorów przyrodniczych i kulturowych. Nową propozycją jest także ograniczenie pięcioletnim terminem ważności warunków zabudowy i zagospodarowania terenu. W obiegu prawnym będą dostępne tylko decyzje, które pozostają aktualne mimo zmieniającej się infrastruktury i polityki przestrzennej gminy.



Panu Profesorowi

**MARIUSZOWI
BOGUSZOWI**

*Składamy wyrazy szczerzego współczucia
z powodu śmierci*

MAMY

*W chwilach przepełnionych bólem
z powodu tak ogromnej straty,
łączymy się w żalu i zapewniamy o naszej pamięci*

*Rady Nadzorcze, Zarządy i Pracownicy
Saltus Ubezpieczenia oraz Asekuracji*

19/0323/F

To zdjęcie

Są takie momenty w historii, które zapamiętujemy dzięki obrazom. Współcześnie taką rolę symboli odgrywają zdjęcia. Jednym z nich jest to sprzed tygodnia, na którym widzimy, jak Donald Tusk stoi na tle towarzyszy partyjnych i po pogrzebie 16-letniego dziecka wygłasza polityczne tyrady. „Powiem tak po ludzku – wolałbym się nie urodzić, niż na grobach zmarłych budować karierę polityczną” – to są słowa tego samego Tuska, który jako premier w ten sposób odwracał uwagę od nieprawidłowości przy badaniu katastrofy smoleńskiej, oddania śledztwa i wraku Rosji oraz podejścia całego państwa do tej sprawy.

Dziś swoim danse macabre Platforma Obywatelska również próbuje odwrócić uwagę od problemu, z którym sama powinna się zmierzyć, czyli sprawy pedofila we własnych szeregach, działacza LGBT+, któremu w 2006 r. stworzono stanowisko dyrektora w Biurze ds. Przeciwdziałania i Profilaktyki Uzależnień. Przez kilkanaście lat zajmował się dziećmi i cała Polska ma uwierzyć, że nikt nie wiedział o jego skłonnościach, a zbrodnia z 2020 r. to był tylko jednorazowy wybryk.



**Samuel
Pereira**

Cała Polska ma również udawać, że jego pedofilskie skłonności o podłożu homoseksualnym to jakiś margines, a samo przestępstwo nie jest kolejnym z serii, która świadczy o potężnym moralnym raku, trawiącym to środowisko. W sieci można znaleźć masę nagrań, na których widać jak seksedukatorzy z szatańską obsesją „edukują” najmłodszych przez paradowanie w obcisłej bieliznie, wykonywaniu seksualnych ruchów, które nie wiadomo nawet do końca, pod jakim pretekstem się odbywają, bo o takie rzeczy „nieodobra pytać”.

Niezależnie od tego, faktem jest, że doszło do okropnej tragedii. Nastolatek odebrał sobie życie, a miał przed sobą pewnie jeszcze wiele lat. Stało się tak zapewne z wielu powodów, dowody badają śledczy, ale politycy opozycji, nie mając żadnych, uznali, że mają prawo zarzucić komuś spowodowanie śmierci, nazywać wszystkich dziennikarzy TVP mordercami, znieśławiać ich i mieszać z błotem. Skoro teraz hieny polityczne tak szaleją, to co będzie w kampanii wyborczej?

Autor jest szefem portalu tvp.info

Z „Io” w Los Angeles

Z aktorką **Sandrą Drzymalską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Na tydzień przed rozdaniem Oscarów niekwestionowanym zwycięzcą 25. edycji Polskich Nagród Filmowych został obraz „Io” Jerzego Skolimowskiego. Statuetkami Orla nagrodzono: film, reżyserię, scenariusz, zdjęcia, muzykę i montaż. Miała pani udział w tym sukcesie, potwierdzony nominacją za główną rolę kobiecą. Dobra passa trwa?

Sandra Drzymalska: Myślę, że mam dużo szczęścia. Spotykam na swojej drodze wspaniałych ludzi – reżyserów, a także członków ekip, którzy są dla mnie – niezmiennie – ogromną inspiracją. Jestem za to niezwykle wdzięczna.

Brała pani udział w wielu głośnych i znaczących produkcjach – serialowych i filmowych. Od „Belfra” przez „Stulecie Winnych” po „Sexify” czy takie kinowe tytuły, jak: „Najmro. Kocha,

kradnie, szanuje”, „Filip” i „Io”. Które były kluczowe dla pani?

Każdy z etapów, który przechodzę jako aktorka, każdy kolejny projekt i związane z nim zadania są dla mnie ważne i w danym momencie kluczowe. Lubię doświadczać nowych rzeczy i obracać się w różnych, stworzonych dla bohaterów światach. Wielką przyjemnością jest móc uczestniczyć w takim procesie.

Podobnie jak w drodze do Oscara? Gdzie będzie pani kibicować „Io”?

Na gali w Dolby Theatre w Los Angeles. To nowe, wspaniałe doświadczenie w moim życiu. Oczywiście z całą ekipą będziemy trzymać kciuki za „Io”. Tym mocniej, że konkurencja jest bardzo silna. Niezależnie jednak od wyniku „Io” już został w bardzo piękny sposób wyróżniony i doceniony.





Ratownictwo górnicze w KGHM

Nowoczesne centrum zarządzania dla najlepszych

Ratownictwo w górnictwie czy hutnictwie to dziedzina, w której polskie jednostki mają duże doświadczenie i cieszą się uznaniem na całym świecie. Oprócz poświęcenia i stałego podnoszenia umiejętności praktycznych samych ratowników dokonuje się w tym obszarze w naszym kraju także istotny postęp technologiczny. Jednym z jego przejawów jest oddanie do użytku nowego, ultranowoczesnego budynku dyspozytorni dla strażaków i ratowników KGHM w Sobinie koło Polkowic

Nowy budynek jednostki ratownictwa górniczo-hutniczego, oddziału KGHM, wyposażono w najwyższej jakości systemy łączności i nowoczesne systemy informatyczne. Budynek powstał przy wykorzystaniu nowoczesnych technologii i z dbałością o samowystarczalność i oszczędność energetyczną dzięki zainstalowanej instalacji fotowoltaicznej.

MIESZKAŃCY TEŻ BEZPIECZNIEJSI

Obiekt składa się z dyspozytorni z garażami technicznymi oraz części administracyjnej. Inwestycja rozpoczęła się w 2021 r. i kosztowała ponad 5,5 mln zł. Ratownicy mają teraz lepsze warunki pracy, a to przekłada się na bezpieczeństwo nie tylko

pracowników KGHM, lecz także całego Lubiąsko-Głogowskiego Zagłębia Miedziowego. Dla przykładu liczba interwencji jednostki w przypadku zdarzeń w KGHM to ok. 30 w roku, z kolei wyjazdów do wypadków, pożarów czy innych zdarzeń kryzysowych w zagłębiu jest średnio ok. 150 w ciągu roku.

Nowa dyspozytornia jest wyjątkowa nie tylko pod względem wyposażenia. Po raz pierwszy w historii KGHM daje możliwość poprowadzenia akcji ratowniczej czy ewakuacyjnej bezpośrednio z Sobina. W przypadku jakichkolwiek zdarzeń na terenie oddziałów KGHM dyspozytorzy JRGH otrzymują wszelkie informacje umożliwiające zdalne i bezzwłoczne kierowanie akcją ratunkową czy gaśniczą.

POMAGAJĄ WSZĘDZIE, GDZIE TRZEBA

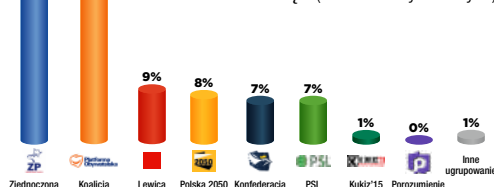
Nowa dyspozytornia trafia w dobre ręce. Ratownicy i strażacy z KGHM należą do najlepszych na świecie. Ich profesjonalizm i umiejętności były wielokrotnie doceniane. W ostatnich Międzynarodowych Zawodach Zastępów Ratowniczych, które odbyły się w 2022 r., ratownicy górniczy KGHM w jednej z konkurencji zajęli trzecie miejsce i otrzymali brązowy medal.

Jednostka ratownictwa górniczo-hutniczego z Sobina w ub.r. obchodziła 25-lecie istnienia. Do zadań JRGH należy niesienie niezbędnej pomocy wszystkim oddziałom KGHM Polska Miedź SA, jeśli chodzi o likwidację skutków pożarów, tąpnięć i zawałów, wdarcia się wody, awarii energomechanicznych, awarii technicznych oraz chemicznych i ekologicznych na powierzchni i w wyrobiskach dołowych.

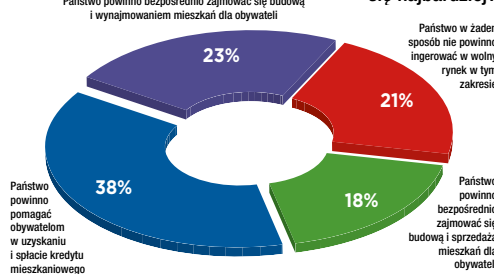
Ratownicy KGHM pomagali i pomagają nie tylko w związku z działalnością górniczą czy hutniczą w spółce czy w Lubiąsko-Głogowskim Zagłębiu Miedziowym. Ratownicy z JRGH uczestniczyli w akcjach ratunkowych po trzęsieniach ziemi w Albanii czy w Turcji w 1998 r. W tym roku strażacy z Sobina jako jedni z pierwszych zgłosili swój akces do pomocy w poszukiwaniu zaginionych po kataklizmie, który znów dotknął kraj nad Bosforem.



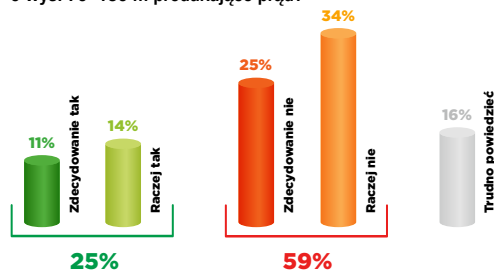
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdeterminowanych)



Z którym stwierdzeniem na temat roli państwa w zapewnieniu mieszkań obywatelom Pani/Pan zgadza się najbardziej?



Czy przeszkadzałyby Pani/Panu, jeśli w odległości ok. 700 m od Pani/Pana domu lub mieszkania zbudowano by wiatraki o wys. 70–150 m produkujące prąd?



Na kogo by Pani zgłosowała/Pan zgłosował w drugiej turze wyborów prezydenckich, gdyby miała Pani/miał Pan do wyboru Andrzeja Dudę i Rafała Trzaskowskiego?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1045. Zakres czasowy badania 3-6 marca 2023 r.

Reklama | 60/0229/F

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEK
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SIEMOLINSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WALAŚCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD LISTAŁONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A.SOMARZCZYŃSKI, EASTNEWS, GRAND WARSZAWSKI, D.LAPIN,
J.R. ALEXANDER, GRACEHANGSHUTTERSTOCK

BGK

BANK GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO



Dbamy o zrównoważony rozwój Polski



**Troska
o środowisko**



**Odpowiedzialność
społeczna**



**Odpowiedzialne
zarządzanie**

www.bgk.pl

eprasa.pl aa74ef0145

JUŻ NIE DA SIĘ
TWIERDZIĆ,
ŻE NIE WIEDZIAŁ

BIELMO: CZĘŚĆ 7
FRANCISZKAŃSKA 3

CZARNO
BIAŁYM

Anatomia manipulacji

I tak oto poszła w świat fałszywa narracja, że Wojtyła wiedział, że tuszował pedofilię, że dopiero teraz poznaliśmy prawdziwe oblicze papieża i że powinniśmy o nim powoli zapominać. Tym głośniejsz w tej sytuacji trzeba mówić prawdę o Janie Pawle II i jego dziedzictwie



MILENA KINDZIUK

Zaczęło się od reklamy i szumnych zapowiedzi „przełomowego” filmu o Janie Pawle II. I co ujrzeliśmy? Przede wszystkim wielkie emocje. Perfekcyjny montaż, sceny nierzeczywiste z kryminału, do tego sugestywna muzyka. Kilkakrotnie powtarzana fraza „Wojtyła wiedział”. W ten sposób została zbudowana chytra i podstępna insynuacja, że Jan Paweł II tuszował pedofilię, że Kościół nic z tym nie robił. Chytra i podstępna, bo oparta na zeznaniach tzw. księży patriotów, czyli gorliwych współpracowników Służby Bezpieczeństwa. Na niebraniu pod uwagę ahistoryczności zarzutów, na braku krytycznej oceny źródeł. Dlatego właśnie po emisji filmu „Franciszkańska 3” Marcina Gutowskiego w TVN24 można odnieść wrażenie, że nie o szukanie prawdy ani o pomoc osobom poszkodowanym tu chodzi. A prze-

cież to właśnie ofiary pedofilii są – i powinni być – najważniejsze. Należą im się: szacunek, współczucie, pomoc i zadośćuczynienie. Jasno wyrażał to kard. Karol Wojtyła – także jako papież Jan Paweł II, podkreśla to wciąż Kościół, który podejmuje wszechstronne działania na rzecz pomocy osobom poszkodowanym.

JAK DOMEK Z KART

Taka narracja jest usilnie budowana, mimo że przesłanki są po części mocno naciągane. Odniosę się tylko do niektórych kwestii.

Pierwsza: uwikłanego w pedofilię ks. Surgenta kard. Wojtyła odwołał z obowiązków duszpasterskich, a potem odesłał do jego macierzystej diecezji lubaczowskiej, do której był on inkardynowany, gdyż zgodnie z prawem kanonicznym mógł go ukarać tylko jego biskup. Tymczasem w filmie nie ma o tym ani słowa. W zamian sugestii, że Wojtyła podrzucił go innej diecezji, czyli – jak należy rozumieć – przeniósł na inny teren, dzięki czemu ów duchowny mógł dalej tam działać. Skrajne matactwo w sprawie! Gdyby Wojtyła żył, mógłby to sprostować albo podać do sądu o zniesławienie.

Druga kwestia: faktem jest, że innego bohatera filmu – ks. Sadusia – po ujawnieniu jego przestępstw seksualnych kard. Wojtyła pozbawił możliwości pracy duszpasterskiej i wysłał do Austrii i że pisemnie poprosił kard. Koeniga o przyjęcie go tam, by mógł podjąć pracę naukową. W piśmie, co zarzuca się w filmie, nie pojawia się informacja o winie duchownego, nie został on napiętnowany w oficjalnym dokumencie. Ale czy to jest dowód na tuszowanie pedofilii przez Wojtyłę? Tak ważne sprawy załatwiano się najpierw w kontaktach telefonicznych albo osobiście, były one dokładnie omawiane. Czy Marcin Gutowski ma wiedzę, że kard. Wojtyła nie rozmawiał wcześniej na ten temat z kard. Koenigiem? Czy zna inne dokumenty na ten temat? Czy można formułować tak radykalne wnioski na podstawie jednego pisma? Tym bardziej że oskarżony nie żyje, nie może się bronić, nie może wyjaśnić sprawy.

Po trzecie: w filmie jako pedofil został jednoznacznie ukazany kard. Adam Sapieha. Na jakiej podstawie? W oparciu o zeznania księdza, który należał do grupy tzw. księży patriotów, czyli gorliwych współpracowników SB, był zdemo-



Kościół to ukrywa, zamiast oczyścić swoje środowisko.

ralizowany i w dodatku został przez Sapięę ukarany, a potem suspendowany. Ale o tym w materiale nie ma ani słowa. Można za to odnieść wrażenie, że ów kapłan jest wiarygodnym świadkiem rzekomej pedofilii Sapięy. Nawet komunistyczne służby nie traktowały tych zeznań poważnie, bo ich nie wykorzystaly, mimo że szukały haków na Sapięę. Ale autorzy filmu są bardziej w tym gorliwi! Dodali nawet jednostronne komentarze rozmówców (np. Terlikowskiego czy Overbeeka), którzy nie wyjaśnili konieczności krytycznej oceny dokumentów Służby Bezpieczeństwa. Nie mówiąc już o ahistoryczności zarzutów. Przedstawione w filmie przypadki miały przecież miejsce ponad 50 lat temu. Zupełne inne realia, inna wiedza, też psychologiczna, inny kontekst społeczny i historyczny. Sami biskupi przyznali to zresztą niedawno w liście w obronie Jana Pawła II, podkreślając, że panowała wtedy w Kościele „mentalność dyskrecji”, co nie znaczy, że akceptacji dla pedofilii.

Po czwarte wreszcie: jak napisał na portalu wPolityce.pl Grzegorz Górny, kolejny autorytet TVN-owskiego filmu, abp Weakland, insynuujący, że po II wojnie światowej w Krakowie był arcybiskup pedofil (w domyśle kard. Sapięa), sam miał zarzuty defraudacji pieniędzy oraz tuszowania pedofilii. Opublikował też swoją autobiografię, w której przyznał, że przez długie lata prowadził podwójne życie, będąc homoseksualistą utrzymującym liczne kontakty seksualne z mężczyznami. O tym jednak w filmie

nie ma już mowy. Dlaczego? Bo to pokazałoby, jak nikczemne są jego opinie i świadectwa? Bo cała misternie budowana narracja antywojtyłowska rozsypałaby się jak domek z kart?

Uwikłanego w pedofilię ks. Surgenta kard. Wojtyła odwołał z obowiązków duszpasterskich, a potem odesłał do jego macierzystej diecezji lubaczowskiej, gdyż zgodnie z prawem kanonicznym mógł go ukarać tylko jego biskup. Tymczasem w filmie nie ma o tym ani słowa. Skrajne matactwo!

WALKA DOBRA ZE ZŁEM

Zabrakło też w filmie takiej opinii, jaką w wywiadzie dla KAI wyraził ks. Sławomir Oder, postulator procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Jana Pawła II, obecnie biskup gliwicki. Proszony o komentarz do nagłaśnianych obecnie zarzutów, że Wojtyła był zbyt pobłażliwy wobec przestępstw pedofilskich w Kościele, odpowiedział: „Jeżeli w uczciwy sposób spojrzemy na jego wypowiedzi i działania, to

głośniejszego głosu w sprawach potrzeby oczyszczenia Kościoła z przestępstw na tle pedofilii niż głos Jana Pawła II za jego czasów nie było. [...] A dokonywane dziś usiłowanie podważenia autorytetu Jana Pawła II wpisuje się w kontekst odwiecznej walki między dobrem a złem”.

I to jest ważne, że Jan Paweł II – jako pierwszy papież w dziejach – wydał zdecydowaną i systemową walkę zjawisku pedofilii wśród duchownych. Wystarczy przeczytać ogłoszony w 1983 r. nowy Kodeks prawa kanonicznego, zatwierdzony przez tego papieża, w którym pojawił się zapis mówiący, że duchowny, który wykroczył przeciwko szóstemu przykazaniu Dekalogu z osobą małoletnią poniżej lat 16, „powinien być ukarany sprawiedliwymi karami, nie wyłączając w razie potrzeby wydalenia ze stanu duchownego”. Następnie, w 1992 r., Jan Paweł II ogłosił Katechizm Kościoła Katolickiego. Pedofilii dotyczą cztery punkty: 2285, 2353, 2356 i 2389 – jest w nich nazwana zgrzeszeniem i deprawacją. W 1994 r. papież ogłosił indult do biskupów amerykańskich, w którym postulował zasadę „zero tolerancji” wobec przestępstw seksualnego wykorzystywania małoletnich przez duchownych, a w 1996 r. wydał kolejny indult dla Kościoła w Irlandii. Podnosił wiek ochrony osób małoletnich z 16 do 18 lat i wydłużał okres przedawnienia przestępstw wykorzystania seksualnego małoletnich do 10 lat od ukończenia 18. roku życia przez osobę skrzywdzoną tym przestępstwem.



W 2001 r. zaś Jan Paweł II jako pierwszy papież wprowadził obowiązek zgłaszania przestępstw seksualnych do Stolicy Apostolskiej. I wydał list apostolski „Sacramentorum sanctitatis tutela” (Ochrona świętości sakramentów), w których przestępstwa seksualne wobec nieletnich zrównał ze zniewagą wobec Przenajświętszego Sakramentu!

Te przełomowe dokumenty wprowadziły – obowiązujące do dziś w całym Kościele – normy postępowania w przypadku najcięższych przestępstw (*delicta graviora*), do których zaliczono także wykorzystywanie osób małoletnich poniżej 18. roku życia przez duchownych.

Fakty mówią same za siebie, ale nie dla propagatorów antywojtyłowskiej kampanii.

* * *

I muszę to dodać. Gdy w mediach społecznościowych zamieściłam post w obronie dobrego imienia Jana Pawła II, w jednym z komentarzy napisano: „Pani Mileno... trochę umiaru. Jak zło, to ciągle z zewnątrz? Obrona przez atak? Zna pani Marcina Gutowskiego?”.

Zamieściłam następującą odpowiedź: „Pana Marcina Gutowskiego miałam okazję poznać na promocji mojej książki o Edmundzie Wojtyle, bracie Jana Pawła II. Przyjechał z ekipą TVN.

Po emisji filmu „Franciszańska 3” Marcina Gutowskiego w TVN 24 można odnieść wrażenie, że nie o szukanie prawdy ani o pomoc osobom poszkodowanym tu chodzi. A przecież to właśnie ofiary pedofilii są – i powinny być – najważniejsze

O książce nie nagrał nic. O Edmundzie nie wspomniał na antenie. Ze mną nie zamienił ani słowa. Tylko polował na ks. Odera, żeby porozmawiać z nim o... pedofilii. Gonił go, szedł za nim krok

w krok itd. A była okazja powiedzieć dwa dobre słowa o ciekawej historii Edmunda. Pan Marcin był jedynym dziennikarzem wśród ok. 40, który w ten sposób się zachował. Tak oto go poznałam”.

Szkoda, że opisywanie bolesnych spraw Kościoła dokonuje się w sposób, który urąga wszelkim zasadom rzetelnego dziennikarstwa.

I jeszcze jedno: jeden z medioznawców powiedział mi: „Już jest pozamiatane. Przekaz poszedł w świat. Będzie powielana narracja, że Wojtyła krył. Wszystkie zasługi Jana Pawła II pójdą w kącie. Już się nie da tego odwrócić, to zapadnie w sumieniach młodych”. Tragiczna diagnoza! Ale tym bardziej nie można bezczynnie założyć rąk. Nie można milczeć wobec skandalicznych, jednostronnych antywojtyłowskich insynuacji, które miałyby przykryć właściwą wartość wielkiego pontyfikatu św. Jana Pawła II.

Autorka jest medioznawcą, adiunktem w Instytucie Edukacji Medialnej i Dziennikarstwa na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, autorką wielu publikacji i książek o Janie Pawle II i jego rodzinie

TO NIE JEST
"TYLKO"
HISTORIA KOLEJNEGO
BISKUPA KRYJĄCEGO PEDOFILA



CZEGO POTRZEBUJESZ W DRODZE DO CELU?

PO RAZ SIÓDMY JESTEŚMY BANKIEM ROKU W POLSCE
WEDŁUG MIESIĘCZNIKA THE BANKER

Sprawdź nas w działaniu. W aplikacji mobilnej:

- płać za parking i bilety komunikacji miejskiej
- czasowo blokuj kartę
- wypłacaj BLIKIEM z bankomatów w Polsce.



Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski otrzymał nagrodę „Bank of the Year 2022 in Poland”, przyznaną przez brytyjski miesięcznik „The Banker” należący do grupy Financial Times, m.in. za innowacyjne rozwiązania technologiczne.
Usługi opłaty parkingowe i bilety komunikacyjne dostarcza Mobile Traffic Data sp. z o.o., właściciel rozwiązania technicznego moBILET.
Aplikacja mobilna IKO jest usługą bankowości elektronicznej.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora,
+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Kogo zaatakują po św. Janie Pawle II?

Każda ideologia walczy z Kościołem tymi samymi metodami! To wszystko już było. Co wymyślą jeszcze? Czy będzie cykl o „oszuście z Nazaretu”?



MARZENA NYKIEL

Tak samo walczyli z Kościołem bolszewicy i niemieccy hitlerowcy, jak robią to współcześni neomarksisti. Ateizacja jest wpisana w program rewolucji kulturowej i zakłada używanie wszelkich sposobów, by zdeptać autorytet Kościoła, ośmieszyć wyznawane przez katolików wartości, odwieść ludzi od Boga i narzucić społeczeństwu zupełnie inne wzorce, priorytety i cele.

Atak na św. Jana Pawła II trwa od wielu dekad, ale w ostatnich latach stał się aktem lewackiej furii i nagonki. I z pewnością nie jest to ich ostatnie słowo.

SB WCIAŻ ROZDAJE KARTY?

Nie będę poświęcać tu uwagi „reportażowi” TVN, gdyż powiedziano o nim już wystarczająco dużo. Opieranie narracji

na SB-ekich donosach, dokumentach preparowanych przez ludzi zaciekle zwalczających Kościół w najbardziej zwyrodniałych czasach komunistycznego reżimu mówi samo za siebie. Potężne wątpliwości budzi także zuchwała pewność siebie niektórych tzw. katolickich publicystów, których umiejętność poruszania się po aktach bezpieki pozostawia wiele do życzenia, a którzy od lat ferują wyroki w sprawach nawet przez nic niezbadanych osobiście. Czy mają świadomość, jak dalece są używani w antykatolickiej narracji?

Nie ma tu metodologicznych badań historycznych i zdrowego rozsądku. Jest skrajnie emocjonalna chęć bezwzględnego rozliczenia win nawet bez próby weryfikacji. Ot, co z człowiekiem może zrobić pycha. Był dokument, sporządzony na podstawie zeznań byłego księdza czy tzw. księdza patrioty współpracującego ze służbami bezpieczeństwa PRL, staje się wyrocznią.

Kłamcy z bezpieki dyktują, co ma zostać uznane za prawdę w wolnej Polsce! Dodajmy, że tej wolnej Polski mogłoby nie być, gdyby nie potężny wysilek św. Jana Pawła II i całego Kościoła – mężnego, walecznego, prześladowanego i pełnego

nadziei w zwycięstwo prawdy. Oskarżenia o molestowanie są najłatwiejsze do sformułowania i najtrudniejsze do weryfikacji. Zwłaszcza gdy padają po kilkudziesięciu latach, i to wobec osób nieżyjących. Gdy zostają wymierzone w duchownych, trudno spodziewać się nawet domniemania niewinności. Liberalno-lewicowe media od lat ćwiczą opinię publiczną w przekonaniu, że Kościół to istne zło, a każdy ksiądz to pedofil. I choć przypadki takich działań także się zdarzają (co oczywiście, gdy tylko się pojawiają, należy je absolutnie napiętnować, eliminować i wyciągać najsurowsze konsekwencje), stanowią margines, promil wszystkich innych przestępstw seksualnych.

Ci sami, którzy szukają pedofilów w Kościele, nie widzą skali oprawców seksualnych w swoich własnych środowiskach. Ta hipokryzja jest widoczna na każdym kroku, co w jasny sposób ujawnia cel tych działań.

STRATEGIA KŁAMSTWA

Walka z Kościołem jest dla autorów przewrotu ideologicznego przestrzenią szczególnej troski. Świadomość, że

wszystko, co zostanie zniszczone w innych miejscach, może zostać jednym aktem nawrócenia odbudowane tutaj, od zawsze budziła w nich szczególną niechęć. Stąd rozpisana na lata strategia, realizowana na wielu płaszczyznach.

Z jednej strony metoda „pokoju” szturm, czyli redukcja religii do rozrywki, komercjalizacja wiary, wprowadzanie do Kościoła organizacji pseudokatolickich, podważanie doktryny przez ludzi podających się za katolików, relatywizacja prawd wiary i jej upolitycznienie. Z drugiej – bezpośredni atak na Kościół, oskarżanie, oczernianie, tworzenie kłamliwej narracji, wyśmiewanie wiernych, marginalizowanie instytucji, odzieranie Kościoła z autorytetu, kompromitowanie go z wykorzystaniem najbardziej brutalnych i kłamliwych metod. Aż wreszcie fizyczny atak na sferę sacrum, na modlących się ludzi, mniej lub bardziej agresywne terrorizowanie wiernych. Wszystkie te metody są powtarzane od dekad. Miały już kontekst majątkowy, polityczny, obyczajowy, nawet doktrynalny.

Można odnieść wrażenie, że media bez końca rozpisują te same wzory, podstawiając aktualne zmienne. Każde z tych działań do złudzenia przypomina zasadę opisaną przez Vladimira Volkoffa w książce „Montaż”. W scenie wprowadzania Aleksandra w tajniki agentury Pitman zdradza mu, w jaki sposób urabia się opinię publiczną, by przyjął przekazywane jej informacje jako niezbitą faktę: „Vademe-cum podaje 10 przepisów na tendencyjną informację. [...] Nieprawda niedająca się zweryfikować, mieszanka prawdy i fałszu, deformacja prawdy, zmiana kontekstu, zacieranie i jego odmiany, wybrane fakty, komentarz podtrzymywany, ilustracja, generalizacja, nierówne części, części równe”.

Już niemiecka, nazistowska propaganda próbowała zniszczyć Kościół, zarzucając mu pedofilię. Joseph Goebbels w 1937 r. rozpętał ostateczną walkę pod hasłem rozwiązłości duchowieństwa. Były oszczerstwa, pomówienia, pokazowe procesy i medialna nagonka. Jeden z jego najbliższych współpracowników osobiście wymyślał tytuły pra-

sowe w stylu: „Zakrystie zamienione na burdele”, a dziennikarze mieli obowiązek pieczołowitego ujawniania każdego przypadku pedofilii i szczegółowego relacjonowania toczących się procesów. Organizowano debaty i konferencje prasowe, których celem było uświadomienie społeczeństwu zagrożenia płynącego ze strony duchownych.

W latach 1934–1937 Niemcy, nazistowscy funkcjonariusze postawili przed sądem za seksualne wypaczenia 2,5 tys. kapłanów i zakonników. Winę udowodniono 64 osobom. Propaganda miała jednak tak silne natężenie, że sprawiała wrażenie całkowitego zepsucia katolickiego duchowieństwa.

Kłamcy z bezpieki dyktują, co ma zostać uznane za prawdę w wolnej Polsce! Dodajmy, że tej wolnej Polski mogłoby nie być, gdyby nie potężny wysiłek św. Jana Pawła II i całego Kościoła – mężnego, walecznego, prześladowanego i pełnego nadziei w zwycięstwo prawdy

CO JEST PRAWDZIWYM CELEM ATAKU?

Dzisiejszy przekaz niewiele różni się od tamtego. Eskalacja medialnej hysterii ma wzbudzić przekonanie, że doczekaliśmy jakiegoś wynaturzonego apogeum. Pod pretekstem obrony skrzywdzonych ofiar rozgrywa się szaleńcza walka z Kościołem, mająca odebrać mu legitymację do pełnienia funkcji formacyjno-wychowawczych.

Warto przyjrzeć się sprawie na trzeźwo, wyraźnie oddzielając te dwie warstwy. O ile zbrodnia pedofilii jest przestępstwem skandalicznym, o tyle równie skandaliczne jest budowanie

kłamliwego wizerunku Kościoła. Gółym okiem widać, że cel antyklerykalnej kampanii to odebranie mu prawa do zabierania głosu w sprawach związanych z moralnością, wyznaczania wzorców postępowania czy zajmowania stanowiska w kwestii aborcji, in vitro, eutanazji, antykoncepcji, wstrzemięźliwości seksualnej, czyli najogólniej mówiąc – całego pakietu ideologicznego. Celem jest zohydzenie instytucji, odebranie jej wiarygodności i zaufania wiernych.

Przy tak wzmożonej nagonce, która zapewne będzie trwać przez kolejne lata, wielu rodziców ulegnie podrzucanemu nieustannie pytaniu: czy twoje dziecko jest bezpieczne na katechezie, zbiórce ministranckiej, oazie lub próbie chóru? Wmawianie ludziom zgnilizny duchowieństwa zacznie w nich w końcu rezonować, może wywoła zniechęcenie, negację, odrzucenie Kościoła, katolicyzmu, a w końcu wiary. Na to z pewnością liczą inżynierowie społeczni.

Widać jednak zdecydowanie, że rewolucja obyczajowa, która z takim powodzeniem przetoczyła się przez Zachód, wciąż jest w Polsce hamowana. Polski katolicyzm, osłabiona mocno, ale jednak trwająca wciąż siła polskich rodzin, tożsamość narodowa i kotwica duchowa sprawiają, że społeczeństwo nie poddaje się bezmyślnie demoralizacji na taką skalę, jaką dla nas przewidziano. Wciąż głos hierarchów Kościoła jest dobitny, a postawa katolików niechętna genderowym objawieniom.

Potrafimy jeszcze odróżniać, co jest dla nas dobre, a co nas zgubi. Stąd to wzmożenie, ten histeryczny atak, który ma skruszyć fundamenty.

Uderzenie w kard. Sapię, w Prymasa Tysiąclecia i w św. Jana Pawła II jest dla lewicy i wrogów Kościoła tym ciosem, po którym rozproszeni, zagubieni, rozczarowani katolicy nie będą mogli już się podnieść.

Jaki będzie kolejny krok TVN i „Gazety Wyborczej”? Czyżby cykl reportaży o „oszuście z Nazaretu”, który omamiał ludzką i trzymają ją na pasku wiary przez 2 tys. lat?! Nie ma takiego antyklerykalnego szaleństwa, którego nie zdołaliby popełnić w nadziei osiągnięcia własnego celu.

Zamach na ziemię

W zaplanowanym przez Berlin europejskim superpaństwie, w które przepoczwarza się wspólnota, nie ma miejsca na obszary zarządzane przez kraje członkowskie. Komisja Europejska krok po kroku realizuje plan wywłaszczania, teraz przyszedł czas na polskie lasy. Czy uda się je obronić?



MARCIN WIKŁO

Serce mnie boli, bo las to jest moja praca, ale też moja pasja – mówi Kamil Szydłowski, nadleśniczy z Warcina w województwie pomorskim. Po wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie polskich lasów przeczytał w portalu gazeta.pl, że instytucja, w której pracuje od 17 lat, czyli Lasy Państwowe przestanie być bezkarna. Oko.press dodało, że wyrok jest przełomowy, a „gospodarka leśna prowadzona zgodnie z wytycznymi Lasów Państwowych w ramach tzw. kodeksu dobrych praktyk [...] nie gwarantuje ochrony przyrody”.

Wyrok TSUE to finał sprawy z 2017 r. Skargę na Polskę do Komisji Europejskiej złożyły wówczas tzw. organizacje ekologiczne: Fundacja Frank Bold, Pracownia na rzecz Wszystkich Istot oraz WWF Polska. Istota zarzutu zamykała się w dwóch punktach: „brak standardów ochrony przyrody przy prowadzeniu gospodarki leśnej”, a także „brak prawa do zaskarżania planów urządzenia lasu [to dokument zawierający opis i ocenę stanu lasu oraz cele, zadania i sposoby prowadzenia gospodarki leśnej na danym terenie – przyp. red.]”. Drugi element jest bardzo dyskusyjny, pierwsza sprawa została załatwiona w 2021 r., gdy polski Sejm zmienił ustawę o lasach i ochronie przyrody. A jednak Trybunał wydał wyrok nakazujący zmianę prawa, co z kolei prowadzi do prostego wniosku, że kwestie merytoryczne nie mają tutaj wielkiego znaczenia.

– Ten wyrok wpisuje się w działania Komisji Europejskiej, która w tej chwili bardzo mocno uderza we wszystkie żywotne interesy państwa polskiego. I chodzi zarówno o kwestie gospodarcze, jak i dotyczące naszej suwerenności – mówi nam Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska, pełnomocnik

rządu ds. leśnictwa i łowiectwa. Jeszcze bardziej dosadna jest europoseł PiS Anna Zalewska: – To jest zamach na ziemię, na polską własność.

ZALECENIA JAK PRZYMUS

Uderzanie w alarmistyczne tony nie jest w tym przypadku przesadzone, bo wyrok TSUE nie jest jedynym atakiem na polskie lasy. 24 stycznia br. europarlamentarna Komisja Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności (ENVI) wydała pozytywną opinię dotyczącą zmiany traktatów. Zgodnie z wprowadzoną zmianą leśnictwo miało być przeniesione z kompetencji krajowych do tzw. kompetencji dzielonych. Na tę

Uderzanie w alarmistyczne tony nie jest w tym przypadku przesadzone, bo wyrok TSUE nie jest jedynym atakiem na polskie lasy

chwile to tylko zalecenia. Znając jednak pazerność unijnych instytucji, warto podkreślić zwrot „na tę chwilę”.

– KE konsekwentnie poszerza swoje wpływy. Od kiedy weszliśmy do wspólnoty, było jasne, że to nasza wyłączna kompetencja, a kilka tygodni temu dowiedzieliśmy się, że jest całkiem poważna propozycja, by to zmienić – zauważa minister Siarka. Czy to w ogóle możliwe? Wygląda na to, że komisja ma wszystko przekalkulowane i wie, gdzie zaatakować, nie narażając się na kontrybucję wpływów grup biznesowych. – Tam gdzie jest własność prywatna, a w większości krajów UE lasy są w rękach prywatnych, trudno jest sięgać do czyjejs kieszeni i dysponować czymś majątkiem. Z kolei u nas prawie 80 proc. lasów jest w zarządzie państwa, czyli należy do nas, do wszystkich obywateli. To powoduje, że jesteśmy chyba łatwiejszym kąskiem dla instytucji europejskich – tłumaczyła

w telewizji wPolsce.pl Małgorzata Golińska, wiceminister klimatu i środowiska, główny konserwator przyrody.

Maszyna ruszyła, zalecenia zostały przyjęte na posiedzeniu komisji ENVI. 54 europosłów głosowało za, w tym Ewa Kopacz i Bartosz Arłukowicz (Koalicja Obywatelska) oraz Adam Jarubas (PSL). Przeciwno odebraniu m.in. Polsce zarządu nad lasami głosowało 19 osób, m.in. Joanna Kopcińska i Anna Zalewska (PiS).

– To jest polityczny program opozycji. Ona uznaje, że powinniśmy się zgodzić na pełną federalizację Unii Europejskiej – mówi tygodnikowi „Sieci” Anna Zalewska. – W wypowiedziach jej przedstawicieli pobrzmiewa coraz częściej wyjątkowo nieuczciwa argumentacja, że czas wojny to dobry moment, by zawiesić zasadę jednomyślności. Niby chodzi im o to, żeby nie dało się zablokować pomocy Ukrainie, a przy okazji przepchnie się najbardziej absurdalne przepisy, które zabiorą państwom takim jak Polska resztki kompetencji zagwarantowanych przez traktat o UE – dodaje.

ZIELONY SKANSEN

Nasi rozmówcy słusznie zauważają, że „bezprawna ingerencja instytucji europejskich w polski stan prawny dzieje się dzisiaj zazwyczaj pod dwoma hasłami: praworządność albo środowisko”. A ekologiczny (zwany w niektórych kręgach ekoterrorystycznym) ład, który przez wielu polityków jest traktowany jak nowa, bardzo pociągająca religia, wkracza na europejskie salony bez szacunku dla tego, co chciałby poszczególnie państwa.

Strategia bioróżnorodności, o której coraz głośniejsze w Brukseli i Strasburgu, zakłada, że 10 proc. lasów powinno być wyłączonych z jakiegokolwiek działalności przemysłowej. Całkowita ochrona, brak możliwości wycinki i pozyskiwania surowca oraz jakiegokolwiek innej ingerencji. W międzyczasie zagraniczne koncerny drzewne zorientowały się, że może to solidnie zachwiać branżą, ale w obliczu obecnych trendów trudno się temu sprzeciwić bez narażania się „ekologom”. Zastosowano więc drobną zmianę, wciąż jest mowa o 10 proc. wyłączenia, ale już nie dla każdego państwa,

ale sumarycznie dla całej Unii Europejskiej. To dlatego tak ważna jest możliwość dysponowania naszymi lasami, do czego dąży Bruksela. Oznaczałaby to zapewne realizację celów ekologicznych takich państw jak Niemcy, Francja czy Belgia... na terenie Polski.

Członkowie rządu odpowiedzialni za lasy mówią wprost o zagrożeniu dla polskiej gospodarki leśnej, która dodaje do krajowego budżetu aż 3 proc. PKB. W branży, która finansuje się sama, jest zatrudnionych ok. 0,5 mln osób. Rynek polskich produktów drewnianych ma wyrobioną przez lata markę, z którą musi liczyć się cały świat. Jesteśmy poważnym konkurentem dla zagranicznych potentatów. Te z pozoru rozproszone kłocki zaczynają się układać w całościowy obraz. Chodzi więc o biznes, ale unijni towarzysze opowiedzą nam piękną bajeczkę o „zielonym skansenie Europy” i konieczności dbania o przyrodę, a jak trzeba, to postraszą Trybunałem, który zapewne bez trudu dopatry się w Polsce przekroczenia przepisów i nałoży karę.

PODWÓJNE STANDARDY

O to, by unijne instytucje niczego w polskiej rzeczywistości nie przeoczyły, dbają zazwyczaj organizacje pozarządowe o profilu prawnym lub ekologicznym. Nie są przypadkowe, pojawiają się tam, gdzie w grę wchodzi interesy dużych międzynarodowych koncernów. Fundacja Frank Bold ponad rok temu walczyła zażarcie o rzekomo niszczone wody gruntowe wokół kopalni Turów w Bogatyni. Dzisiaj dba o to, by w polskich lasach spokojnie legły się ptaki, wraz z innymi NGO-sami nie ukrywa, że celem jest całkowity zakaz wycinki drzew w celach przemysłowych.

Gdy szła walka o Turów, furorę w mediach robiła grafika, która pokazywała, że w najbliższej okolicy, ale już po stronie niemieckiej, jest o wiele więcej i o wiele większych kopalni odkrywkowych. One jednak nie były dla „ekologów” ani dla TSUE problemem. To Polska ma wciąż naliczane kary za niewstrzymanie produkcji, mimo że wykonanie tego postanowienia (wyda-

nego jednoosobowo przez wiceprzewodniczącą TSUE sędzię Rosario Silva de Lapuerta) byłoby niebezpieczne dla systemu energetycznego w części zasilanego węglem z Turowa.

Minister Edward Siarka wspomina z żalem 2018 r. i historię wywołaną przez te same organizacje wokół rzekomego niszczenia Puszczy Białowieskiej. Już dwa lata wcześniej Lasy Państwowe alarmowały, że masowo zamierają świerki zaatakowane przez kornika drukarza i konieczna jest wycinka. TSUE te działania zablokował pod pretekstem ochrony przyrody i przy wściekłym akompania-



W większości krajów UE lasy są w rękach prywatnych, trudno jest więc dysponować czymś majątkiem. Z kolei u nas prawie 80 proc. lasów jest w zarządzie państwa, czyli należy do wszystkich obywateli. To powoduje, że jesteśmy chyba łatwiejszym kąskiem dla instytucji europejskich – mówi wiceminister Golińska

mencie ekoterrorystycznej międzynarodówki. – Efekt dzisiaj jest taki, że puszcza *de facto* przestała istnieć, ona po prostu umarła. Taki jest wynik realizacji tego orzeczenia – mówi Siarka.

Trudno w tym przypadku nie mówić o podwójnych standardach. Dwa lata temu stacja Deutsche Welle opublikowała reportaż, w którym chwaliła niemiecką gospodarkę leśną. Tłumaczono widzom, że wycinka słynnego Czarnego Lasu w Schwarzwaldzie była konieczna, żeby wesprzeć naturę i minimalizować

straty działania szkodników. Żeby nie było wątpliwości – niemieccy eksperci wyjaśniali, że kornik szybko się rozmnaża, jego obecność ma fatalne skutki dla drzewostanu, który trzeba wycinać jak najszybciej. I cóż z tego, że tak samo było w Białowieży. Przecież to Polska, a nie Niemcy.

Nie inaczej jest i dzisiaj. Komisja Europejska skarży Polskę do TSUE za brak prawa do zaskarżania planów urządzenia lasu. Po pierwsze, zawsze istnieje cywilna droga odwoławcza, a więc nie

jest prawdą, że obywatele nie mają na tę kwestię żadnego wpływu, a po drugie – w wielu europejskich krajach, z Niemcami na czele, takich przepisów w ogóle nie ma. Chciałoby się powtórzyć: i cóż z tego? Przecież to Polska, a nie Niemcy.

INTRUZ W LESIE?

Jedynym beneficjentem wymuszanej na Polsce przez TSUE zmiany prawa będą organizacje ochrony przyrody, które chcą mieć możliwość kwestionowania planu urządzenia lasu przed sądem. Rozumie to część polskiej opozycji. Niewielka.

„Niedobrze, kiedy nieznający się na przyrodzie, na gospodarowaniu przyrodą zajmują się jej regulowaniem. Wydaje się, że prawnicy mieli za małą wiedzę dotyczącą tego, jak gospodaruje się w polskich lasach” – mówił na antenie Programu I Polskiego Radia Marek Sawicki z PSL. To głos rolnika. Jego partyjny kolega, europoseł Adam Jarubas (historyk i samorządowiec), zagłosował już za oddaniem nadzoru nad lasami.

„Polska nie zgodzi się na wprowadzenie do prawa krajowego możliwości sparaliżowania gospodarki leśnej. Wyrok TSUE w sprawie polskich lasów właśnie takim paraliżem grozi” – podały

po ogłoszeniu werdyktu we wspólnym oświadczeniu resortu klimatu i środowiska oraz Lasy Państwowe.

Leśnicy czują, że dzieje się coś naprawdę złego. Ktoś z zewnątrz przychodzi nieproszony i chce urządzać im dom. – Lasy Państwowe to największa instytucja ochrony przyrody w Polsce. Nie znam leśnika, który byłby zwolennikiem niszczenia lasu. To są ludzie, którzy kochają przyrodę, naprawdę znają się na swojej robocie i mają sporą wyobraźnię w postępowaniu z miejscem, w którym żyją i pracują – mówi tygodnikowi „Sieci” Michał Woś, były minister środowiska.

Potwierdza te słowa w rozmowie z „Sieci” nadleśniczy Kamil Szydłowski. – Naszą podstawową działalnością jest pozyskiwanie drewna i gospodarka łowiecka, ale ochrona przyrody jest nieodłączną częścią naszej pracy i naszego życia. To jest kwestia etyki – mówi rozgoryczony leśnik. Sam nie wie, czy bardziej irytuje go urzędnicza ignorancja, czy fałszywość zarzutów organizacji tzw. ekologicznych mówiących o ludziach lasu jak o szkodnikach.

Nadleśniczy bardzo szczegółowo opowiada nam o swojej pracy. Każde drzewo w lesie jest oglądane i opisywane z osobna. Ptasie gniazda są w lesie zinwentaryzowane, a niezależnie od tego leśnicy wciąż poszukują nowych siedlisk, także przy użyciu urządzeń termowizyjnych. Taki spis drzewostanu tworzy leśnik, którego praca jest potem sprawdzana przez nadzorę, by wyeliminować niedopatrzania. Dopiero wówczas można wydać decyzję o ścięciu drzewa. Bez tej procedury nie można nawet, jeśli roślina tego wymaga, ani jej leczyć, ani stosować zabiegów pielęgnacyjnych. Nie ma więc mowy o przypadkowym wtargnięciu na teren lęgowy ptaków, a już kompletną niedorzecznością jest opowiadanie o masowym, systemowym niszczeniu takich miejsc. Co więcej, są także oznaczane strefy bio z gatunkami chronionymi (zarówno zwierząt, jak i roślin), w określonych miesiącach tam nie ma wstępu nikt (leśnicy także nie), nie ma więc możliwości nawet

zbierania drewna leżącego na ziemi, tzw. wywrotów.

PRAWDA I NIEPRAWDA

Obludę „ekologicznych” organizacji widać lepiej, gdy szerzej spojrzeć się na prowadzoną w Polsce politykę leśną. O co jeszcze może chodzić w tym sporze? Zapewne o politykę, ale do niej przejdziemy za chwilę. Najpierw jesz-

Tak naprawdę chodzi tu o biznes, ale unijni towarzysze opowiedzą nam piękną bajeczkę o „zielonym skansenie Europy” i konieczności dbania o przyrodę, a jak trzeba, to postraszą Trybunałem, który zapewne bez trudu dopatrzy się w Polsce przekroczenia przepisów i nałoży karę

cze o przyszłościowym biznesie, bo o tym co prawda nieco na marginesie, ale także wspominają nasi rozmówcy.

– Te tereny są cenne, bo liczy się nie tylko to, co na ziemi, lecz także to, co w ziemi – słyszymy od osoby związanej z resortem środowiska. Chodzi o metale rzadkie, na które zapotrzebowanie będzie rosło wraz z postępującą transformacją energetyczną. Polska ma zasoby miedzi, są one eksploatowane i dosyć dobrze zlokalizowane, innych metali dopiero się poszukuje. Ale jeśli gdzieś mają być, to właśnie pod lasami. Ich wydobywanie wiązałoby się oczywiście z uzyskaniem osobnej koncesji, ale w tym procesie faworyzowany na pewno byłby właściciel (lub zarządca) terenu. Dlatego kwestia nadzoru nad tymi terenami może mieć znaczenie.

Sporo jest także w ekologicznej nowomowie o bezmyślnym wycinaniu polskich lasów. Liczby temu przeczą,

wszystkie kategorie zalesiania od lat konsekwentnie u nas rosną. Kolejny mit to opowieść o tym, że młode drzewa nie uzupełnią straty po wyciętych starych roślinach. Wiek drzewostanu to także wskaźnik, który konsekwentnie w Polsce się podnosi, a jeśli chodzi o pochłanianie CO₂, to akurat drzewa młodsze (30–40 lat) są o wiele wydajniejsze niż te starsze. I jest jeszcze jeden wektor: liczona w metrach sześciennych miąższość drzew. Laicko można wytłumaczyć to tak, że drzewa w Polsce są coraz grubsze i bardziej obfite.

Wymarzona przez „ekologów” wspieranych przez naprawdę zażadne i wpływowe środowiska zmiana prawa w Polsce w zasadzie wykluczałaby swobodne poruszanie się po lasach. A to naprawdę dzisiaj nasz kraj wyróżnia na tle Europy, lasy są państwowe, każdy może korzystać. Gmina Warcino (województwo pomorskie) w 64 proc. jest porośnięta lasem.

– Dlatego ludzie tutaj z niego żyją – mówi nadleśniczy Szydłowski. – Zbierają grzyby, jagody, dzięki temu funkcjonują punkty skupu runa leśnego. Miejscowi szukają poroża zrzuconego przez jeleniowate, zbierają drewno, palą tym drewnem. Pracują też w przemyśle drzewnym albo w zakładach usług

leśnych. Albo na stałe, albo sezonowo, przy odnawianiu i zalesianiu terenu. Gdyby im to zabrać, to wielu przymierałoby głodem, bo dla wszystkich pracy w dużych miastach pewnie by nie było – mówi leśnik i tym samym porusza bardzo przyziemny problem, o którym politycy mają obowiązek wiedzieć.

– M.in. dlatego rząd Zjednoczonej Prawicy nigdy nie zgodzi się na odebranie Polakom lasów. Politycy opozycji swoimi głosowaniami pokazują, że byłiby w stanie na to przystać – mówi europoseł Anna Zalewska.

– Na obecny zamach na lasy należy patrzeć w kilku płaszczyznach. Ważnym dalekosiężnym planem KE jest zaostrzenie polityki klimatycznej, a do tego konieczna jest zmiana traktatów europejskich. Rząd Zjednoczonej Prawicy nigdy się na to nie zgodzi, więc zrobią wszystko, by go zmienić – mówi minister Michał Woś.

Patrioci kontra wasale

*Polska solidarna z 2005 r. jest teraz Polską patriotyczną,
a Polska liberalna – Polską wasalną*



STANISŁAW JANECKI

Podział na Polskę solidarną i Polskę liberalną pojawił się w kampanii parlamentarnej w 2005 r. I choć został zmystyfikowany podczas kolejnych wyborów przez stronę liberalną, właściwie nigdy nie zniknął. Tyle że ewoluował, by w 2019 r. przybrać współczesną postać, choć jeszcze wtedy nie została ona adekwatnie nazwana.

Rządy Platformy Obywatelskiej w latach 2007–2015 dość ściśle trzymały się modelu Polski liberalnej, a rządy PiS od końca 2015 r. kontynuowały program Polski solidarnej. Ale wraz ze zbliżaniem się końca drugiej kadencji Donalda Tuska

na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej zwolennicy Polski liberalnej coraz wyraźniej zaczęli przekształcać zastany model w Polskę wasalną. Wówczas stało się też jasne, że Polska solidarna poszerzyła swoje konstytutywne cechy o patriotyzm, zawsze obecny, ale nigdy wcześniej tak bardzo nieatakowany przez unijne instytucje i międzynarodowe organizacje, a także Berlin. Zarówno PO, jak i siły zewnętrzne zrozumiały, że patriotyzm jest największym zagrożeniem dla idei Federacji Europejskiej.

Solidarnościowa polityka rządów Zjednoczonej Prawicy pozwoliła milionom Polaków wydobyć się z biedy i uczyniła ich bardzo świadomymi obywatelami, dumnymi ze swojego szybko rosnącego statusu materialnego, z praktycznie nie-limitowanej wolności (w przeciwieństwie do dużej części Zachodu, gdzie wolność zaczęła zdecydowanie przegrywać z opresyjnym postępem) oraz z polsko-

ści jako oryginalnego wkładu w duchowy wymiar Europy, ale absolutnie różnego od tzw. europejskości, czyli fałszywego uniwersalizmu. Fałszywego ze względu na wykorzenienie, a wręcz zwalczanie tradycji decydującej o tożsamości poszczególnych narodów, w tym polskiego. Patriotyzm był lekiem na wpadnięcie w czarną dziurę fałszywego uniwersalizmu, czyli europejskości.

Ewolucja Polski solidarnej wprost doprowadziła do Polski patriotycznej. Z kolei Polska liberalna coraz bardziej zamieniała się w Polskę wasalną, choć oczywiście nie używano tego pojęcia, bo historycznie nie kojarzy się ono pozytywnie.

POLSKA NIEMIECKA

Zupełnie nieprzypadkowa była główna idea Donalda Tuska, gdy przewodniczył Radzie Europejskiej: więcej europejskości, żeby stłumić patriotyzm jako wprost

prowadzący do nacjonalizmu. Z kolei Polska solidarna oznaczała więcej patriotyzmu, co wzmacniało nie tylko dumę narodową, lecz także umożliwiło wreszcie podzielenie się ze współrodakami owocami wzrostu i rozwoju. I było lekarstwem na wykorzenienie i wynarodowienie, a na poziomie struktur państwowych – na przekształcenie Polski w peryferyjny region europejski.

Konkretnym wariantem Polski wasalnej jest Polska niemiecka, co trafnie odczytał przede wszystkim Jarosław Kaczyński. A Polska niemiecka to po prostu zgoda na ewolucję polskich regionów w nowe niemieckie landy, nawet jeśli formalnie niebędące częścią RFN. Przekształcenie Unii Europejskiej w federację europejską doprowadziłoby do tego, że części Polski *de facto* stałyby się niemieckimi landami.

W 2022 r. PO, już pod wodzą Donalda Tuska, a także reszta opozycji coraz mocniej starały się uciec od liberalnej ideologii i praktyki, odrzucanej przez większość Polaków. Bardzo nie spodobało się to sympatyzującym z PO politykom liberalnej ortodoksji, czyli np. Leszkowi Balcerowiczowi, Janowi Vincentowi-Rostowskiemu czy Bogusławowi Grabowskiemu. Problemem nie jest to, że Polska wasalna wcale nie jest mniej liberalna, tylko stała się jeszcze bardziej opresyjna.

Prawo i Sprawiedliwość przeciwstało opresyjnej i wykluczającej koncepcji Polski wasalnej ideę Polski patriotycznej, czyli solidarnej z elementami silnej lojalności wobec własnego państwa. Polska wasalna opozycji jest solidarna wyłącznie w obrębie tej części społeczeństwa, którą obejmuje, a lojalna wobec Unii Europejskiej i jej struktur oraz obcych państw, bo to one mają jej pomóc wrócić do władzy, czyli podporządkować nasz kraj UE. Polska patriotyczna jest z oczywistych względów przeciwna federalizacji UE.

Polska wasalna chce rozpuszczenia Polski w szerszej strukturze i opowiada się za silniejszymi lokalnymi związkami ponadgranicznymi niż w obrębie polskiego państwa. Tak jak po 2005 r. liberalizm miał zlikwidować wszelki solidaryzm społeczny, a przede wszystkim równość, tak wasalizm ubierany w szaty pełnej europejskości w 2023 r. i w następnych latach ma zlikwidować „mocarstwowe”, a nawet podmiotowe ambicje Polski.

Oprócz tego ma skończyć z „rozdawnictwem”, gdyż ono wiedzie do upodmiotowienia milionów Polaków, co czyni ich odpornymi na wasalizm. Polska wasalna chce zniszczyć efekty solidaryzmu rządów PiS oraz likwidować równość jako wartość powszechną. Wszak równość powinna dotyczyć tylko liberalno-lewicowych elit.

PRYMAT WOLNOŚCI

W grudniu 2009 r. Jarosław Kaczyński mówił, że Polska solidarna to „Polska rozwijająca się w oparciu o związek lojalnościowy między jednostkami, grupami społecznymi, regionami, miastami i wsiami”. Polska solidarność dąży do tego, by „jednostka we wszystkim tym, co będzie czyniła w życiu, nie była całkowicie zdeterminowana przez miejsce urodzenia, przez grupę społeczną, w której się urodziła, ale by była wyposażona przez wspólnotę narodową i państwo, które ją reprezentuje – w wolność”. Prezes PiS twierdził już 14 lat temu, że „wolność jest sprawą centralną, ale wolność pojęta w sposób realny, bo mogą być w jakimś kraju wszelkie swobody, ale ktoś, kto się urodzi w sferze nędzy czy w regionie, gdzie dochód na głowę jest wielokrotnie niższy niż w metropolii, taka realna wolność jednostki jest nieporównanie mniejsza, często jest w ogóle zniesiona”. Dla Polski wtedy liberalnej (i wasalnej obecnie) „związek lojalnościowy jest drugorzędny, a niekiedy w ogóle kwestionowany”. A związek lojalnościowy jest podstawą patriotyzmu, czyli największego wroga wasalizmu jako filozofii albo wprost podporządkowania się Niemcom, albo uczynienia tego pośrednio – przez rozpuszczenie się w federacji europejskiej, gdzie i tak Niemcy miałyby najwięcej do powiedzenia.

12 października 2007 r. w rozmowie z „Dziennikiem” Donald Tusk całkowicie fałszywie zinterpretował różnice obu modeli: „Podział na Polskę solidarną i liberalną spowodował, że między aktywnymi ludźmi, którzy potrafią korzystać z wolności, a tymi, którzy mają z tym problemy, pojawił się strach, pogarda, język grupowego egoizmu. Przez podział Polski na liberalną i solidarną obie grupy się okopały. Ci, którzy mają problemy z korzystaniem z wolności, zamiast na-

dziei i instrumentów do tego, by wyrwać się z przestrzeni beznadziei i dołączyć do tych z aspiracjami modernizacyjnymi, dostali od PiS zastrzyk dumy ze swojego położenia. PiS wmawia im: jesteście nieśczęśliwi, smutni, biedni, źli, ale macie już swoje media i władze i będzie dobrze, jak wciąż będziecie tkwili w tym samym miejscu”. Tusk się wtedy fundamentalnie mylił albo celowo kłamał, gdyż to Polska solidarna parla do modernizacji, tyle że z udziałem wszystkich grup społecznych, przede wszystkim tych dotychczas dyskryminowanych. Tylko modernizacja i powszechny udział w bogactwie narodowym miały sens i tak się stało w latach 2015–2022.

Jarosław Kaczyński mówił już w 2007 r.: „Ze wzrostu gospodarczego muszą korzystać wszyscy Polacy, nie tylko wąska grupa najbogatszych”. W programie PiS zapisano: „Troska o ludzi starszych, samotnych, chorych i ubogich jest realizacją idei solidaryzmu społecznego leżącego u podstaw istnienia każdego państwa”. W efekcie realizacji programu Polski solidarnej po 2015 r. nastąpiła równościowa dystrybucja dochodów państwa, co właściwie odcięło tlen Polsce liberalnej.

WIDMO APARTHEIDU

Polska wasalna dążyłaby do szybkiej prywatyzacji wszystkiego, co się da, żeby wielkie spółki skarbu państwa przestały być kotwicami suwerenności, a obcy kapitał zmusił do europeizacji firmy, Polaków i ostatecznie Polskę. Platforma Obywatelska w projekcie Polski liberalnej wypchnęła państwo z wielu sektorów życia gospodarczego i społecznego. W modelu Polski wasalnej państwa ma być jeszcze mniej, a może nawet wcale.

W 2023 r. Polska wasalna oznacza eliminowanie politycznych przeciwników i ich sympatyków jako wrogów demokracji, UE i europeizacji. To proste nawiązanie do praktyki bolszewików i innych totalitarystów. Gdyby taka Polska zaistniała, zmierzałaby do wyrzeczenia się suwerenności oraz swego rodzaju apartheidu, a przynajmniej dyskryminacji tych, których uzna się za wrogów. Taki sam podział istniał w latach 1944–1956, a ugruntowano go terrorem oraz fałszując referendum w 1946 r. i wybory parlamentarne w 1947 r.

Znamy program Platformy

Platforma nie ma spisanego programu wyborczego.

Nie oznacza to jednak, że nie ma żadnego pomysłu na władzę.

Politycy tej partii bez przerwy bowiem mówią o tym, co zrobią, gdy w końcu uda im się wygrać wybory. Na podstawie tych

wypowiedzi można zrekonstruować ich program.

Zmierza on do totalnego odwrótu od rządów PiS

Leszek
Balcerowicz

Platforma Obywatelska nie ma żadnego konstruktywnego pomysłu na wypadek przejęcia władzy. Jej program sprowadza się w zasadzie do jedyne, niezmiennie powtarzanego hasła: „J...ć PiS”. Jednak w gruncie rzeczy ten wulgarny slogan stanowi idealną syntezę wszystkiego, co planuje PO. Chodzi bowiem o totalną destrukcję każdej rzeczy, którą udało się osiągnąć podczas blisko ośmiu lat rządów PiS.

Fanatycznym wyborcom anty-PiS-u intelektualnie to wystarczy. Skoro mają zakodowane w swoich głowach, że PiS to największe zło tego świata, to nie ma sensu troszczyć się o jakiegokolwiek szczegóły, trzeba po prostu z tym złem skończyć bez wdawania się w jakiegokolwiek negocjacje. Nie domagają się więc żadnych konstruktywnych propozycji czy starcia na oferty programowe, bo kierują nimi rozpalone do czerwoności skrajnie negatywne emocje. I to na tych emocjach przebiega do władzy Platforma.

To bardzo wygodne dla tej partii. Nie musi składać nikomu żadnych wiążących obietnic, nie musi wytyczać



KONRAD KOŁODZIEJSKI

umysłów, bo to wszystko zastępuje jeden chamski slogan. Platforma wie, że gdyby walczyła w cywilizowany sposób, to pewnie musiałaby na wieki pozostać w opozycji. W uczciwej debacie trudno byłoby jej bowiem przekonać wyborców, że żyją pod władzą opresyjnego reżimu, ponieważ cała dostrzegalna rzeczywistość temu przeczy. Trzeba więc oślepić zdrowe zmysły chorymi emocjami i – jak poradził Marek Belka – po prostu kłamać.

Negatywne emocje mają otworzyć Platformie drogę do władzy. Ich głównym źródłem jest Donald Tusk – człowiek, którego zachowanie wskazuje, że zemsta na PiS ma dla niego czysto osobisty, wręcz obsesyjny wymiar. „Rozliczymy PiS z każdego łajdactwa,

z wszystkich ludzkich krzywd i tragedii, do których doprowadzili, sprawując władzę. Przyrzekam” – napisał 4 marca na Twitterze. I można mu wierzyć w tym sensie, że po ewentualnym dojściu PO do władzy będzie się mścił.

I to właśnie program tej zemsty jest właściwym programem wyborczym Platformy. Można go z łatwością zrekonstruować na podstawie wypowiedzi polityków i wpływowych zwolenników tej partii. Miałaby to być zemsta nie tylko na obecnym obozie rządzącym, ale na tej części społeczeństwa, która w 2015 r. odsunęła partię Tuska od władzy i przekazała ją jego rywalom. W gruncie rzeczy byłaby to więc zemsta na całej Polsce za to, że ośmieliła się skorzystać ze swoich praw i wybiła się na suwerenność.

DELEGALIZACJA PIS

Głównym celem PO jest nie tylko zdobycie władzy, lecz także takie jej utrwalenie, by nigdy więcej nie dopuścić do powtórki z 2015 r. Dlatego konieczna jest eliminacja PiS – czy szerzej obozu

patriotycznego – jako liczącej się siły politycznej w Polsce.

Naturalnie nie da się tego dokonać w drodze demokratycznych wyborów, trudno bowiem usunąć formację, za którą opowiada się więcej niż jedna trzecia wszystkich wyborców. Trzeba więc pokombinować inaczej i przekonać społeczeństwo, że chodzi o walkę z ogromnymi nadużyciami obecnej władzy. Że PiS – jak stwierdził poseł KO Dariusz Joński – to „ośmiornica i te macki ośmiornicy sięgają każdej instytucji, spółki skarbu państwa i gminy, gdzie rządzi PiS. To pokazuje, jak mocno to szambo PiS rozlało się na cały kraj”. „Ta ośmiornica PiS-owska coraz bardziej oplata Polskę” – sekundował mu w TVN24 inny poseł KO Jakub Rutnicki.

Ktoś złośliwy mógłby to skomentować, że po prostu politycy opozycji aż się rwą do tego, by przejąć stanowiska w spółkach skarbu państwa, ale chodzi tu o coś więcej niż o te czy inne stolki. Chodzi o to, by uzasadnić czystki w całym aparacie państwa i jego depisyzację. W ślad za prezesami spółek skarbu państwa mieliby bowiem pójść zwykli urzędnicy, dziennikarze, eksperci, jakiś drobny biznes, rolnicy – każdy, komu można byłoby zarzucić, że sympatyzował z PiS. Bo PiS – jak sugeruje Tusk – to złodziej, organizacja mafijna, a członków i współpracowników mafii usuwa się z życia publicznego. Co więcej, wobec członków mafii można stosować mechanizm konfiskaty rozszerzonej, która pozwala organom ścigania zajmować na poczet przyszłych kar domy, grunty, samochody oraz przedsiębiorstwa i udziały w spółkach należące do przestępcy lub do tzw. osób trzecich, czyli tych, którym przestępca przekazał mienie.

Tusk wprost odwołał się do tego rozwiązania w styczniu, gdy zapowiedział, że wydusi pieniądze od o. Rydzyka, zbierając przy tym dodatkowo aplauz antyklerykalnej części swojego elektoratu. Plany Platformy szczerze podsumowali dwaj publicyści Onetu (Andrzej Stankiewicz i Kamil Dziubka), którzy bez ogródek napisali, że „jeśli Tusk chce naprawę pokonać Kaczyńskiego i wysłać go na wieczną emeryturę, to musi mu odciąć korzenie finansowe”.

W tym momencie widać, jak ogromną rolę w tym planie odgrywają sądy. Pomysł uznania PiS za organizację przestępczą może się powieść tylko w sytuacji, gdy opozycja będzie sprawowała władzę nad umysłami sędziów. A biorąc pod uwagę polityczne zaangażowanie wielu z nich, można mieć – delikatnie mówiąc – całkiem uzasadnione obawy co do tego, czy Temida w Polsce jest naprawdę ślepa.

Uznanie PiS za mafię jest już tylko krokiem do delegalizacji tego ugrupowania. Politycy opozycji są na razie ostrożni w rzucaniu takimi zapowiedziami, z przyczyn taktycznych wolą, by wyręczali ich w tym sympatyzujący z nimi eksperci i publicyści. Radosław Markowski w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” uważa „za rzecz absolutnie stosowną, by porządny Trybunał, powołując się na odpowiedni paragraf konstytucji, zajął się problemem, czy partia PiS za swoje ośmiolenie nie powinna zostać zdelegalizowana”. A skoro eksperci tak twierdzą i elektorat się tego domaga, to Platforma nie ma wyjścia i musi pójść dalej.

Punkt pierwszy programu PO zakłada więc uznanie PiS za mafię, a punkt drugi delegalizację tego ugrupowania jako organizacji przestępczej oraz powsadzanie do więzień jej członków i sympatyków. „Cela+ będzie programem jeszcze lepiej przygotowanym dla tych wszystkich, którzy w sposób tak bezprzykładny, tak świetnie zorganizowany, jeśli chodzi o pieniądze, zbudowali ten system dojenia państwa i publicznych pieniędzy” – zapowiedział w lutym Tusk.

CELA+

O tym, kto powinien iść w pierwszej kolejności do więzienia, napisał niedawno Maciej Górecki, wykładowca Wydziału Psychologii UW, szerzej znany jako sympatyzujący z PO internetowy troll. Zdaniem Góreckiego „wszyscy pracownicy TVP, zwłaszcza TVP Info, to zbrodniarze. Nie będzie dla nich litości w nowej Rzeczypospolitej. Będą ścigani także ekonomicznie. Wprowadzone zostanie embargo na ich zatrudnienie, oczywiście także konfiskata majątku. Będą puszczeni bez skarpetek”. I dalej:

„Oczywiście Kleczek, Graczak, Klarenbach czy Ogórek do więzienia, to jest rola demokratycznego państwa [...]”. Montażysta w TVP Info to taka sama kanalia jak Kleczek czy Graczak. Montujesz kłamliwe materiały, jesteś kłamcą. Montujesz programy, w których szczuje się na ludzi, ty także szczujesz”. Szczerza wypowiedź, bo wskazuje, że nie o rzekome dojenie państwa tu tak naprawdę chodzi, ale o zemstę na politycznych przeciwnikach i ogólnie na ludziach mających inne poglądy.

Rewolucyjny zapal Góreckiego ma oczywiście związek z pomysłem likwidacji TVP Info, stacji szczególnie znienawidzonej przez anty-PiS-owską opozycję. Nad projektem obywatelskiej ustawy w tej sprawie, firmowanej – co istotne – przez Rafała Trzaskowskiego, w zeszłym tygodniu zajmował się Sejm. Do projektu dołączono czysto populistyczny pomysł likwidacji abonamentu RTV.

Kolejny punkt programu PO zakłada więc powrót do dawnego monopolu medialnego, w którym główną rolę odgrywają prywatne stacje i wydawnictwa finansowane głównie przez zagraniczny kapitał. Z punktu widzenia PO daje to gwarancję trwałego odsunięcia obozu PiS od szerokiego wpływu na wyborców. A z punktu widzenia zagranicznego kapitału – pewność, że jego interesy będą chronione przez platformską władzę.

Oczywiście Platforma przedstawia to jako *de facto* formę oszczędności budżetowych. Telewizja publiczna kosztuje, po co więc na nią płacić, zwłaszcza że służy – jak twierdzi PO – wyłącznie napedzaniu głosów PiS-owcom. Jednocześnie PO mocno atakuje wszystkie media sprzyjające PiS. Podważanie ich wiarygodności, brutalne ataki na pracujących tam ludzi, stygmatyzowanie i zastraszanie mają służyć osłabieniu przekazu oraz zmonopolizowaniu wpływu informacji.

Anty-PiS-owska opozycja głęboko wierzy w to, że ludzie w Polsce są głupi i gdy tylko odetnie się ich od mediów wspierających PiS, sługawi każdego, kto myśli inaczej, i wstawi w jego miejsce Kraśkę, Lisa czy Żakowskiego, to natychmiast wpłynię to na wyniki wyborów. Przed 2015 r., gdy obecna opozycja kontrolowała większość mediów,

jakoś się to nie udało. Dlatego też tym razem trzeba uderzyć mocniej, nie tylko wyrzucać inaczej myślących na bruk, ale jeszcze ich sterroryzować i – jak pisze Maciej Górecki – puścić w skarpetkach i powsadzać do więzień. Za co? Ano w istocie za to, że nie wspierają Platformy.

MOTŁOCH DO ROBOTY

Taki plan to już w rzeczywistości program budowy jakiejś formy autorytaryzmu, w którym istnieje tylko jedna dopuszczalna linia polityczna – ta, która jest kształtowana przez władzę. Żeby to osiągnąć, nie wystarczy zdelegalizować PiS i powsadzać sympatyków tej partii do więzień. Trzeba jeszcze wypalić całą glebę, na której rośnie poparcie dla niewłaściwych poglądów.

To jasne, że nie wsadzi się do więzień jednej trzeciej konserwatywnie myślącego społeczeństwa. To niemożliwe i przeciwnie skuteczne politycznie. Zamiast tego trzeba tych ludzi po bolszewicku albo stygmatyzować i zastraszyć, albo przeciągnąć na swoją stronę.

Kijem może być np. wspomniane przez Sławomira Nitrasa opiółowanie katolików z przywilejów lub odebranie programów socjalnych, a marchewką – amnestia dla tych, którzy gorliwie pójdą z duchem czasu. Niedawno przypominałem na tych łamach wypowiedzi Leszka Balcerowicza i Bogusława Grabowskiego domagających się likwidacji programów pomocowych dla ludności i niemalże całkowitej wyprzedaży państwowego majątku, czyli – krótko mówiąc – całkowitego odrzucenia dotychczasowej polityki społecznej PiS. Biedota tak jak w latach 90. miałaby znowu zacisnąć pasa. Ale to kara za głosowanie na PiS. Platformerskie elity aż dyszą żądzą zemsty na „patologii”, która ośmieliła się podnieść głowę i skorzystać ze swoich demokratycznych praw. Teraz „motłoch” będzie musiał zwrócić wszystkie nienależne pieniądze tym, od których je wcześniej wyciągnął.

Oficjalnie PO zaprzecza, że będzie kasować programy pomocowe. Można być jednak pewnym, że w przypadku

wygranej Platformy, te programy zostaną tak przekonstruowane, by zmienić dotychczasowy kierunek transferu pieniędzy. Pomyśl programu mieszkaniowego Tuska czy np. zastąpienie 500+ ulgami podatkowymi, będą oznaczające zyski i oszczędności dla bardziej zaможnej części społeczeństwa. I znow

Wulgarny slogan „J...ć PiS” można odczytywać jako „J...ć Polskę”. Bo skoro ta Polska okazała się niegodna oczekiwań Tuska, jego kamaryli i zagranicznych przyjaciół, to należy ją teraz zaorać

będzie tak, jak było. Państwo tylko dla najbogatszych – to następny punkt programu PO.

Swoją kamyczek do ogródka wrzuca tu lewicowe skrzydło PO z jego ekologizmem zagrażającym rolnictwu i leśnictwu, które stanowią ważną gałąź polskiej gospodarki. Jednak rolnicy to nie jest przecież elektorat PO, więc należy ich zniszczyć jako potencjalną bazę PiS. Przy okazji można zapunktować w Brukseli czy Berlinie. Wzrost znaczenia Polski od dawna budzi tam irytację i niepokój, więc każdy ruch ograniczający możliwości naszego państwa będzie powitany z dużą przychylnością.

WIELKIE ROZBROJENIE

Większość Polaków pod rządami PO ma się znaleźć pod butem władzy, by już więcej nie wierzgali. Przekłada się to bezpośrednio na spadek siły całego państwa, które zamiast służyć obywatelom, wyrównywaniu ich szans czy zapewnianiu im bezpieczeństwa, stanie się europejskim karłem uzależnionym od otoczenia, pokornie zbierającym – jak jeszcze osiem lat temu – nieustanne cięgi i słuchającym zagranicznych rad.

Nic dziwnego więc, że Platforma w ramach walki z rzekomymi patologiami PiS chce rozprawy z dochodowymi spółkami państwowymi. Tymczasem wiele z nich ma strategiczne znaczenie dla państwa i w przeciwnieństwie do kapitału zagranicznego realizuje państwowe interesy. I tak powinno być pod każdą władzą, której zależy na wzmacnianiu Polski, niezależnie od jej politycznych barw. Dobór ludzi do wykonywania tych zadań to sprawa istotna, ale wtórna. Pozbycie się tak ważnego instrumentu stymulowania gospodarki przez państwo przypomina rozbicie armii, w czym zresztą PO ma swoje niewątpliwe zasługi. Niektórzy politycy i eksperci opozycji posuwają się tak daleko, że mimo wojny na Ukrainie żądają zerwania umów zbrojeniowych zawartych przez obecny rząd (np. Janusz Zemke czy Mirosław Różański).

Na szczęście nie da się już zasy-pać przekopu Mierzei Wiślanej czy tunelu w Świnoujściu. Ale zawsze jeszcze można przecież sprzedać LOT czy zamknąć budowę CPK, który – co trzeba przypomnieć – ma być nie tylko lotniskiem i strategicznym hubem o znaczeniu militarnym, ale przede wszystkim wielkim projektem rozbudowy sieci kolejowej w Polsce. Rafał Trzaskowski mówił już przecież kiedyś, że nie ma sensu budować nowego lotniska w Polsce, bo takie jest w Berlinie.

Podobnie jest z wejściem do strefy euro, czego Platforma wcale nie porzuciła. Tusk latem ub.r. zapowiadał, że w 2024 r. można będzie przystąpić do procedury wprowadzenia unijnej waluty. A więc – najprościej rzecz ujmując – czas już oddać kontrolę nad polską gospodarką bankowi we Frankfurcie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że plan Platformy jest w istocie programem zatrzymania rozwoju Polski.

W tej sytuacji wulgarny slogan „J...ć PiS” można odczytywać jako „J...ć Polskę”. Bo skoro ta Polska okazała się niegodna oczekiwań Tuska, jego kamaryli i zagranicznych przyjaciół, to należy ją teraz w zemście zaorać. Jesienią przekonamy się, czy ten program zostanie wcielony w życie.



Efektywność energetyczna w firmie?
Zrób audyt z TAURONEM i oszczędzaj!

biznes.tauron.pl/audyty

Polityka w cieniu tragedii

Polityk Platformy Obywatelskiej, syn ważnego działacza SLD i byłego członka PZPR, był pedofilem, który skrzywdził dziecko swojej przyjaciółki z PO. Był działaczem LGBT+, a w dodatku pełnomocnikiem marszałka województwa zachodniopomorskiego ds. uzależnień – tym bardziej makabrycznie brzmi, że zgwałcił chłopca, odurzając go narkotykami. Gdzie jest dno tego mroku?



PlatformaObywatelska @Platforma_org - 7 mar

@donalduktusk: Mikołaj został zaszczytowany przez brak dyskrecji, brak delikatności, przez złą intencję funkcjonariuszy władzy i tak zwanych mediów publicznych.



7 marca 2023 r. Donald Tusk po pogrzebie syna posłanki PO znów zaatakował media publiczne

1471 760 3001 132,2 tys.

W sierpniu 2020 r. chłopiec miał 13 lat. Krzysztof F. dobierał się do niego jako wieloletni przyjaciel rodziny. Rodzice są skonfliktowani, matka trzymała ojca na dystans, choć ten próbował zaopiekować się dziećmi. Ona sama była w tym czasie zaangażowana w działalność opozycyjną. Posłanka klubu Koalicji Obywatelskiej w feralnym miesiącu protestowała na ulicach w obronie innego działacza LGBT+ – Margot, a w jej własnym domu inny tęczyowy działacz krzywdził dziecko. Magdalena Filiks z dumą obnosiła się, jak bardzo jest zapracowana w związku z walką z rządem, obroną praworządności, walką z Trybunałem Konstytucyjnym. Podkreślała, że prawie nie ma jej w domu. Dziecko wkrótce wyjawiało straszną prawdę, co się działo podczas jej nieobecności.

Pedofil szybko zostaje skazany, ale dostaje zadziwiająco niski wyrok: niecałe pięć lat więzienia, gdy prawo przewiduje do 12 lat pozbawienia wolności. Omija go jednak jeszcze jedna rzecz – publiczne napiętnowanie, które zazwyczaj towarzyszy tego typu sprawom. Gdy podobna rzecz ma miejsce w środowiskach katolickich, to twórcy kręcą filmy dokumentalne o milionowym



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

budżecie, ryczą o tym nagłówki wszystkich liberalnych i lewicowych mediów. Gdy sprawa może zaszkodzić polskiej prawicy, to szykuje się z tego wielką prowokację. Przecież pamiętamy, jak podczas wyborów prezydenckich w 2020 r. próbowano przypisać Andrzejowi Dudzie ułaskawienie pedofila, choć tamten przypadek wyglądał zupełnie inaczej. Tutaj zdarza się

medialny cud – pedofil z Platformy Obywatelskiej jest schowany w medialnym cieniu i całe otoczenie nabiera wody w usta.

PEDOFIL Z PO

Tymczasem sama historia Krzysztofa F. zawiera makabryczną drogę życia. Człowiek z takimi skłonnościami przez całe lata zajmował się... dziećmi. Jest psychoterapeutą, specjalizował się we wszystkim tym, przeciwko czemu zawinił. Angażował się w przeciwdziałanie przemocy w rodzinie, pracował w jednym ze śląskich centrów psychoterapii, spotykał się z dziećmi, by pomagać im radzić sobie z problemami. Cały czas był blisko najmłodszych jako ich intymny opiekun i powiernik najgłęb-

szych sekretów. Wiedział, jak manipulować dziećmi. Samą posłankę, matkę ofiary, znał od lat, więc swobodnie poruszał się po jej domu i po jej rodzinnych sprawach.

On sam jest dzieckiem wpływowego działacza SLD, który w dobie największych wpływów tej partii pełnił najwyższe funkcje w regionie jako wojewoda gorzowski (1995–1997), a później jako przewodniczący sejmiku lubuskiego (2001–2006). Kto pamięta termin „SLD-owscy baronowie”, ten wie, ile znaczyły takie postacie w swoich województwach. Syn jest aktywistą LGBT+ i psychoterapeutą, w 2018 r. kandyduje do sejmiku wojewódzkiego z listy Platformy Obywatelskiej ze złowieszczym hasłem wyborczym: „Dobro wraca”.

Podsumujmy pozycję Krzysztofa F.: syn wpływowego SLD-owca, przyjaciel posłanki z Platformy, znany działacz LGBT+ i psychoterapeuta w wielu ośrodkach dla dzieci. Był mocno osadzony w lokalnych strukturach partyjnych. Gdy o wielemniejszej rangi sprawy wpływają do debaty publicznej, anty-PiS-owscy komentatorzy przeżywają pełne wzmocnienie. Gdy o ojcu jednego z posłów Zjednoczonej Prawicy wypłynęło podejrzenie molestowania członka rodziny, Katarzyna Sadło, ps. Kataryna, publicystka m.in. „Rzeczpospolitej”, pisała paternalistycznie: „Dla dobra własnych dzieci powinien się wycofać z życia politycznego do czasu rozstrzygnięcia i uciśnięcia. Żeby medialny szum wokół rodziny był jak najmniejszy. Ale pewnie wygra polityka”. Tymczasem posłanka PO także nie zrezygnowała z polityki ani z popierania aktywistów LGBT+, ciągle chwaliła się zapracowaniem i swoją nieobecnością w domu.

Nie chcemy nawet zgadywać, jak cierpiało jej dziecko, bo choć pedofil szybko trafił do więzienia, to jednak trauma i psychiczne urazy w głowie dziecka nie wyparowały. W środowisku szczecińskiej polityki jest tajemnicą poliszynela, że chłopiec podejmował próby samobójcze. Ta z lutego 2023 r. okazała się udana, pogrzeb odbył się na początku marca. Nigdy już nawet nie odgadniemy skali krzywdy, którą wyrządzono dziecku. Ale ta makabra jeszcze się nie skończyła.

TUSK SPUSZCZA PSY Z ŁAŃCUCHA

3 marca br. o godz. 20.50 posłanka informuje w mediach społecznościowych o pogrzebie swojego dziecka. Prosi, by „media” (pisze w cudzysłowie) nie pojawiały się na uroczystości. Ma na myśli głównie media publiczne, bo 29 grudnia 2022 r. na falach szczecińskiego radia redaktor Tomasz Duklanowski poinformował społeczeństwo o sprawie pedofila z PO. Użył określenia, że ofiarami były dzieci parlamentarzystki i opozycja uznała, że w ten sposób ujawnił dane ofiary. Pod komunikatem polityk pojawiają się setki kondolencji i wyrazów współczucia, trudno sobie wyobrazić, co czuje rodzina po samobójstwie dziecka.

Następnego dnia rano sytuacja jednak się zmienia. O godz. 7.31 Donald Tusk, nawiązując do tragedii dziecka, pisze: „Rozliczymy PiS z każdego łajdactwa, z wszystkich ludzkich krzywd i tragedii, do których doprowadzili, sprawując władzę. Przyrzekam”. I zaczyna się medialna jatka. O śmierć dziecka posadza się Duklanowskiego, Radio Szczecin oraz TVP Info. To oni jako pierwsi podali informację o pedofilu z Platformy. Nieważne, że o tym chwilę później informowały także inne media: interia.pl, „Super Express” czy portal Tomasa Lisa natemat.pl, liczy się tylko atak na publiczne stacje. Nikt nie wykazał, że dziecko zostało po informacji Duklanowskiego zidentyfikowane, że chłopiec wiedział o tekstach i że one jakkolwiek wpłynęły na jego psychikę, ale wyrok został wydany.

Opozycyjni politycy, związani z nimi dziennikarze i komentarzy rzucają się z wyzwiskami na każdego, kto śmie mówić o pedofilu z Platformy Obywatelskiej. Nagle winnym śmierci nie jest pedofil, nie zawiedli psychologowie, nie zabrakło wsparcia – winny jest dziennikarz.

Spirala historycznej nienawiści zaczyna zahaczać o przypadkowe osoby. Młody działacz PiS Oskar Szafarowicz, który pod koniec grudnia dziwił się w mediach społecznościowych matce, że wybrała politykę, a nie opiekę nad dzieckiem (tak jak Katarzyna Sadło pisała o tym w kontekście polityka PiS) stał się celem nieprawdopodobnych ataków. Tego studenta prawa Uniwersytetu Warszawskiego wyzywano, grożono mu śmiercią, oszczerstwa wysyłano do jego rodziców. Wreszcie młodzieżowi działacze Nowoczesnej, Zielonych i Młodej Lewicy organizują akcję... wyrzucenia Szafarowicza z uczelni. Uniwersytet prawdopodobnie zareaguje rozważnie, ale już sam fakt, że za tweeta chce się wyrzucać ze szkoły, wygląda jak nagonki w PRL.

Opozycyjni politycy, związani z nimi dziennikarze i komentarzy rzucają się z wyzwiskami na każdego, kto śmie mówić o pedofilu z Platformy Obywatelskiej. Nagle winnym śmierci nie jest pedofil, nie zawiedli psychologowie, nie zabrakło wsparcia – winny jest dziennikarz

MROCZNA KAMPANIA

Ta cała sprawa jest iście demoniczna. Na styku SLD, PO i LGBT+ rodzi się czyste zło krzywdzące dzieci, po czym Donald Tusk spuszcza medialne psy z łańcucha i wytwarza się aure, że dziecko zginęło przez dziennikarza, a nie przez zwyrodnialca i jego otoczenie.

W tym samym czasie odpala się niewiarygodny materiał TVN na temat Karola Wojtyły, że rzekomo miał kryć pedofilów. „Newsweek” i „Gazeta Wyborcza” wyprowadzają w stronę papieża Polaka kolejne medialne ciosy. O pedofilu w partii opozycyjnej nie wolno mówić. Ten problem jest w potężnych mediach zazerwowany tylko dla Kościoła w Polsce.

Odwracanie pojęć, kłamstwa, historyczne ataki z jakimś psychopatycznym wzmocnieniem moralnym – wyborcy opozycji wierzą, że atakując TVP, dokonują sprawiedliwości na mordercach dziecka.

Ta kampania wyborcza zapowiada się wyjątkowo mrocznie. Do jesieni będziemy mieli takich akcji zdecydowanie więcej. ▀

Nagonka na młodego konserwatystę

Oskar Szafarowicz udowodnił, że młody człowiek może być zwolennikiem polskiego obozu patriotycznego i konserwatywnych wartości. Stał się solą w oku lewicowo-liberalnego establishmentu



GORAN ANDRIJANIĆ

Oskar Szafarowicz zwraca na siebie uwagę, odkąd polska opinia publiczna usłyszała o nim po raz pierwszy. Działacz młodzieżówki PiS i jeden z założycieli Okiem Młodych, profilu na TikToku, na którym on i jego przyjaciele komentują aktualne wydarzenia polityczne, stał się solą w oku lewicowego-liberalnego establishmentu.

Przed wszystkim dlatego, że udowodnił, iż młody człowiek może być zwolennikiem polskiego obozu patriotycznego i reprezentowanych przez niego konserwatywnych wartości. Również pokazał, że potrafi swoje poparcie dla tych wartości prezentować również w atrakcyjny i zrozumiały sposób, na który mogą zareagować.

Tym samym Szafarowicz i jego przyjaciele (Wiktoria Mielniczuk

i Kamil Kaniuk) zagrozili ważnemu monopolowi. Sieci społecznościowe, a w szczególności TikTok, będący bardzo wpływowym medium, były postrzegane jako niekwestionowane

terytorium lewicowych sił politycznych, za którego pośrednictwem przekazują swoje idee młodym pokoleniom. Profil stworzony przez młodych dla młodych, na którym jest prezentowany konserwatywny pogląd na rzeczywistość polityczną, był w tym sensie czymś nowym i niebezpiecznym dla istniejącego układu.

POD OSTRZAŁEM

Właśnie z tego powodu fala nienawiści, która ruszyła wtedy przeciwko młodym konserwatystom z obozu totalnej opozycji, nie powinna być dla nikogo zaskakująca. Nie chodziło tylko o anonimowych internautów, którzy obrażali młodych ludzi w najbardziej prymitywny sposób, lecz także o polityków (atakowały m.in. Katarzyna Lubnauer i Anna Maria Żukowska) i dziennikarzy, którzy pisali o nich w sposób nieco mniej obraźliwy, ale niosący te same przesłania.

„Przeszkadzamy im, bo jasno pokazujemy, że młody człowiek może mieć konserwatywne wartości i może poprzeć PiS. Po tym spadła na nas lawina hejtu. Sądzę, że trochę się przestraszyli, bo pokazaliśmy im, że mogą być różne i wolne głosy w internecie” – mówił Szafarowicz w rozmowie z Jakubem Maciejewskim dla telewizji wPolsce.pl.

Niedługo potem znów znalazł się pod ostrzałem, gdy wygrał teleturniej TVP „Giganci historii”, w którym tematem odcinka była Polska Sasów. Za zwycięstwo otrzymał 20 tys. zł. Po jego zwycięstwie media totalnej opozycji pisały o wątpliwej sytuacji, przedstawiając triumf młodego intelektualisty jako nepotyzm mediów publicznych, nie przedstawiając na to absolutnie żadnych dowodów.

Podobne zarzuty wysunął poseł PO Michał Szczerba. Szafarowicz uciszył go wtedy w mocny sposób, proponując posłowi debatę na temat „analogii między zaprzaństwem XVIII-wiecznej Polski a współczesnymi stronnictwami obozu podległości i zaprzędawania suwerenności”. Szczerba nie przyjął wyzwania, a młody działacz wyszedł z całej historii z jeszcze większą popularnością.

Maciejewski uznał go wtedy, w artykule dla portalu wPolityce.pl, za złote dziecko młodzieżówki PiS. „Wykazał się przebojowością, determinacją, teraz w dodatku pracow-

tością i wiedzą... Wschodzącą gwiazdę Szafarowicza warto odnotować i obserwować” – pisał wtedy Maciejewski.

WRZENIE NA UW

Dzisiaj obserwujemy kolejny etap nagonki na Szafarowicza, który – żeby było jeszcze bardziej tragicznie – wyszedł z kręgów akademickich.

Wszystko ma związek z samobójstwem syna posłanki PO Magdaleny Filiks. Tragiczna śmierć młodego chłopca molestowanego przez pedofila Krzysztofa F., przyjaciela jego matki i osobę bliską środowisku Platformy, wywołała histerię w szeregach totalnej opozycji.

Donald Tusk i jego zwolennicy chcą wykorzystać tę śmierć dla własnych celów politycznych, obiwiniając o tragiczne wydarzenia media publiczne i PiS. Polityk, który mówił, że nigdy nie zrobi kariery na grobach zmarłych, teraz właśnie to robi, a jego obóz w pierwszych dniach po ogłoszeniu śmierci chłopca uderzył we wszystkie strony i użył do tego całej dostępnej sobie broni. Szafarowicz również stał się ofiarą poboczną tej kampanii.

Chodzi o jeden z jego tweetów, który napisał już po tym, jak media ujawniły aferę pedofilską w szeregach PO, a partia chciała ją ukryć. „Najbardziej wstrząsające jest to, że matka ofiar pedofila z PO (13-letniej poddanej pedofilii córki, 16-letniego syna, którego skazany kusił narkotykami) – znana POSŁANKA PO – milczy od ponad roku, stawiając karierę partyjną ponad dobrem dzieci. Zmuszona przez władze PO do milczenia” – napisał Szafarowicz.

Ten tweet powstał w czasie, gdy o całej aferze rozpisywały się już wszystkie media, a opozycja rozpoczęła kampanię mającą na celu odwrócenie uwagi od tego, że mieli w swoich szeregach pedofila.

Podobnie jak inne wypowiedzi Szafarowicza tak i ten tweet (po śmierci chłopaka usunięty) ma w sobie pewną bezpośredniość, charakterystyczną dla stylu nie tylko politycznych internetowych influencerów. Z tym stylem możemy się zgadzać lub nie. Ale czy możemy kogoś ukarać za jego opinię? Rozsądny człowiek odpowiedziałby przecząco. Ale w świecie totalnej opozycji jest coraz mniej rozsądku.

„Będę interweniowała do władz uczelni o dyscyplinarne usunięcie Oskara z uczelni” – napisała Daria Brzezicka, studentka prawa na Uniwersytecie Warszawskim, na którym studiuje Szafarowicz.

„Robię to jako studentka UW, jako osoba studiująca na jednym wydziale z tym zepsutym człowiekiem, a przede wszystkim jako osoba, która sama w rodzinie ma kogoś, kto walczy o swoje zdrowie psychiczne. Obrzydliwe insynuacje, jawne przyczynienie się do szerokiego hejtu – nie powinno się zdarzyć przyszłemu prawnikowi. Miejsce na uczelni Ziobry czeka – good luck” – napisała, rozpoczynając nową falę ataków na młodego działacza PiS. Studentka nie dodała tylko,

że sama jest aktywnym członkiem partii i rzeczniką Unii Europejskich Demokratów. Stało się jasne, że jej starcie z Szafarowiczem to zwykła polityczna rozgrywka udająca troskę o demokrację i interes publiczny. Brzmi znajomo?

Idea, że instytucja akademicka mogłaby ukarać lub wywalić kogoś z uczelni tylko za wyrażenie opinii, powinna być nie do przyjęcia dla każdego niezależnie od jego przekonań politycznych. Jednak dokładnie tak się dzieje w wolnej Polsce, w XXI w. W chwili pisania tego tekstu wciąż nie wiadomo, jak to się skończy dla Szafarowicza, ponieważ administracja UW zapowiedziała, że rozpatrzy skierowane przeciwko niemu skargi. Wiemy tylko, że te wydarzenia zaowocowały nową kampanią nienawiści skierowaną przeciwko niemu i jego rodzinie.

„Wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dni, nosi znamiona zaplanowanej i z żelazną konsekwencją prowadzonej nagonki, a tragiczna śmierć śp. młodego człowieka stała się jedynie pretekstem do jej rozpoczęcia. Najbardziej ubolewam nad tym, że wzbierająca fala hejtu dotyka też moją rodzinę” – powiedział Szafarowicz w swoim oświadczeniu wygłoszonym przed budynkiem UW. Na dowód odczytał kilka nienawistnych wiadomości pod swoim adresem, a także

jedną skierowaną do jego mamy, która brzmiała: „Zajmij się swoim synem, PiS-owskim śmieciem”.

Szafarowicz ma rację, gdy mówi, że tragiczna śmierć w Szczecinie była tylko pretekstem do rozpoczęcia przeciwko niemu kolejnej fali nagonki.

Szafarowicz ma rację, gdy mówi, że tragiczna śmierć w Szczecinie była tylko pretekstem do rozpoczęcia przeciwko niemu kolejnej fali nagonki

NIEBEZPIECZNE POGLĄDY?

Te wydarzenia pokazują, że niestety są w Polsce środowiska, dla których utalentowany młody czło-

wiek nie ma prawa do konserwatywnych poglądów. W tym świetle należy rozumieć apele płynące z UW, które przypominają najgorsze czasy komunizmu, a także atakujący ton listu od byłych uczniów warszawskiego Liceum im. Stefana Batorego, którego uczniem był Oskar. W obu przypadkach chodzi o przejaw mentalności elit III RP, która chce wyrzucić lub zmarginalizować wszystko, co im nie pasuje, z przestrzeni publicznej. Politycznym wyrazem tej mentalności, mocno zakorzenionej w sporej części instytucji kulturalnych i edukacyjnych w Polsce, jest Platforma Obywatelska.

– Swoboda wypowiedzi, a często także badań naukowych bywa na polskich uczelniach towarem deficytowym – mówi dla tygodnika „Sieci” socjolog i publicysta dr Krzysztof Karnkowski. – Znamy mi są, jeśli nie całe wydziały, to co najmniej katedry, gdzie lepiej nie ujawniać poglądów spoza liberalno-lewicowego mainstreamu. Ostracyzm, blokowanie publikacji i różne inne formy obrzydzania życia były i są tu na porządku dziennym. W ostatnich latach widać, że ten wymóg jedności rozszerza się również na środowisko studenckie – komentuje Karnkowski.

Oskar Szafarowicz jest jednak dowodem na to, że ta jedność nie wszędzie dominuje. I właśnie dlatego go atakują. ➤

Czerska w lupanarze

Cykle artykułów dziennikarzy Agory o nierządzie, ta prymitywna promocja prostytutki, to nie jest dzieło przypadku. Nie chodzi o kliki, na których się zarabia, ale o budowę świata, w którym jesteśmy odzierani z godności



DARIUSZ MATUSZAK

Gdy się podejmuje taki temat, to trudno jest nie unurzać siebie i czytelników. Nie udało się to nawet ojcowi Kościoła, jak św. Augustyn, czy jednemu z największych teologów, jak św. Tomasz z Akwinu. I oni, pisząc o prostytutce, używali języka, który dziś określamy jako godny brukowca. Mieli jednak szczęście, że nie musieli mierzyć się z jej infantylną, skrajnie głupią i szkodliwą promocją, jaką uprawiają różne odnogi „Gazety Wyborczej”.

Skłamałbym jednak, gdybym nie przyznał, że czytając pochwały nierządu, sprzedawania się za pieniądze, oprócz zażenowania i wstrętu nie odczuwałem perwersyjnej przyjemności obcowania z dziwactwem, groteskowością świata, które budzą taki zachwyt pracowników Agory. Nurzanie się w odmętach jej tekstów może dać anomálną satysfakcję. Gdzie indziej bowiem można znaleźć tekst o parach, które mają „psiecko”, czyli psie dziecko. Tekst z wyborcza.pl: „Dwa plus psiecko. Nie mają ludzkich dzieci, za to mają dzieci psie [...]”, to żenujące elukubracje o tych, którzy nie chcą mieć ludzkich dzieci i zakładają rodziny wielogatunkowe. Tak więc „Wyborcza” i przebudówki to świat, w którym najwyraźniej dziecko może mieć suczą mamę i dzięki tej konstatacji wracamy pokrętną drogą do tematu promowania prostytutki przez Agorę.



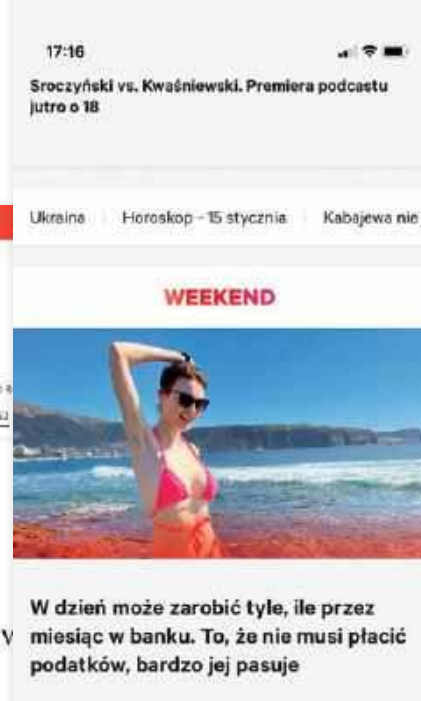
PRACA JAK KAŻDA INNA

„Praca jak każda inna...” – zachwala Łukasz Muniowski, adiunkt na Uniwersytecie Szczecińskim, w tytule swojego tekstu na portalu gazeta.pl (wydanie ekskluzywne, weekendowe) o prostytutkach zwanych sex workerkami. Okazuje się, że pojęcie „ prostytutka” nie oddaje całego spektrum czynności, którymi trudnią się współczesne córy Koryntu. Jak bowiem nazwać panią, która żyje ze sprzedaży swoich zasakanych majtek? „Ludzie są gotowi dużo zapłacić, szczególnie jeśli spełnisz ich dodatkowe zachcianki, takie jak noszenie tych gaci dłużej niż jeden dzień czy zsikanie się do nich” – zwierza się adiunktowi Klara.

Tak czy owak, nie jest to praca jak każda inna, skoro handluje się uflejoną bielizną, a zapłatą za seksobslugę są kanistry benzyny. To jest tak głupie, tak groteskowe, że aż trzeba to opisać. Otóż prostytutka, czy sex worek (ja też mam prawo do nowotwórstwa językowego,

a nie tylko „Wyborcza”) Ola ma takiego klienta, który pracował w spółce skarbu państwa (czyli w domysle z PiS) i miał tam za duży przydział paliwa, więc odlewał je do kanistrów, a potem z nich tankował pod blokiem jej samochód. Krzysztof Stanowski na swoim kanale na YouTube „Dziennikarskie zero”, komentując promocyjne teksty „Wyborczej” i jej odnóg, celnie zauważył, że musiało od niego benzyną nieźle pod kółderką walić, jak on się z nią ten tego. No i własnoręcznie rwane czereśnie jeszcze jej znoś.

Adiunkt porozmawiał z kilkoma sex workami i przedstawił ich ofertę. Są zdjęcia, jest menu z usługami i konkretny cennik. Artykuł ma wszelkie cechy ogłoszenia i być może powinien być nawet opatrzone stosowną adnotacją: „Tekst promocyjny”. A może niesłusznie Agorę podejrzewamy i ona darmo reklamuje usługi pani Bettie Golden czy Joanny Plum (ciekawe, czy chodzi o ośliwkę. Plum brzmi bardziej po europejsku). Ewentualnie można potraktować ten tekst analo-



gicznie do tych z działu motoryzacyjnego. Cena, wygląd i osiągi, przy czym w tym przypadku chodzi akurat o egzemplarze używane. Niektórzy zazdroszczą dziennikarzom działu motoryzacyjnego, bo ci wciąż dostają samochody do testowania. Ale my nie o tym, choć być może już niedługo doczekamy się jakiegoś reportażu wcieleniowego dziennikarzy z Czerskiej o pracy w lupanarach.

Niestety, artykuł ma wszelkie cechy tekstu klasistowskiego. Po cenniku można się zorientować, że promowane są tylko prostytutki wyższego sortu, które obsługują klasę wyższą. Nocka i poranek z panią Bettie kosztuje więcej niż średnia krajowa. Tymczasem Agora nie przedstawia żadnej oferty dla ludu pracującego. Autor tekstu nie pofatygował się choćby na dworce czy do pań popularnie zwanych tirówkami albo miss pobocza. Teksty „Wyborczej” i odnóg o prostytucji są też seksistowskie, i to w podwójny sposób – dyskryminują panie, i panów równocześnie. Nie ma bowiem nic o zaletach bycia męską prostytutką. Chłopcy nie dowiadują się, jak wspaniała przyszłość może ich czekać. Żeby chociaż pokazano, jak to fajnie jest zostać alfonsem czy sutenerem. Nic z tego, tylko kobiece sex worki obsługujące mężczyzn. A ja się pytam, gdzie jest oferta cielesnych roko-szy dla pań?

PRAWDZIWI LUDZIE

Oprócz wątków handlowych są też w tekście psychologiczne, społeczne i kulturowe, bo autor znalazł wśród prostytutek takie, które są na jego poziomie intelektualnym i uznał, że warto opublikować ich złote myśli. Sam adiunkt Muniowski ma inklinacje do filozofowania i psychoanalizy, więc dzieli się swoimi przemyśleniami. „Sex work to bardzo szerokie pojęcie, obejmujące zarówno pracę bezpośrednio z klientem, jak i pokazywanie się na kamerce czy przesyłanie bielizny. Pracę tę wykonują prawdziwi ludzie, odczuwający emocje i mający swoje potrzeby – tak jak ich klienci” – pisze autor. Niebawale odkrycie, jaka głęboka prawda kryje się w tym zdaniu o prawdziwych ludziach i ich uczuciach. Równie wyrafinowane są strumienie myśli bohaterki jego tekstu. „Seksualność kobiet zawsze była traktowana w naszym kraju bardziej surowo niż seksualność mężczyzn, ale ogólnie też seksualność zawsze była tabuizowana. To trochę wynika z naszej katolickiej kultury. W Kościele nieustannie mówiono nam, że seksualność jest zła, nie mieliśmy też dobrej edukacji seksualnej” – tłumaczy doktorowi, adiunktowi prostytutka Zoja.

Ale jakie są zalety bycia prostytutką, dlaczego Agora uznaje, że warto się nadstawiać komu wlezie? Bardzo ważne są

względy ekonomiczne, ale znaczenie ma też satysfakcja z osiągnięć osobistych, a i w macierzyństwie można się lepiej spełnić. Sex worek Ola – ta od benzyny – twierdzi, że w dobry miesiąc może zarobić nawet 100 tys. zł. Emma Becker, bohaterka kolejnego tekstu opublikowanego w dziale „Kobieta” gazeta.pl, wyznaje, że pracując przez dwa lata w berlińskim lupanarze, czuła się jak artystka. „Wolałam pracować w burdelu niż 10 godzin na kasie za śmieszny pensję” – mówi. Według niej dawanie za pieniądze pozwala też lepiej spełniać się jako matka. Bo da się pracować jak dzieciaki są w szkole, w jeden dzień zarabia się tyle, co normalnie w tydzień jakieś byle kasjerki, więc można więcej czasu poświęcić swoim pociechom.

Podobnie jak Becker artystką jest Cherry Candle (Czereśniowa Świeczka), która za pieniądze kopuluje przed kamerą. Nasz ulubiony autor Muniowski przeprowadził z nią wywiad, bo Świeczka i jej partner zostali nominowani do czegoś, co podobno jest „porno-Oscarem”. Pracę córki doceniają jej rodzice. Może nawet są dumni z jej nominacji do kopulacyjnego trofeum – nagrody Adult Video News.

Z gazecianych opowieści wyłania się sielankowy obraz prostytucji. To pieniądze, spełnienie artystyczne, kariera, którą można zasugerować swojej córce. Jest miło, łatwo, przyjemnie i perspektywy są niemal nieskończone, bo przecież nawet w zagranicznym burdelu można popracować za euro jak owa Emma Becker czy włoski rynek podbić jak Czereśniowa

Świeczka i jej partner czy kto tam. To coś, o czym można porozmawiać przy niedzielnych obiadkach: „Posłuchajcie, mamo, tato, jakiego miałam klienta i co on mi zrobił, a co ja jemu”. „Córniuniu, jesteście z siebie dumni”.

Szydę z tych tekstów „Wyborczej” i odnóg, bo są infantylne, płytkie, na zenującym poziomie intelektualnym. I gdyby tylko o to chodziło, nie warto byłoby się nurzać z pracownikami Agory, schodzić do kloaki – jak pisał św. Tomasz. Problem jednak polega na tym, że te teksty są obrzydliwe, plugawe. I nie dlatego, że dotyczą też spraw fizjologii, ale dlatego, że są czystym złem. Wmawiają, że coś, co prowadzi do nieszczęśliwości, upodlenia, odczłowieczenia, jest ot tak zwykłą działalnością człowieka, zwykłym kobiecym trudem dla naszych mam, córek, siostr.

Po tekście „Praca jak inna...” posypała się krytyka, więc Agora zaprzęła do obrony socjolog i jakąś tam – jak ją przedstawiono – outreach workerkę (co to w ogóle za belkot jest) Agatę Dziuban. Pod pozorem znawstwa, naukowości oswaja i całkowicie zakłamuje ona oblicze profesji. Podobno 12 lat zajmuje się badaniem prostytutki i w wywiadzie „Mam seksualność i na niej zarabiam. Taka kobieta przeraża” mówi: „Bardzo często – wbrew rzeczywistości – realia pracy seksualnej są przedstawiane jako realia handlu ludźmi, wyzysku, przemocy, przymusu. Osoby wykonujące tę pracę są traktowane jako ofiary”. I dalej: „Nie spotkałam się z sytuacjami, w których [kobiety] były bezpośrednio przymuszane do świadczenia usług seksualnych, a badam ten obszar od 12 lat. [...] Więc to raczej mityczna figura”.

Skąd w Agorze wytrzasnęły tę ekspertkę? Wystarczyło, by zajrzeli do własnej „Gazety Wyborczej”, to przekonałoby się, jakie Dziuban opowiada bzdury. Ot, artykuł z 24 lutego „Wyrok na walbrzyskich sutenerów. Szokujące ustalenia śledztwa – kobiety biciem i groźbami zmuszane do usług seksualnych”. Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę hasła „gang sutenerów”, „zmuszali do prostytucji” itd., a wyświetlą się setki linków do artykułów opisujących patologie, tragedie z nią związane. Dziuban zaś opowiada o stereotypach kulturowych i o tym, jak mężczyźni boją się odnoszących sukces kobiet zepsuli wizerunek nierządowi.

Przy okazji wmawia nam, że żyjemy w patologicznym, do cna zdeprawowanym, chorym kraju. „Co piąta Polka została zgwałcona. 90 proc. kobiet doświadczyło przemocy seksualnej” – opowiada. Te opowieści są snute na podstawie raportów organizacji feministycznych, które same sobie definiują, co jest np. gwałtem czy przemocą, a potem Dziuban bredzi, że miliony mężczyzn – braci, ojców, synów, jak sowiecka armia – zgwałciło 3,5 mln Polek. I jednocześnie zachęcając czytelniczki produktów Agory, opowiada o cnotach pracy w burdelach: „Musimy zdawać sobie sprawę, że praca seksualna jest nie tylko pracą fizyczną, o charakterze cielesnym, ale bardzo często także pracą emocjonalną i opiekuńczą, zakładającą troskę o drugą osobę, jej ciało i emocje”.

Cykle artykułów dziennikarzy Agory o nierządzie, ta prymitywna promocja

Z gazecianych opowieści wyłania się sielankowy obraz prostytucji. To pieniądze, spełnienie artystyczne, kariera, którą można zasugerować swojej córce. Jest miło, łatwo, przyjemnie i perspektywy są niemal nieskończone, bo nawet w zagranicznym burdelu można pracować

prostytucji, to nie jest dzieło przypadku. Nie chodzi o kliki, na których się zarabia, ale o budowę świata, w którym jesteśmy odzierani z godności – nasze mamy i córki z poczucia wyjątkowości, dyskrecji. Wszystko – nawet intymność, miłość – jest na sprzedaż. Kiedy całkowicie są zatarte różnice między dobrem a złem, szlachetnością a podłością, to dopiero wtedy można ukształtować nowego człowieka. To w świecie, w którym prostytutka wyznacza poziom aspiracji, można zniszczyć takie autorytety jak Jan

Paweł II. Oczywiście nie podejrzewam autorów Agory o uczestnictwo w spisku, który miałby zniszczyć tradycyjne wartości. To raczej totalitarna mentalność, która żadnej sfery życia ludzkiego, nawet tej najbardziej intymnej, nie zostawi wolnej od chorej, lewicowej ideologii.

DOM I KLOAKA

Na początku pisałem o ściekowym języku, którego nie uniknęli nawet święci mierzący się z problemem prostytucji. Jakże jednak subtelniejsze, pełne nieraz wyrozumiałości i współczucia jest podejście chrześcijaństwa do kobiet, które są ofiarami swojej profesji. Jedną z największych świętych jest nawrócona prostytutka Maria Magdalena. Św. Augustyn, który za młodu sporo dokazywał, miał zrozumienie dla grzeszności człowieka. Pisał: „Czy możesz nazwać coś

bardziej brudnym, bardziej pozbawionym piękna i pełniejszym szpetoty niż prostytutka, stręczyciele i pozostałe tego rodzaju plagi? Usunąć jednak prostytutkę spośród spraw ludzkich, a wszystko wprowadzisz w zamęt przez pożądliwości; powierz im miejsce matron, a pohańbisz wszystko niesławą i brzydotą”.

Podobnie św. Tomasz z Akwinu usprawiedliwiał prostytucję. „Prostytucja jest jak kloaka w pałacu. Gdyby się ją usunęło, cały pałac stałby się kloaką”. Dziś piświcy postępu powiedzą, że to obłuda. Owszem, wszak hipokryzja jest hołdem składanym cnotie. Nie wywlekamy na środek salonu tego, co brudne i plugawe.

Św. Augustyn uznaje istnienie zjawiska i określa je jako najbardziej lichy, ale niezbędny element natury – porządku społecznego. Jak najbardziej szpetne części ciała, które ukrywamy, choć są potrzebne i każdy wie o ich istnieniu. Augustyn nie zaprowadziłby swojego syna Adeodata do burdelu, by zaznał rozkoszy, uczył się życia. A świat Agory i jej gazety, której podobno nie jest wszystko jedno, jest zbudowany wedle zupełnie innego porządku, innego wzoru. To taki świat, w którym burdel jest domem, a dom burdelem. 

Akademia Korzyści PPK

Oszczędzaj i wygrywaj podwójnie



Pracownicze
Plany
Kapitałowe



Odpowiadaj na pytania
i wygraj nawet

100 000 zł

Wejdź na

akademiappk.pl

Wśród polskich artystów, którzy z powodu własnego zachowania popadli w konflikt z prawem, często widać tęsknotę za bezkarnością. Problemy z wymiarem sprawiedliwości są bowiem interpretowane jako polityczne represje obozu władzy. Przez lata „znani i lubiani” przyzwyczaili się bowiem, że wolno im więcej niż reszcie społeczeństwa



Tęsknota za bezkarnością



DOROTA ŁOSIEWICZ

Niedawno Beata Kozidrak wystąpiła w jednym z warszawskich klubów. O koncercie szybko zrobiło się głośno w mediach nie tylko z powodu wokalnych umiejętności artystki. W pewnym momencie fani Kozidrak postanowili zmanifestować swoje poglądy i zaczęli krzyczeć: „J***ć PiS”. Jak zareagowała gwiazda? „No patrzcie, nie spodziewałam się, że teraz znowu aktualne. Ale ściany mają uszy. Znowu jakaś aferajest, ktoś nas podsłuchuje. Ale to było fajne, aż nóżka chodziła” – powiedziała ze sceny wyraźnie zadowolona wokalistka. Następnie zapytała swoich fanów: „Chcecie tak żyć?”. Gdy tłum odpowiedział, że

nie, Kozidrak krzyknęła: „To wiecie, co macie robić!”. „Pójść na wybory” – dało się usłyszeć w odpowiedzi z tłumu. A wokalistka potwierdziła.

I trzeba przyznać, że akurat ta profrekwencyjna konkluzja zasługuje na pochwałę. W demokratycznym państwie o tym, kto będzie sprawował władzę w imieniu większości, decyduje się właśnie przy urnie wyborczej i po każdym wyborach znajdzie się ktoś, kto z ich wyniku będzie niezadowolony, bowiem zawsze są wygrani i przegrani. Zdecydowanie lepszym pomysłem jest zachęcanie ludzi do głosowania niż namawianie ich do wyjścia na ulicę, jeśli wynik głosowania będzie nie po myśli tej czy innej strony. A w ten sposób lubi podgrzewać emocje np. Donald Tusk na spotkaniach z wyborcami.

Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że Beata Kozidrak podzielała emocje rozentuzjasmowanego tłumu, krzyknęła bowiem: „Niech żyje stolica!”. Aprobata wybrzmiała także w słowach: „Ale to było fajne, aż nóżka chodziła”. Czy w takim

razie wokalistka odmówiłaby zagrania koncertu gdzieś na prowincji, gdyby wiedziała, że publiczność ma poglądy konserwatywne? Wątpię. Czy przy sprzedaży płyt ktoś pyta o poglądy? Wątpię.

BO NAM WOLNO WIĘCEJ

W jednym z wywiadów dla tygodnika „Sieci” pytałam Marcina Wolskiego, znanego pisarza, satyryka, twórcę audycji radiowej „60 minut na godzinę”, współtwórcę „Polskiego zoo”, o powody niechęci środowiska artystycznego do prawicowego rządu. Usłyszałam wówczas: „Artysta jest z natury ekshibicionistą. Jeśli może zaistnieć, to korzysta z okazji. [...] Przyznam, że nie rozumiem, co takiego strasznego dzieje się poszczególnym artystom, którzy żyją jak pączki w masle. Ich zachowanie ma często charakter owczego pędu” – mówił Wolski. Padło też jednak stwierdzenie, że artyści sądzą, iż wolno im więcej. „Jest takie przekonanie. Objawia się choćby w pewności, że artysta, który

popelnia przestępstwo, nie może pójść do więzienia” – tłumaczył Wolski.

O tym, że duża grupa artystów jest przekonana, że może więcej niż reszta społeczeństwa, mówił mi także kiedyś Rafał Podraza, dziennikarz, poeta, autor tekstów piosenek, cioteczny wnuk Magdaleny Samozwaniec. „To, że celebryci tak często mają problemy z prawem, wynika z poczucia, że wolno im więcej. »Mogę, bo jestem Bogiem« – myślą sobie. To chore podejście. Kiedyś nie było celebrytów, byli artyści, ludzie na poziomie, którzy zdawali sobie sprawę z pewnych rzeczy” – mówił mi dziennikarz. „Dziś celebrytą może zostać każdy, kto wyprodukuje filmik na YouTube. To już pozwala takiej osobie sądzić, że jest genialną gwiazdą. Tymczasem celebrytom brakuje obycia, oglądy i dlatego tak łatwo u nich o samozachwyt. Kiedyś artyści mieli klasę, której brakuje dzisiejszym celebrytom, którzy są znani tylko przez kilka chwil. Większą klasę mają ci, którzy sławę zdobyli na dłużej. No, chyba że tak jak Beata Kozidrak zbyt mocno uwierzą w swój geniusz. Poza tym w Polsce panuje delikatne przyzwolenie na wysoki gwiazd” – dodawał Podraza.

DURA LEX, SED LEX

No i właśnie tu może być pies pogrzebany. Artyści, którzy weszli w konflikt z prawem, czują się ofiarami represji obecnej władzy. W modzie jest dziś być ofiarą politycznych prześladowań. „*Dura lex, sed lex*. Możemy się bulwersować. Jeżeli chcemy, by prawo było równe wobec wszystkich [...], to nie ma świętych krów” – mówił 11 lat temu Zbigniew Ziobro i tę opinię wielokrotnie powtarzał. Stąd pewnie wynika obarczanie władzy winą o własne problemy.

A Beata Kozidrak problemy z prawem miała spore. We wrześniu 2021 r. wsiadła za kierownicę swojego bmw po suto zakrapianej imprezie. Jadąc po ulicach Warszawy, zachowywała się na tyle niebezpiecznie, że inny kierowca zadzwonił na policję. Badanie alkomatem wykazało, że Kozidrak miała 2 promile alkoholu we krwi. Od pierwszego wyroku sądu, który mówił m.in. o pracach społecznych, odwołali się zarówno obrońcy Kozidrak, jak i prokuratura. Sąd drugiej instancji nałożył na artystkę 50 tys. zł grzywny oraz polecił wpłacić 20 tys. zł na Fundusz Pomocy

Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Kozidrak straciła także prawo jazdy na pięć lat. Wyrok bez prac społecznych został utrzymany w mocy w sierpniu 2022 r.

„Oskarżona po pierwsze przyznała się, ale wyraziła też żal, przeprosiła, jest osobą niekaraną. Przez 40 lat posiadania prawa jazdy nie miała żadnych kolizji z prawem. Nadto jako okoliczność łagodzącą należy wziąć pod uwagę jej dotychczasowy uregulowany tryb życia, w tym niekwestionowany dorobek artystyczny oskarżonej, jej zasługi dla polskiej muzyki i kultury” – zawyrokowała sędzia.

Opinia publiczna była zaskoczona złagodzeniem kary i wyjaśnieniem, że jazdę po alkoholu może tłumaczyć dorobek artystyczny wokalistki.

NIC SIĘ NIE STAŁO?

Kilka dni temu wyrok za jazdę po alkoholu usłyszał inny artysta. Jerzy Stuhr został uznany winnym prowadzenia samochodu pod wpływem alkoholu. Aktor w połowie października spowodował kolizję w centrum Krakowa, a badanie alkomatem wskazało 0,7 promila alkoholu w wydychanym powietrzu. Krakowski sąd rejonowy uznał Stuhra za winnego i wymierzył mu karę zakazu prowadzenia pojazdów przez trzy lata, grzywny w wysokości 12 tys. zł oraz 6 tys. zł na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Stuhr ma również zapłacić prawie 4,3 tys. zł tytułem postępowania kosztów sądowych. Wyrok nie jest prawomocny. Aktor nie pojawił się w sądzie, ale w rozmowie z „Faktem” skomentował wyrok. I znów wprawił opinię publiczną w zadziwienie. Jak relacjonuje tabloid, Stuhr początkowo przyznał spokojnym głosem, że nie zna jeszcze treści wyroku. Kiedy zaś usłyszał od dziennikarki, że dostał najniższy wymiar kary przewidzianej przez Kodeks karny, odparł: „No wie pani, nic takiego nie zrobiłem. Afera jest straszna...”

A gdzie miejsce na skrucę? W tych słowach widać odklejenie od rzeczywistości i przekonanie, że gwiazdzie wolno więcej. Przecież jazda po alkoholu to przestępstwo, stworzenie zagrożenia dla siebie i innych użytkowników ruchu drogowego, co zresztą było widać na nagraniu przedstawionym przez motocyklistę.

PRAWIE JAK WIĘZIEN POLITYCZNY

Prześladowany politycznie czuje się także Kazimierz Marcinkiewicz, kiedyś premier, ostatnio już tylko celebryta. W drugiej połowie stycznia sąd wydał wyrok nakazowy wobec Marcinkiewicza, uznając go za winnego uchylania się od obowiązku alimentacyjnego wobec byłej żony Izabeli. Sąd skazał Marcinkiewicza na pół roku ograniczenia wolności i na wykonywanie prac społecznych. Co oznacza wyrok nakazowy? To wyrok bez konieczności przeprowadzenia rozprawy. Zgodnie z Kodeksem postępowania karnego sąd może wydać wyrok nakazowy, jeżeli na podstawie zebranych dowodów okoliczności czynu i winy oskarżonego nie budzą wątpliwości.

Wyrok tak zbulwersował byłego premiera, że poczuł się ofiarą politycznych represji. „Rozwód po polsku. 3 lata małżeństwa, 2 lata separacji, 4 lata rozvodu, 13 lat utrzymywania dorosłej osoby. Dożywotnie alimenty. Kapturowy PiS-owski proces o unikanie w ciągu 30 dni. Kapturowy PiS-owski sędzia lub sędzina odbiera prawo do jakiegokolwiek obrony. Wyrok 6 miesięcy za podobno 10 miesięcy niezapłacenia. Prawo i Sprawiedliwość – cywilizacja Kaczyńskiego i Ziobry. A jeszcze powinienem dodać coś o Dudzie. Mam to w doodzie [pisownia oryginalna – przyp. red.]” – napisał Marcinkiewicz na swoim profilu na Instagramie. Były polityk zadeklarował także, że od wyroku zamierza się odwołać. „Nie rozumiem kapturowych sądów w cywilizowanym świecie” – powiedział.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie wydała oświadczenie, w którym poinformowała, że „postępowanie w sprawie byłego premiera zostało wszczęte w wyniku zawiadomienia o przestępstwie złożonego przez byłą żonę Kazimierza Marcinkiewicza, która złożyła w tej sprawie zeznania i dostarczyła dokumenty. Zgodnie z Kodeksem postępowania karnego prokuratura ma obowiązek wszcząć postępowanie, jeśli zachodzi uzasadnione podejrzenie popełniania przestępstwa”. Pech Marcinkiewicza taki, że rząd Zjednoczonej Prawicy w obronie kobiet wypowiedział wojnę alimentarzom i tak zmienił prawo, by można było ich ścigać.

Czy można się dziwić, że wyżej opisane osoby i wiele innych tęsknią do bezkarności i do tego, by było jak przed 2015 r.? ➤

W Świętoszowie wielkie szkolenie. Ukraińscy pancerniacy uczą się obsługi Leopardów. Pojechałem sprawdzić, jak im to idzie

Z poligonu prosto w bój



ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Matecznik słynnych Czarnych Diabłów – 10. Brygady Kawalerii Pancernej (10 BKPanc), spadkobierczyni tradycji 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Wjechaliśmy terenowym mercedesem na poligon. Choć nasz kierowca zgasił silnik, to zamiast leśnej ciszy z zewnątrz dochodzi dudnienie czołgowych diesli. Cztery sztuki Leopardów 2 A4 stoją w linii z lufami skierowanymi w stronę ciągnącego się aż po horyzont poligonu. Dwa inne manewrują w miękkiej ziemi, zajmując pozycję strzelecką. Scena jak przed bitwą pod Kurskiem. Leopardy wyglądem przypominają nieco Tygrysy 1 z II wojny światowej. Podobny kształt wieży, a i cała sylwetka też robi swoje. Przyglądam się dokładniej „czwórkom” – są ładniejsze od „dziadków”, stalowych kotów z 1943 r.

Czołgi niemieckie, własność polskiej 10. brygady, a załogi ukraińskie. Na pancerzu widnieją jeszcze znaki taktyczne polskiego batalionu.

PARSZYWA DWUNASTKA Z ZAPALEM W SERCACH

Tankiści siedzą w środku. Z włazów Leopardów ustawionych w linię wystają jedynie dowódcy i ładowniczy. Niektórzy oparci łokciami o pancerz, inni siedzą niedbale na zewnątrz z nogami wpuszczonymi do środka przez właz. Wszyscy patrzą w stronę skradających się do strzału maszyn. 1,5 tys. m dalej przeciwnik – tarcza z sylwetką czołgu średniego, wysoka na ponad 2 m, o szerokości niewiele większej niż 3 m. Inny cel to tzw. wózek. Sylwetka czołgu widziana z boku i przesuwająca się od lewa do prawa bądź odwrotnie. Huk i siwy dym. Wiatr niesie go w naszą stronę. Po chwili niczym grom z jasnego nieba pada drugi strzał. 60-tonowa konstrukcja Leoparda zachybotała na gąsienicach. Obok mnie stoi Wadim z brygady pancernej Sił Zbrojnych Ukrainy, szef batalionu w stopniu majora. Podbiega

do niego jakiś oficer z lornetką na piersiach. – Na 35 strzałów, 34 trafienia! – melduje. – Maładcy – uśmiecha się zadowolony kombat (ros. komendant bataliona).

Przyjechali całkiem niedawno prosto z frontu. Ich brygada pancerna stoi rozrzucona plutonami gdzieś między Kupiańskiem przy rosyjskiej granicy a Bachmutem w środku długiej na ponad 1,7 tys. km linii kontaktu.

– Wysiadając z autobusów w świętoszowskim Ośrodku Szkolenia Leopard, rozglądali się z zaciekawieniem, gdzie rzucił ich wojenny los – wspomina gospodarz, dowódca 10. Brygady Kawalerii Pancernej gen. bryg. Grzegorz Barabieda. – To, co mieli na sobie, trudno nazwać mundurem. Ubrani po części w cywilne kurtki, niektórzy w swetrach przykrywających wojskowe moro, a na głowach często nieregulaminowe czapki. Pod szyją kilku nosiło niedbale związane chustki w różnych kolorach. Nie za bardzo przypominali wojsko. Typowi frontowcy, którzy dawno już zapomnieli, jak wygląda regulaminowy strój – śmieje się polski brygadier. Taka trochę „parszywa dwunastka” z zapalem

w sercach. Przyjechało ich ponad 100 – 21 załóg i mechanicy. – Najpierw daliśmy wszystkim zielone, ognioodporne kombinezony czołgistów, żeby znowu zaczęły wyglądać jednolicie – w spomina początki szkolenia mjr Maciej Banaszyński. – A potem wzięliśmy się do pracy.

Siedzimy w jednej z sal wykładowych ośrodka. Czterech instruktorów z 10 BK Panc opowiada o swojej pracy z żołnierzami z Ukrainy. – Program mają ten sam co polskie załogi. Tylko z naszymi robimy to w 45 dni, a dla nich mamy miesiąc – wyjaśnia mjr Artur Pinkowski, rzecznik II. dywizji, w której skład wchodzi 10. Brygada. – Nie można zrezygnować z czegośkolwiek – dodaje. Dlatego czołgiści z Ukrainy zamiast 8 godzin dziennie szkolą się 12–13. Także w soboty. Na szczęście nowi kursanci są wyjątkowo zdeterminowani. Dosłownie rwą się do nauki. – Nie tak rzadko zdarzało się, że przychodzili do nas po kolacji z zapytaniem, czy nie można by było jeszcze przed snem poćwiczyć na symulatorach. Gdyby mogli, szkoliliby się w niedzielę – uśmiecha się instruktor, mł. chor. Marcin Chrabąszcz. Także dowódca brygady gen. Barabieda jest pełen podziwu dla zapału Ukraińców. W duchu chciałby, żeby nasi kursanci brali z nich przykład. Inna sprawa, że szefostwo SZU wybrało na wyjazd do Polski najlepszych. Większość z nich jest zawodowymi czołgistami, a ponad jedną trzecią stanowią starszy wyjadacze – weterani z długim doświadczeniem frontowym. Uczą ich nie tylko polscy instruktorzy. Do Ośrodka Szkolenia Leopard przyjechali wojskowi z Kanady i Norwegii. Kraje te też zobowiązały się przekazać walczącej Ukrainie swoje Leopardy.

Całe to międzynarodowe towarzysztwo kłębi się w hali symulatorów i ćwiczy zajadłe taktykę walki oraz strzelanie. Koszt szkolenia pokrywają głównie: European Union Military Assistance Mission in Ukraine (EUMAM UA) oraz Amerykanie. Teraz pod koniec szkolenia, jak mówią instruktorzy, da się wyczuć u Ukraińców pozytywne podniecenie.

– Widzą, że dostają w ręce potężne narzędzie. Ale ich dowódcy zrozumieli już najważniejsze – inną od rosyjskich czołgów filozofię użycia Leoparda 2 A4 – uważa chor. Chrabąszcz. – Na pierwszych zajęciach kursanci pytali, czy można tym czołgiem strzelać jak artylerią? Można, ale to nie do tego służy. To nie jest armatohaubica. Wykorzystuje się mobilność, system sterowania ogniem, a nie strzelanie gdzieś tam z daleka. Nie

Nie tak rzadko zdarzało się, że Ukraińcy przychodzili do nas po kolacji z zapytaniem, czy nie można by było jeszcze przed snem poćwiczyć na symulatorach. Gdyby mogli, szkoliliby się w niedzielę – uśmiecha się instruktor, mł. chor. Marcin Chrabąszcz

chodzi o to, żeby od razu strzelać. Jak wyjedziesz, schowaj się i poczekaj. Daj przeciwnikowi wyjść. Daj mu się upewnić. Podziel sobie cele i podpuść go. Po to, żeby zniszczyć jednym strzałem. Do tej pory walczyli z nieprzyjacielem, który miał broń o tych samych parametrach. Ich wyszkolenie i wyszkolenie Rosjan jest podobne. Jak strzeli i nie trafi, to Moskal strzeli i trafi. Tu mają ten komfort, że strzeli i trafi, a Ruski nie ma jak oddać.

St. chor. szt. Krzysztof Sieradzki zwraca uwagę na jeszcze inną ważną rzecz. – Chłopaki przyjechali do nas ze starymi nawykami z rosyjskich T-72 – opowiada. W przypadku T-72 jedzie się do tyłu prędkością 3–4 km/h. W Leopardzie 2 A4 – 30 km/h. Chcąc się wycofać, zavratając, zamiast wykorzystywać bieg wsteczny, odsłaniają tym samym przeciwnikowi wrażliwy tył Lamparta. – Trzymamy przeciwnika na dystansie 2 km. Zbliża się, to cofamy

i kłujemy dalej – wyjaśnia chor. Sieradzki. Wozy te jak każde nowoczesne czołgi są chronione pancerzem specjalnym na ustawienie czołowe 30 stopni w lewo i w prawo. Ale trafienie z boku wejdzie w każdy współczesny czołg, dlatego podstawą jest takie manewrowanie pojazdem, żeby cały czas ustawiać się frontem do nieprzyjaciela.

Ogromną przewagę ukraińskim kursantom dają zajęcia nocne z termowizji i noktowizji. Termowizja szuka ciepła, a noktowizja pozwala na lepszy ogłód przedpoła nocą. Średnia trafień nocnych pod koniec szkolenia wynosi 4,28 na 5 celów. – Teraz po zmroku szkolenia strzeleckie prowadzą z nimi Norwegowie i bez problemów trafiają w „wózki” (boczna sylwetka czołgu) jadące w poprzek lufy z prędkością ok. 16 km/h w odległości 1,3–1,5 tys. m. Niektórzy z nawyku z T-72 biorą wyprzedzenia. W Leopardzie szkoda na to czasu. Przelicza komputer. Wyprzedzenie przydaje się, gdy padnie elektrooptyka i strzelamy przez celownik FERO jak w T-72 – wyjaśnia chor. Chrabąszcz.

Na poligonie używa się amunicji ćwiczebnej. Robi podobny huk, trafia w cel i sporo mniej kosztuje. Ma tylko mniejszą prędkość początkową pocisku. W związku z tym prawdziwą amunicją trafić jest jeszcze łatwiej.

TU ŁĄCZY SIĘ CZŁOWIEKA Z CZOŁGIEM

Czy wy jako instruktorzy czujecie satysfakcję ze szkolenia? – pytam najstarszego stopniem mjr. Bereszyńskiego. – Tak. Wielką. Ale również zdajemy sobie sprawę z odpowiedzialności, która na nas ciąży. Stąd Ukraińcy jadą prosto na wojnę. Polak dotrze się na poligonie. A tu nie. Denerwują się, jak coś im nie wychodzi. Mamy tu różne roczniki. Nawet '63. Jednemu wzrok już nie domagał. Siedział tak długo na symulatorze, aż ćwiczenie wykonał – opowiada major. Po czym przyznaje: – Mamy lęki i obawy o to, czego możemy się dowiedzieć z telewizji. Jak zobaczymy zniszczone Leopardy i gdzieś tam znajomą twarz...



Przechodzimy do hali symulatorów. „Tu łączy się człowiek z czołgiem” – jak mawia chor. Sieradzki, projektant hangaru. W pierwszej jego części stoja rozebrane Leopardy 2 A4. Bez wieży. Przyglądam się miniaturowym wycieraczkom przeciwbłotnym i spryskiwaczowi na pancernych szybkach wizjera kierowcy. Nawet o to zadbał projektanci z koncernu Krauss-Maffei Wegmann. – Na początku kursanci z Ukrainy myśleli, że te symulatory to taka zabawa, gierki – mówi chor. Sieradzki. – Ale po pierwszych dniach przekonali się, że tutaj naprawdę się uczą, że trzeba się przyłożyć i słuchać tego, co mówi instruktor. Potem to procentuje na strzelnicy. Urządzenia te mają możliwość generowania sytuacji alarmowych i nękania czołgistów usterkami. – Te symulatory w 100 proc. odzwierciedlają to, co się naprawdę dzieje – puentuje chorąży.

Zachęcony siadam za sterami Lamparta. Do urządzenia wślizguje się nogami do przodu. Jak w realu. Zajmuję fotel kierowcy. Wygodnie jak w dużym aucie i wszystko pod ręką. Z lewej mam guzik startowy i liczniki, z prawej – metalową dźwigenkę kierunku jazdy. Nad nią niewielka wajcha półautomatycznej skrzyni biegów. Pedaly większe od mojej stopy. Prawy – gaz, środkowy – hamulec, jak w aucie. W słuchawkach helmu słyszę głos instruktora st. sierż. Pawła Rybki: „Jedziemy!”. Naciskam guzik startera. Ryknął silnik. Huk jak w prawdziwym czołgu. Patrzę przez wizjer. Krótka maska i diabelnie szerokie boki. Inaczej niż w moim aucie. Trudno się przyzwyczaić. Cisnę gaz. 60 ton rusza do przodu, ale jak dla kierowcy samochodu czuć lekkie opóźnienie. Przede mną bojowe wozy

piechoty ustawione bokiem. Muszę przejechać między nimi. Steruję wolantem jak kierownicą. Nie wyczuwam parametrów Leoparda i uderzam bokiem w jednego BWP. Zgrzyt drapanej stali. Jadę naprzód mimo to. Teraz góra, dół. Symulator reaguje, jakbym naprawdę pokonywał wzniesienia. Wciskam gaz do dechy, bo górką wysoka. Za nią zakręt 90 stopni w lewo. Nie wyrabiam się. Spadam bokiem ze skarpy i wywracam czołg do góry gąsienicami. Koniec.

Na symulator dowódcy i działonowego siadam z instruktorem st. chor. Łukaszem Setnym. Robię za dowódcę. Tu idzie zdecydowanie lepiej. W minutę załatwiamy pięć ruskich czołgów (w tym jeden jadący bokiem), a także śmigłowiec Mi-24. Wystarczy odkryć cel, nastawić krzyż celownika oraz gałką odległość. Podwójna wiązka lasera podaje na liczniku liczbę metrów do celu. Teraz wystarczy nacisnąć wskazującym palcem spust na joysticku i pocisk z hukiem wylatuje z lufy. Choć symulatory w Ośrodku Szkolenia Leopard są w miarę nowoczesne, to nie są niestety krzykiem najnowszej techniki wojskowej. Niewątpliwie jednym z podstawowych wydatków naszego MON powinien być zakup najnowszych symulatorów dla czołgistów szkolących się na Leopardach. Nie jest to jak na wojsko potężny wydatek, a efekt będzie murowany.

WSZYSCY CHCĄ JUŻ WRACAĆ, POWÓJOWAĆ

Na poligonowej strzelnicy spotykamy dowódcę Ukraińców, szefa batalionu, mjr. Wadima. Ma 57 lat, rodzinę, ale – jak sam mówi – jest „wojennyj czielowiek”.

Pytam, czy po przesiadce na Leopardy przeżyli szok i jakie są ich pierwsze wrażenia. – Szoku nie było – odpowiada. – Przyjechaliśmy nie tyle się dziwić, ile poznawać technikę. Dla nas było nowością prowadzenie ognia w nocy. W naszych czołgach nie było takiej możliwości. Te przyrządy są bardzo dobrej jakości. Czy w dzień, czy w nocy – jednakowo. Leopard dokładnie namierza i trafia w cel, tylko trzeba się z tym oswoić. Tym zajmowaliśmy się codziennie i z dużym pośpiechem. Żołnierze maszyn się bardzo podobają. Podeszli do szkolenia z entuzjazmem. Szybko się oswoił. Także dzięki pracy waszych instruktorów – zauważa.

– Czy czujecie się zmęczeni tym bardzo intensywnym szkoleniem. Pracujecie sześć dni w tygodniu? – Przechodzimy bardzo intensywne szkolenie – stwierdza szef batalionu. – Stworzono nam tu jednak bardzo dobre warunki do odpoczynku. Każdy żołnierz ma możliwość po zajęciach wykapać się. Jest gorąca woda, czysta pościel, świetnie jedzenie oraz bardzo dobrze zorganizowany proces nauki. Mamy nawet przerwy, w których możemy napić się kawy i chwilkę odpocząć, a w niedziele wychodne. Powiem tak: nie jesteśmy przyzwyczajeni mocno korzystać z odpoczynku, przyjechaliśmy prosto z frontu, to nam się żyje jak w kurorcie.

– Chcecie wracać na front i czego się najbardziej obawiacie? – dociekam. – Najbardziej obawiamy się min, ale mimo że mniej więcej wiemy, co nas tam czeka, to wszyscy chcą już wracać. Oni czują, że są już gotowi. Choć wiemy, że na froncie jest bardzo ciężko, to tęsknimy za kolegami. Poza tym trochę nam głupio, że tu tak cicho, a tam chłopcy w ogniu. Chce się już szybko jechać do domu, powojować.

TechnoBiznes

2023



Konkursy Technologiczne



HIT ROKU 2023 oraz **LIDER** 2022

produkty, rozwiązania i usługi
skierowane do firm i instytucji

nowoczesne rozwiązania wdrożone
w firmach i instytucjach

w kategoriach:

Bankowość

**Ubezpieczenia i inne
usługi finansowe**

Gospodarka 4.0

Zgłoszenia przyjmujemy w dniach **23.02-31.03.2023 r.**

Szczegóły na:

gb.pl/konkursy

Nic już nie będzie takie samo



Przetrwanie Ukrainy jako samodzielnego państwa jest już dziś pewne. Tożsamość ukraińska została niesamowicie wzmocniona. Z punktu widzenia „ruskiego miru” to straszliwa klęska

Michał Karnowski
rozmawia z **Piotrem Skwiecińskim**,
znawcą Rosji, dyplomatą,
publicystą, autorem
książki „Koniec ruskiego
miru. O ideowych źródłach
rosyjskiej agresji”



Czym jest ten „ruski mir”? To pojęcie, którego można użyć do zewnętrznego opisu imperialnych celów Moskwy, czy spójna ideologia, świat zasadniczo inny intelektualnie pod względem wyznawanych wartości od zachodniego?

Piotr Skwieciński: To nigdy nie istniało do końca w formule zamkniętej i zdefiniowanej. Ale kiedyś istniało realnie, myślę o czasach carskich i w nieco innej formie w epoce sowieckiej. Ukraińcy i Białorusini, bo o nich mówimy, mało się wtedy jeszcze wyodrębniły z pnia ogólnie wschodniosłowiańskiego. Istniały oczywiście ukraiński patriotyzm i dążenia państwowe, rodził się patriotyzm białoruski, ale dotyczyło to dość wąskich elit. Masy narodowe były „tutejsze”, „miejscowe”, a wspólne wyznaczniki prawosławne i w dużej części język łączyły ich z Rosją. Potem to się zaczęło zmieniać.

Czyli najprostsza definicja „ruskiego miru” to wspólnota wyznania prawosławnego i języka rosyjskiego?

Zasadniczo tak, choć wyznawcy ideologii „ruskiego miru” by zaprotestowali. Dla nich to dużo więcej, to wspólnota metafizyczna, mistyczna, odrębna cywilizacja z własnymi wartościami, wspólną historią, wspólnymi wrogami. Rosjanie bardzo sobie tę wspólnotę cenili, ale i rozumieli, że jest ona krucha. Jedną z przyczyn, dla których imperium rosyjskie poszło na I wojnę światową, było przekonanie, że bardzo niebezpieczną rzeczą jest istnienie odrębnej Galicji w ramach Austro-Węgier.

To ważny moment także dla polskiej historii. Ukraińska tożsamość krzepnie, korzystając ze stosunkowo dużej swobody kulturowej i politycznej oraz wsparcia Wiednia, który widział ten ruch jako przeciwwagę dla żywiołu polskiego.

Tak, ale Rosjan zaniepokoiło to dużo bardziej. Widzieli, że stamtąd idzie propaganda ukraińska, tworzą się zręby narodu i jeżeli tego nie przetrną, to Rosja utraci Ukrainę. Uznali, że muszą zdobyć Galicję, wcielić ją do Rosji i zatrzymać te niepokojące ich procesy. Czytałem bardzo ciekawe opracowania instytucji o nazwie Kijowski Klub Nacjonalistyczny, działającej przed 1914 r., grupującej rosyjskich nacjonalistów zamieszkałych na Ukrainie. Mieli silne poczucie, że czas działa przeciwko nim, że z każdym rokiem coraz więcej ludności przyjmuje tożsamość ukraińską. Co równie ciekawe, patrioci czy nacjonaści ukraińscy mieli poczucie odwrotne – że czas pracuje dla świata rosyjskiego.

Dlaczego?

Oni patrzyli na to tak: coraz więcej mas chłopskich migruje do miast, a miasta są rosyjskie i efektem będzie rusyfikacja.

Co się dzieje po bolszewickiej rewolucji i wojnie domowej w Rosji?

Ukraińscy nacjonaści ją przegrywają, bolszewicy triumfują, zagarniając niemal całą Ukrainę. W Moskwie decydują o budowie państwa federacyjnego, z republikami tworzącymi Związek Sowiecki.

To 1922 r., a obok rosyjskiej tworzą go w pierwszym etapie republiki białoruska, zakaukaska i właśnie ukraińska. Do dziś nacjonaści rosyjscy wypominają ten kierunek państwowy Leninowi.

Tak, tym bardziej że federacyjnej strukturze w pierwszym okresie istnienia Sowietów towarzyszy polityka tzw. korienizacji, czyli przyznawania autonomii nierosyjskim narodom imperium carskiego. Wynikało to z ówczesnego przekonania bolszewików, że ich głównym wrogiem są nacjonaści rosyjscy, marzący o powrocie caratu. Uznawano, że z nimi w zasadzie nie ma dialogu, to śmiertelni wrogowie. Z kolei z patriotami różnych okrain, mniejszych grup można – też oczywiście ich niszczyć – jakoś grać, wykorzystywać ich. Szukając środków przeciw nacjonalizmowi rosyjskiemu, zaczęto promować lokalne uczucia narodowe, oczywiście w ramach Związku Sowieckiego. Nie dotyczy to tylko Ukrainy. Czy np. Tadzycy wcześniej uważali się za Tadzyków? Dobre pytanie.

Rozumiem, że mimo komunistycznej formy i ogromnej nędzy te działania skutecznie rozbudziły narodowe uczucia wielu grup?

Okazało się, że w tym wymiarze Związek Sowiecki miał bardzo silną rolę kulturotwórczą, choć polityka korienizacji w swojej zasadniczej formie trwała zaledwie kilka lat. Po jakimś czasie zaczęto się z niej wycofywać. Z punktu widzenia rosyjskich na-

cjonalistów zło się jednak dokonało. Powstały lokalne elity, spisano mity, legendy, pieśni. Tego już się nie dało zatrzymać. Tym bardziej że nie wycofano się z federalistycznej struktury państwa.

Odrębność republik i innych jednostek administracyjnych była chyba jednak czystą fikcją?

Oczywiście władzę sprawowała Moskwa, mogła dowolnie zmieniać lokalnych przywódców. Ale jednak republiki te miały swoje własne rządy, partie komunistyczne, media. Utrwalało się myślenie o jakiejś odrębności od zasadniczej Rosji. Gdy nadszedł koniec komunizmu, okazało się to mieć ogromne znaczenie.

Dziś propagandyści rosyjscy mówią, że federacyjna struktura ZSRS była perforacją mapy – odrębne struktury istniały, łatwiej było się oderwać.

Okazało się, że nawet przy potężnym centralizmie i zamordyzmie nawet minimalna, często fikcyjna instytucjonalna odrębność tworzyła infrastrukturę do przyszłego zerwania. Infra-

strukturę w podwójnym sensie. Po pierwsze, były te lokalne rządy, elity, coraz bardziej myślące swoim interesem, widzące w odrębności szansę na zapewnienie sobie lepszej pozycji, trwania przy władzy bez oglądania się na Moskwę. Po drugie, samo istnienie tych republik powodowało, że wszyscy się przyzwyczajali do ich istnienia. Ludność miejscowa, narodowa, a także Rosjanie, którzy w nich mieszkali. Było poczucie, że to jednak nie jest właściwa Rosja, że jest inaczej. Był to substytut państwowości i to miało swoje konsekwencje.

My bez wątpienia jesteśmy na zewnątrz „ruskiego miru”. Nas – uważają – można ewentualnie podbić, zniszczyć bombami atomowymi, uzależnić, może oddać Niemcom

Wróćmy jeszcze do historii. II wojna światowa dużo w tych procesach zmieniła?

Na pewno dała ogromny wiatr w żagle nacjonalizmowi rosyjskiemu, państwo sowieckie coraz bardziej się rusyfikowało. Symbolem zmiany był słynny toast Stalina za naród rosyjski. To raz przyspieszało, raz się cofało, ale centrum Związku Sowieckiego było z biegiem lat coraz bardziej rosyjskie. Niemniej – co dla naszych rozważań najważniejsze – federacyjna struktura cały czas istniała. Były nie tylko miejscowe elity, lecz także szkolnictwo, zwykłe w językach narodowych, czasami uniwersytety. Choć paradoksalnie Związek Sowiecki upadł w momencie, gdy zrealizowano wreszcie wielki integracyjny cel, by niemal 100 proc. ludności kraju znało język rosyjski.

Stawiasz zatem tezę, że już procesy zachodzące na tle narodowościowym w Związku Sowieckim, ten „ruski mir”, który jest tematem naszej rozmowy, rozmontowywały?

Twierdzę, że „ruski mir” wtedy jeszcze istniał, ale coraz bardziej słabł. Siła imperium nie pozwalała tego dostrzec. Dziś, z oddali, jest to oczywiste. Poczucie wspólnoty się rozmywało.

Z punktu widzenia nacjonalistów rosyjskich Polacy mają być częścią „ruskiego miru”? Jak pod tym względem nas widzą?

My bez wątpienia jesteśmy na zewnątrz „ruskiego miru”. Nas – uważają – można ewentualnie podbić, zniszczyć bombami atomowymi, uzależnić, może oddać Niemcom.

Baltowie?

Też nie, ale tam dochodzi rosyjskie przekonanie, że to, co małe, nie może ani nie powinno istnieć. Tu autentyczna anegdota z końca istnienia ZSRS. Irlandczyk jedzie pociągiem z Moskwy do Leningradu, a w przedziale z nim jedzie pracownik sowieckiego MSZ. Rozmowa schodzi na ruchy niepodległościowe w państwach bałtyckich. Rosjanin mówi, że one nie mogą być niepodległymi państwami, bo są za małe. Irlandczyk na to, że jego kraj też jest mały i niepodległy. Rosjanin odpowiada: „Nie, Irlandia nie jest niepodległa, bo jest za mała”. I koniec rozmowy. Mały i niepodległy kraj to w rosyjskim myśleniu sprzeczność.

Ukraina jest duża. Opisujesz w książce, że Rosja uważa jej odpadnięcie od „ruskiego miru” za śmiertelne zagrożenie. Dlaczego?

Rosja zawsze uważała się za coś dużo szerszego niż tylko państwo czy imperium. Rosjanie uważają, że są odrębną jednostką cywilizacyjną, osobnym światem, właściwie kontynentem. Na temat tej swojej odrębności spierali się z Zachodem i między sobą. Z tego punktu widzenia odejście Ukrainy, a w jakiejś mierze i Białorusi, bo 2020 r. pokazał, że i tam jest to trzymane wyłącznie siłowo, są dowodami, iż z nimi w tej odrębnej jednostce cywilizacyjnej już nikt nie chce być. Dla nich to jest szok.

Bo słabną?

Dużo więcej. Degradacja, potworne upokorzenie, bo niknie źródło przekonania o własnej wyjątkowości, o niesieniu atrakcyjnej oferty duchowej, kulturowej, cywilizacyjnej. Jest bowiem prawdą powszechną u nas przekonanie, że Rosjanie uważają, iż wszyscy wokół powinni się ich bać.

Ale to tylko część odpowiedzi, bo jednocześnie rosyjską tożsamość buduje przekonanie o sile przyciągania ich świata. Wszystko składa się w poczucie bycia czymś więcej niż państwo, bycia centrum odrębnej cywilizacji. Gdy odchodzi Ukraina, gdy chcą odejść Białorusini, cała ta konstrukcja się sypie.

Jest tam jakaś refleksja, dlaczego tak się dzieje?

Rosja nie jest jednolita. Zostawmy na boku liberalną inteligencję, która jest wyspowa i dziś bez większego wpływu na myślenie narodu. U reszty odpowiedź jest wulgarnie prosta: bo im Amerykanie wmówili. Bo Zachód ich zwiódł, oszukał, skorumpował. Dziś wszystko widzą w tym planie, nawet reset, którego próbował Barack Obama. To też podobno była część działań zmierzających do zniszczenia Rosji. Putin potrafił powiedzieć, że wobec Rosji jest stosowana ta sama strategia ataku od XVII w.

Widzą Zachód jako całość? Bez rozróżnień?

Używają określenia „kolektywny Zachód”, w którym mieszczą się i Ameryka Bidena, Niemcy Scholza, Francja Macrona i Polska Kaczyńskiego. Czasem uważają, że jest jakieś centrum koordynujące politykę rzekomej agresji wobec Rosji. Niekiedy, iż Zachód się po prostu dogaduje, bo wszyscy myślą tak samo. Ale jedno nie ulega dla nich wątpliwości: wielkim, trwałym celem Zachodu jest ponoć zduszenie Rosji i jej cywilizacji. W to wpisują zmiany na Ukrainie. Po marksistowsku mówiąc: Ukraińcy mają fałszywą świadomość. Trzeba ich zdenazyfikować, a jak się nie dadzą, to trzeba ich zabić.

Rosyjska propaganda mówi to wprost, bez cienia wstydu. Faktycznie inna cywilizacja. Wróć jednak do myślenia w samej Rosji.

Nie patrzą na dane statystyczne pokazujące, jak dużo szybciej rozwijają się państwa pokomunistyczne, które poszły drogą zachodnią? Na wydajność pracy? Poziom innowacyjności? Nie obchodzi ich długość życia ludzi? Poziom przemocy w rodzinach?

To jest bardzo rzadka, szczątkowa refleksja. Głównymi, rozstrzygającymi kategoriami są potęga państwa na zewnątrz i sterowność wewnątrz. To jest najważniejsze. Uważają też, że są tak odrębni, że kryteria przyjmowane wobec innych narodów, państw nie mają wobec nich zastosowania. Głoszą np. tezę, że Rosja rozwija się skokowo. Panuje marazm i jest rzeczą państwa co jakiś czas zorganizować skok. Takie jak stalinowska industria-



lizacja. A jak nie da się tych kategorii przyłożyć do pewnych spraw, to zawsze można sięgnąć po mistycyzm, który potrafi przyjmować formy szokujące współczesnego człowieka Zachodu.

Polemizujesz z tezą, że to, co się dzieje, to prosta próba powrotu do Związku Sowieckiego. Twierdzisz, że Putin tego nie chce.

W jego wypowiedziach, a także ważnej niezwykle dla putinizmu postaci, którą jest Nikołaj Patruszew, znajdziemy nostalgię do ZSRS jako potężnego państwa, którego wszyscy się bali. Ale nie ma tęsknoty za rzekomą równością społeczną, modelem gospodarczym. To jest o tyle zaskakujące, że sam elektorat Putina czuje tę nostalgię za społecznymi mechanizmami życia sowieckiego. Gdyby Putin i Patruszew zaczęli nagle mówić, że za ZSRS wszyscy podobnie zarabiali, ale każdy jeździł na wczasy, toby się bardzo spodobało. Ale oni tego nie mówią. Oni nie mają sentymentu do komunizmu, mają sentyment do siły zewnętrznej Związku Sowieckiego. A jeszcze większy do potęgi Rosji carskiej.

Tak, to zaskakujące, jak te dwie epoki zlewają w jednorodną opowieść o wielkiej Rosji.

Wyluskując z tych epok postacie, z którymi chcieliby się utożsamiać. W okresie miedwiediewowskim był to carski premier Stołypin. Obecnie Putin chętnie cytuje cara Aleksandra III, ojca Mikołaja II, który Rosję odgradził od świata, zamroził, wycofał się z reform swojego ojca, głosił tezy, iż wszyscy na Rosję chcą napaść. Wraca Piotr I, jednak nie jako modernizator, reformator, lecz wojskowy zwycięzca. Pojawia się flirtowanie z Iwanem Groźnym jako symbolem antyzachodności. Z okresu komunistycznego pozytywnie jest przywoływany Stalin jako ten, który zwyciężył w wojnie, zbudował imperium, wziął wszystkich za mordę i trzymał mocno. I to właściwie wszystko z tej epoki.

I tu dochodzimy do bardzo ciekawej tezy z twojej książki o roli zwycięstwa nad faszyzmem, które w wizji współczesnego „ruskiego miru” nie było aktem jednostkowym, ale podjęciem misji dziejowej. Faszyzm nieustannie się bowiem według Moskwy odradza, a ona stale musi go pokonywać. I gdyby nawet Ukraina się nie zbuntowała, nie wybrała zachodniej drogi, to do swojej walki z faszyzmem znalazłby inny cel.

Ten element uzupełnia nasz wcześniejszy opis postrzegania przez Rosjan swojej cywilizacyjnej odrębności. Jej elementem jest stałe poszukiwanie misji, idei rosyjskiej, zadania, które musi to państwo rzekomo wypełniać. Jaka ta idea i misja mają być, co to w ogóle jest, nikt chyba nie wie. A jak idei nie ma, to ją znajdziemy. Bo państwo rosyjskie jest ideokratyczne, opiera się nie na prawie, ale idei realizowanej przez państwo. Inaczej wpadniemy w nihilizm. I tak kręcimy się w koło. Swoją drogą, dlatego właśnie komunizm tak dobrze przyjął się w Rosji. Odpowiadał

na potrzeby tego narodu – oferował ideę ogólnoswiatową i misję jej szerzenia. Dlatego upadek ZSRS przyniósł aż tak wielką nihilizację Rosjan, społeczny rozpad większy niż w jakimkolwiek innym kraju postkomunistycznym.

Dziś zwycięstwo w II wojnie światowej zastępuje komunizm?

W dużym skrócie można to tak ująć. W tej wizji to nie było tylko zwycięstwo, lecz także uratowanie świata, odkupienie jego win, misja dziejowa. Pozostaje więc źródłem moralnej siły Rosjan i ich prawa do zajmowania potężnego miejsca w świecie. Żeby nie była to jednak kwestia historii, żeby idea była żywa, można znaleźć współczesny nazizm, faszizm i nadal go pokonywać. Można to robić do końca świata. Tak to wymyślono.

Nie ma tu jednak pewnej sprzeczności? Ukraina jako „faszyzm do zniszczenia” jest wymyślonym konstruktorem, by ożywić rosyjską ideę, czy jest obiektywną próbą powstrzymania zachodniego wyboru Kijowa?

Jak to w polityce i historii zwykle bywa, splatają się tu różne czynniki. Warto wymienić jeszcze jeden – tworzenie alternatywnego modelu. Nie tylko nie są z nami, lecz także będąc blisko kulturowo, działają zupełnie inaczej. Mają demokrację, instytucje w stylu zachodnim, coraz bardziej konkurencyjną gospodarkę.

Antyrosja?

Tak to nazywają. Przykład, który może być zaraźliwy także dla zwykłych Rosjan. Z punktu widzenia reżimu bardzo poważne zagrożenie. Innym powodem tej wojny jest chęć sięgnięcia po ukraiński potencjał, w tym rolniczy, przemysłowy, który w połączeniu z rosyjskim daje materiał na supermocarstwo.

Jest szokiem dla Rosjan to, jak ta wojna przebiega?

Oni mają duży potencjał samooszukiwania się, nieznany u nas. Dziś jednak nawet władze przestają twierdzić, że wszystko idzie, jak powinno. Pojawiają się głosy, jak analityka Fiodora Łukianowa, lojalnego wobec władz, ale zdolnego w pewnych granicach do własnej oceny. Zauważył on, że wojna z Ukrainą to jest realna skala możliwości współczesnej Rosji. Nie starcie z USA, Chinami, nie imperium światowe, ale starcie z czterokrotnie mniejszą Ukrainą! A i to bez specjalnych sukcesów, z ogromnymi stratami. Łukianow reprezentuje grupę, którą jej przeciwnicy z obozu wojującego nacjonalizmu nazywają szyderczo Partią 23 lutego. Nie przeszli oczywiście do opozycji, ale widać, że ich marzeniem byłby powrót do sytuacji w dniu przed rozpoczęciem agresji na Ukrainę.

Jak się ta wojna może zakończyć?

Najważniejsze, że jest już dziś pewne przetrwanie Ukrainy jako samodzielnego państwa. Tożsamość ukraińska została niesamowicie wzmocniona. Z punktu widzenia „ruskiego miru” to straszliwa klęska. Nic już nie będzie takie samo.



Plan Zełenskiego.

Jak Ukraina chce wygrać wojnę i przyszłość?



MAREK BUDZISZ

Tygodnik „The Economist”, powołując się na rozmowę z gen. Zażużnym, dowódcą ukraińskich sił zbrojnych, informuje o formowanej właśnie „gwardii przełamania”, specjalnych, elitarnych i szkolonych na zachodnich poligonach jednostkach, które mają przejść rosyjskie linie i odbić z rąk Moskali kolejne okupowane terytoria. Docelowo mają zostać stworzone trzy korpusy, każdy w sile sześciu brygad, co łącznie daje nawet 60 tys. ludzi. Ci dobrze wyszkoleni i doświadczeni żołnie-

rze, rekrutujący się w większości z innych formacji siłowych w rodzaju policji czy straży granicznej, uzbrojeni w zachodni sprzęt, który właśnie dociera na Ukrainę, mają, po tym jak wejdą do walki, dać Kijowowi możliwość przeprowadzenia kontruuderzenia i w rezultacie przesądzić o losach wojny.

Plan Zełenskiego pokazuje, jak Ukraina może rozstrzygnąć wojnę na swoją korzyść. Opiera się na założeniu, iż w wyniku ofensywy, która ruszy, jak powiedział mediom Rusłan Muzyczuk, rzecznik prasowy tej nowej formacji, za 2–4 miesiące strona ukraińska przełamie rosyjskie linie obrony. W kolejnym etapie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, ukraińska armia ma osiągnąć wybrzeże Morza Czarnego, przecinając siły okupantów na dwie części.

Wiele się o takich zamiarach ukraińskiego dowództwa mówi i pisze ostatnio

w zachodnich mediach, co może oznaczać, że rzeczywiste plany generałów Zażużnego i Syrskiego są zupełnie inne i atak, który nastąpi, będzie miał inne cele.

OBRONA BACHMUTU

Niezależnie od tego jedno jest pewne – Ukraina przygotowuje się do dużej operacji zaczepnej, której powodzenie może zmienić sytuację strategiczną. I taka jest istota planu Zełenskiego. W gruncie rzeczy jego realizacja już się rozpoczęła, a głównym punktem tej fazy wojny jest obrona Bachmutu. Zdaniem zachodnich analityków obserwujących wydarzenia na froncie sytuacja przypomina w pewnym stopniu to, co działo się latem i wczesną jesienią ub.r. Wówczas Rosjanie, atakując Siewierodoneck i Lisiczańsk i chcąc za wszelką cenę zdobyć te miasta, wykrwawili swoje siły i zostali zmuszeni do

*Ukraina
przygotowuje się
do dużej operacji
zaczepnej, której
powodzenie może
zmienić sytuację
strategiczną.
I taka jest
istota planu
Zelenskiego.
Ma on też
pokażać
Zachodowi,
że Kijów może
wygrać tę wojnę*

ściągnięcia rezerw z innych części frontu. Oslabili w ten sposób swoje pozycje, co wykorzystało dowództwo ukraińskie, skutecznie je przełamując pod Bałakliją i zdobywając w następstwie Kupiańsk i Izium. Teraz schemat jest w gruncie rzeczy podobny.

Rosjanie, którzy już od jesieni ub.r. mówili o drugim Stalingradzie, myśląc o bitwie mającej odwrócić losy wojny, w istocie znaleźli się w sytuacji feldmarszałka Paulusa, próbując kosztem wielkich strat zdobyć Bachmut. To 80-tys. przed wojną miasteczko nie ma fundamentalnego znaczenia strategicznego, jego oddanie nie spowoduje załamania się ukraińskich linii obrony, a Rosjanie, wygrywając tę batalię, nie osiągną przełomu w wojnie, co zresztą przyznał nawet szef Grupy Wagnera Jewgienij Prigożyn, mówiąc, że posuwając się w takim tempie, wyzwolenie Donbasu zajmie im jeszcze 2–3 lata.

Obrona Bachmutu, co zresztą przyznają również ukraińscy analitycy, jest decyzją polityczną, podjętą osobiście przez Zelenskiego, który kilka tygodni temu, kiedy siły ukraińskie były gotowe do odwrotu, postanowił, że miasto ma być utrzymane. Rosjanie atakują na tym kierunku od lata ub.r., od grudnia ich natarcie jest intensywne, a straty gigantyczne. Gen. Skrzypczak powiedział niedawno na jednej z konferencji, że „oni nie zraszają, ale zalewają zdobyte tereny krwią swoich poległych”, a według zachodnich ocen tracą w uporczywych atakach nawet 1 tys. zabitych i rannych żołnierzy dziennie. Eksperci z amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną są zdania, że ciągłe ataki na kierunku bachmuckim, próby najpierw zdobycia miasta w bezpośrednim szturmie, a potem jego okrążenia już doprowadziły do sytuacji wyczerpania się zdolności uderzeniowych Rosjan, którzy nawet jeśli zdobędą miasto, to nie będą mieli wystarczających sił, by posunąć się znacząco do przodu. Tym bardziej że nadchodzi wiosna i ukraińskie czarnoziemy zmieniają się w błota trudne do przebycia dla ciężkiego sprzętu. Te oceny potwierdza też Jens Stoltenberg, który ostatnio powiedział, że zdobycie Bachmutu przez Rosjan nie będzie punktem przełomowym w tej wojnie, a Avril Haines, kierująca amerykańskimi służbami wywiadowczymi, określiła je mianem pyrrusowego zwycięstwa. Nie ulega też wątpliwości, że rosyjskie straty pod Bachmutem są znacznie większe niż ukraińskie, a zatem „ścieranie”, jak w żargonie wojskowym określa się to, co obecnie dzieje się na froncie, sił rosyjskich następuje szybciej niż ukraińskich.

Ostatnio zachodni eksperci obserwujący sytuację zaczęli się zastanawiać, czy uporczywa obrona Bachmutu nie osłabi za bardzo potencjału armii ukraińskiej, oddalając jej zdolności przejścia do kontruderzenia, ale Michael Kofman, który odwiedził pozycje ukraińskie tydzień temu, jest zdania, że obawy co do ukraińskich zdolności ofensywnych mogą być przesadzone. Gen. Syński, który w minionym tygodniu po raz kolejny wizytował pozycje ukraińskiej armii na pierwszej linii frontu, powiedział wprost, że każdy dzień obrony Bachmutu daje Ukrainie czas na przygotowanie rezerw, które będą potrzebne w czasie zbliżających się działań ofensywnych.

CORAZ WIECEJ POMOCY WOJSKOWEJ

Nie mniej istotnym elementem planu Zelenskiego jest przekonanie sojuszników na Zachodzie, że wojnę z Rosją można wygrać, a to, czego Kijów potrzebuje, to wyłącznie dostawy sprzętu, amunicji i pomoc w szkoleniu żołnierzy. Ta strategia opiera się, nieco upraszczając obraz, na udowodnieniu, że siły ukraińskie już obecnie, zanim dotarła pomoc Zachodu na większą skalę, są w stanie powstrzymać Rosjan, *de facto* zamrażając wojnę, a przynajmniej hamując rosyjską ekspansję, dlaczego zatem nie spróbować odwrócić losów wojny na własną korzyść?

Uparta perswazja przedstawicieli Ukrainy, choć powoli, przynosi skutki. W ciągu minionych trzech miesięcy, a szacunki te nie obejmują ostatniego wartego 1 mld dol. pakietu pomocy wojskowej, Pentagon zapowiedział dostarczenie Ukrainie broni o wartości 8 mld dol., co stanowi 40 proc. całej dotychczasowej amerykańskiej pomocy wojskowej. W przypadku Europy te dane, jak obliczyli analitycy, są jeszcze ciekawsze. Otóż tylko w styczniu pomoc wojskowa dla Ukrainy z państw naszego kontynentu przekroczyła to, co przekazaliśmy Kijowowi w ciągu całego 2022 r. A kolejne decyzje są w toku. W Sztokholmie zebrali się w minionym tygodniu unijni ministrowie obrony, by przesądzić o wyasygnowaniu 4 mld euro po to, by zakupić 1 mln sztuk amunicji różnych kalibrów dla Ukrainy. Sprawa jest pilna, bo jak powiedział niedawno publicznie minister Reznikow, szef resortu obrony, obecnie armia ukraińska wystrzeliwuje 120 tys. pocisków miesięcznie, a chcąc skutecznie walczyć, potrzebuje ich przynajmniej 250 tys. Ale to nie koniec ambitnych planów, bo Josep Borrell zgłosił opracowaną wspólnie z premier Estonii propozycję, by wyasygnować kolejny 1 mld dol. na produkcję dodatkowej amunicji w 12 europejskich fabrykach tego sektora mających swoje siedziby w 10 krajach. Chodzi o to, by w ten sposób odbudować zapasy w tych państwach, które przekazały i przekazują Ukrainie swoje zasoby. Ursula von der Leyen chce w tym celu wykorzystać mechanizm stworzony i przetestowany w czasie pandemii COVID-19, kiedy to

Fot. Dmitry Lavin / Shutterstock

Komisja Europejska finansowała nakłady inwestycyjne w fabrykach produkujących szczepionki po to, by te mogły zwiększyć swoje moce wytwórcze. Teraz podobny schemat ma zostać zastosowany do produkcji broni i amunicji.

W Stanach Zjednoczonych podobne decyzje też są w toku. Prezydent Biden, odwiedzając Scranton w Pensylwanii, gdzie jest zlokalizowana fabryka produkująca amunicję, zapowiedział zwiększenie przez Pentagon zakupów i rozbudowę mocy produkcyjnych, a Doug Bush, odpowiadający w amerykańskich siłach zbrojnych za zaopatrzenie, deklarował wzrost zamówień o 500 proc. z obecnych 15 tys. sztuk amunicji miesięcznie do 70 tys. To i tak znacznie mniej, niż obecnie zużywa Ukraina w ciągu miesiąca, ale więcej, niż są w stanie obecnie wyprodukować wszystkie fabryki znajdujące się w państwach NATO.

Takie decyzje to ważny komunikat strategiczny, którego odbiorcą jest Putin i rosyjskie elity – Zachód przygotowuje się do długiej wojny, nie ma zamiaru ustępować. Rosja nie ma co liczyć na podziały i paraliż koalicji wspierającej Ukrainę.

POWRÓT NA KRYM

To z kolei przybliży perspektywę osiągnięcia przez Ukrainę finalnie kolejnych celów wojny, o których nikt na Zachodzie jeszcze kilka miesięcy temu nie chciał nawet słyszeć. Chodzi oczywiście o Krym. W listopadzie ub.r. Zelenski, przedstawiając na spotkaniu państw grupy G20 swój 10-punktowy plan pokojowy, sformułował w nim niebudzący wątpliwości warunek zakończenia wojny, którym jest wycofanie się Rosjan z wszystkich zajętych po 2014 r. ziem Ukrainy. Kijów zaostrzył wówczas swoje stanowisko, bo jeszcze wiosną ub.r., kiedy trwały przerwane odkryciem rosyjskich zbrodni w Buczy i Irpieniu rozmowy pokojowe, na Zachodzie mówiło się o nadaniu Krymowi statusu, jakim w przeszłości cieszył się Hongkong, formalnie należący przez lata do Chin, ale faktycznie kontrolowany przez Wielką Brytanię.

Można zresztą mówić o tym, że ukraińskie cele wojny stale podlegają ewolucji, bo ostatnio Kyryło Budanow, szef

wywiadu wojskowego, w rozmowie z mediami powiedział, że wzdłuż granicy rosyjsko-ukraińskiej już po wojnie powinna być ustanowiona po rosyjskiej stronie strefa zdemilitaryzowana o głębokości nawet 100 km, bo tylko w ten sposób można zagwarantować poczucie bezpieczeństwa społeczeństwu Ukrainy.

Kijów nie zamierza rezygnować z żądania wycofania się Rosjan z wszystkich swoich terenów i dlatego też skrytykował ostatnie propozycje pokojowe Pekinu, które w tej kwestii były niejasne. Deklaracje Joe Bidena, który w Warszawie powiedział, mając na myśli Rosję, że „agresor nie może być nagrodzony”, a także wypowiedzi Victorii Nuland, odpowiadającej w Departamencie Stanu za politykę wschodnią, która na spotka-

Decyzje o zwiększeniu produkcji amunicji w Europie i USA to ważny komunikat dla Putina i rosyjskich elit – Zachód przygotowuje się do długiej wojny i nie ma zamiaru ustępować. Rosja nie ma co liczyć na podziały i paraliż koalicji wspierającej Ukrainę

niu w nowojorskim Centrum Carnegie dopuściła dostarczenie Ukrainie rakiet umożliwiających jej atakowanie celów na Krymie i zaznaczyła, że w przyszłości półwysep powinien co najmniej być strefą zdemilitaryzowaną, świadczą, że stanowisko Waszyngtonu w kwestii warunków zakończenia wojny również podlega ewolucji w kierunku korzystnym dla Kijowa.

To też element planu zwycięstwa Zelenskiego, czyli przekonania Zachodu, że tę wojnę można wygrać, a zamrożenie konfliktu nie jest żadnym rozwiązaniem. Już teraz trzeba budować warunki nie tylko sprawiedliwego, ale przede wszystkim trwałego ładu powojennego.

USTĘPSTWA NIEMOŻLIWE?

Polityka Zelenskiego ma też wymiar wewnętrzny, który warto dostrzec, bo wojna nie zamroziła systemu politycznego Ukrainy. W świetle ostatniego sondażu Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii 87 proc. pytanym o zdanie Ukraińców nawet nie chce słyszeć o ustępstwach terytorialnych na rzecz Rosji, by doprowadzić w ten sposób do zakończenia wojny. W grudniu taki pogląd prezentowało 85 proc. badanych. To czytelny sygnał skierowany do Zachodu i Rosji: wola oporu i zwycięstwa Ukraińców nie maleje. Ale takie nastawienie opinii publicznej ma również wpływ na sytuację wewnętrzną. Zelenski je wykorzystuje, porządkując sytuację. Kolejne pakiety sankcji osłabiają oligarchów będących zapleczem dla formacji starego układu. Znaczenie Julii Tymoszenko, po tym jak media opublikowały nagranie ujawniające, że w czasie wojny spędza czas w luksusowym hotelu w Dubaju, spadło na łeb na szyję, formacja Petra Poroszenki została politycznie zmarginalizowana, a siły prorosyjskie już zupełnie przestały się liczyć, niektórym deputowanym odebrano zresztą mandaty. Znaczenie i popularność zdobywają przedstawiciele umownej partii wojny, zarówno gen. Żaluzny, o którym mówi się, że mógłby stanąć do wyborów prezydenckich, czy popularny bloger Serhij Prytuła zbierający dziś środki na uzbrojenie ukraińskiej armii.

Zelenski, którego czekają wybory prezydenckie, nie chce być heroldem pokoju za cenę ustępstw, bo doskonale wie, że o politycznej przyszłości będą decydować weterani i żołnierze, zwłaszcza jeśli uda się przekształcić Ukrainę w Izrael Wschodu. Taka jest zresztą prawidłowość, co wyraźnie widać choćby na przykładzie Chorwacji, gdzie o tym, kto rządzi krajem, w praktyce decyduje związek weteranów wojny, która zakończyła się niemal 30 lat temu. I to Zelenski chce być liderem, który wygra wojnę, wprowadzi Ukrainę do Unii Europejskiej i NATO oraz stanie faktycznie na czele tej nowej siły społecznej, przez kolejne lata decydującej o tym, kto rządzi w Kijowie. To też część planu Zelenskiego. 

*Nowy status
Irlandii Północnej
gwarantuje mimo
brexitu trwałe
obowiązywanie
prawa unijnego
w tej części
Wielkiej Brytanii*



JAN ROKITA

Zeby pojąć sens i dalekosiężne skutki układu na temat Irlandii Północnej, który właśnie zawarli Rishi Sunak z Ursulą von der Leyen, warto zaryzykować porównanie pozostające (Bogu dzięki) całkowicie w sferze political fiction. Wyobraźmy więc sobie, że pewnego dnia polski premier dogaduje się z szefem Unii Europejskiej co do szczególnego statusu... polskiego regionu lubuskiego. Chodzi o to, by region lubuski, ciągnący i tak w stronę pobliskiego Berlina, stał się (jak mówi teraz premier Sunak o brytyjskim Ulsterze) „unikatową i najbardziej ekscytującą strefą ekonomiczną na świecie”, a to dzięki uprzywilejowanej pozycji prawnej zarówno względem Warszawy, jak i Brukseli.

W tym celu mają być przede wszystkim ustalone unikatowe reguły handlu między Polską a należącym do niej regionem. Na drogach wjazdowych na Ziemię Lubuską, w okolicach Gorzowa, Skwierzyny i Nowej Soli, będą więc ustanowione terminale celne, a przejazd pojazdów będzie rozdzielony między „pas zielony” i „pas czerwony”.

Cena za domową waśń

Pasem zielonym będą się poruszać tylko ci, którzy otrzymali cenną plaketkę „Non for EU”. Czyli (jak mówi nowy układ) zaufani przedsiębiorcy, wiozący tylko niektóre dozwolone towary, a ponadto dający gwarancję, że owe towary dotrą najdalej do Zielonej Góry i Gorzowa, a nie przedostaną się potem jakoś do Berlina. Cała reszta niezaufanych zostanie w środku Polski poddana biurokratycznej, unijnej kontroli, gdyż zgodzono się, by w Zielonej Górze obowiązywało inne prawo od tego, które stanowi polski Sejm.

Wyobraźmy sobie również, że regionalny sejmik lubuski otrzymuje za to szczególny przywilej, który ma uspokoić polskich unionistów, czyli tych, którzy w Zielonej Górze i Gorzowie są zaniepokojeni stopniowym odrywaniem Ziemi Lubuskiej od Polski.

W umowie Sunaka z von der Leyen ów przywilej został nazwany hamulcem Stormontu, od nazwy regionalnego parlamentu Irlandii Północnej. Otóż 30 (spośród 90) deputowanych regionalnego parlamentu może sprzeciwić się na przyszłość jakiegś nowej dyrektywie uchwalonej w Brukseli, ale ich sprzeciw może dotyczyć tylko takiego prawa, które będzie wywierać znaczący wpływ na życie mieszkańców. I co najważniejsze, o tym, czy ów warunek został spełniony, będzie decydować... wspólna komisja brytyjsko-unijna. Zatem jak ci z Brukseli powiedzą, że

znaczącego wpływu tu nie widzą, to specjalny przywilej regionalnych deputowanych rychło okaże się fikcją. To samo zresztą dotyczy owych zaufanych przedsiębiorców, mogących jechać zielonym pasem – oni też muszą uzyskać ową swoistą koncesję zaufania nie ze strony własnego kraju, ale ze strony Brukseli.

ŁASKAWOŚCI VON DER LEYEN

To przemawiające do wyobraźni polskie porównanie jest oczywiście fikcją i z tego powodu, że cała Polska jest częścią jednolitego unijnego rynku, więc irlandzki problem nie może się u nas pojawić. Rzecz jednak w tym, że nieumiejętnie prowadzony przez Brytyjczyków proces opuszczania Unii doprowadził po kilku latach do tego, że zgoda Anglii na tego typu rozwiązanie jest traktowana w Londynie z uczuciem ulgi, jako swoiste mniejsze zło od ciągnącego się już trzy lata przewlekłego konfliktu między Londynem i Brukselą.

Były premier Johnson uważał, że Brytania nie może zrzec się części suwerenności nad Irlandią Północną i dla zapewnienia takiego celu wniósł do Izby Gmin specjalną ustawę na ten temat. Teraz, po porozumieniu z von der Leyen, jego następca ogłasza, iż nie ma już żadnych podstaw dla takiej ustawy. Faktyczny nowy status Irlandii Północnej zostaje bowiem określony

właśnie w owych „ramach z Windsoru”, gwarantujących mimo brexitu trwale obowiązywanie prawa unijnego w tej części Wielkiej Brytanii. Tak właśnie został nazwany ów nowy układ, od londyńskiego Windsor Guildhall, gdzie został obwieszczony (skądinąd miejsca sławnego niegdyś ślubu przyszłego króla Karola z królową Kamilą).

Boris Johnson mówi teraz z sarkazmem, iż sukces Sunaka polega na tym, iż udało mu się zyskać „łaskawą nieugiętość Brukseli, która pozwala nam robić, co chcemy w naszym kraju, ale według ich praw, a nie naszych”.

Ale w dzisiejszej, permanentnie kryzysowej sytuacji Wielkiej Brytanii to właśnie owa „łaskawość” von der Leyen sprawia Anglikom pewne zadowolenie. Zadowoleni są np. liczni Anglicy kochający swoje koty i psy, gdyż von der Leyen po długich oporach zgodziła się, by w ogóle zostały dopuszczone podróże owych zwierzaków między Londynem i Belfastem. Zadowoleni są też rolnicy i sieci handlowe, a to z kolei z racji innego przejawu łaskawości von der Leyen: zgodziła się na to, by „zielonym pasem” mogły się poruszać nawet brytyjskie auta wiozące mięso, kielbasę i sery, oczywiście jeśli będą to produkty firm uznanych przez Unię za zaufane. A wiadomo, że są to produkty ostatnio deficytowe w Ulsterze (a nawet w innych częściach Brytanii), a dla brukselskiej biurokracji – nośniki groźnego niebezpieczeństwa, gdyż wymykają się tzw. CAP, czyli unijnej polityce rolnej.

Premier Sunak uczynił zresztą wiele gestów mających na celu tylko jedno: nastawić von der Leyen łaskawie do Brytyjczyków. W Londynie minęły czasy Johnsona i Liz Truss, kiedy na 10 Downing Street panowało przekonanie, iż z Brukselą trzeba negocjować za pomocą argumentu siły. Miękkki i ugrzecznony Sunak kazał potraktować w Londynie von der Leyen z ceremoniałem właściwym koronowanym głowom i wyprosił nawet u króla Karola precedensową audiencję dla szefowej Komisji. A jak wiele takie gesty znaczą w kontaktach z szefową Komisji, wiedzą dobrze ci, którzy pamiętają, jaki wewnątrzunijny „kryzys” wywołała nie tak dawno von der Leyen, gdy w Turcji posadzono ją na gorszym krześle



niż szefa Rady Europejskiej Michela. Premier Sunak przerwał nawet ostatecznie spotkanie z unijną delegacją, by zausznicze szefowej Komisji – pani Riso – wręczyć na oczach mediów bukiet kwiatów z okazji jej urodzin. Bliski współpracownik premiera nie kryje celu tej całej kampanii oblaskawiania von der Leyen. „Chcieliśmy ją uszczęśliwić” – mówi dziennikowi „The Guardian”.

OBawy ULSTERSKICH UNIONISTÓW

Sceptycyzm wobec nowego układu panuje jedynie w wąskim kręgu eurosceptycznych torysów, którzy zastanawiają się, czy mogą w takiej sytuacji poprzeć Sunaka, czy też wolą otwo-

rzyć kolejny kryzys władzy w rządzącej Partii Konserwatywnej. Wygląda jednak na to, że inaczej, niż bywało w ubiegłych latach, tym razem twardzi konserwatyści nie mają dość siły, by zablokować „ramy z Windsoru” w Izbie Gmin. Układ ma bowiem poparcie opozycyjnej lewicy, która chce, by brytyjskie więzi z Unią zostały powtórnie nawiązane, nim jeszcze Partia Pracy odbierze władzę słabym i rozbitym wewnątrznie konserwatystom. Dla lidera socjalistów Keira Starmera, który żywi całkiem uzasadnioną nadzieję na rychłe zastąpienie Sunaka na 10 Downing Street, załatwienie teraz sprawy irlandzkiej oznacza zdjęcie z głowy przyszłego kłopotu, z którym nie wiadomo, czy i jak on sam umiałby się w przyszłości uporać.



Największym kłopotem dla Sunaka są z pewnością ulsterscy unioniści, panicznie bojący się tego, iż ich region odpływa coraz wyraźniej od Wielkiej Brytanii. Ale nawet ich lider Jeffrey Donaldson przyznał, że „ramy z Windsoru” mogą zostać uznane za pewien postęp, za co zresztą został natychmiast skrytykowany przez posłów własnej partii. Od czasu wyborów z maja 2022 r. ulsterscy unioniści bojkotują obrady Stormontu, protestując w ten sposób przeciw ustanawianiu granicy systemów prawnych i handlowych między Anglią i Irlandią Północną. Jeśli Sunak nie przekona ich do układu z UE, to Ulster będzie się zapadać coraz głębiej w kryzys polityczny, który w tym regionie zawsze grozi nawrotem terroryzmu albo otwartej wojny. To byłaby definitywna

Wielka Brytania płaci dziś cenę nie za sam brexit, ale za nieposkromioną domową waśń, w którą popadła po tym, jak zdecydowała się na opuszczenie Unii Europejskiej

kłęska polityczna Sunaka, bo przecież wszystkie jego umizgi do von der Leyen miały na celu skonstruowanie takiego kompromisu, który zapewni pokój w Ulsterze i utrzyma ów region mimo wszystko przy Wielkiej Brytanii.

Konserwatywny minister ds. Irlandii Północnej Chris Heaton-Harris obiecuje teraz unionistom jakieś prawne gwarancje tego, iż Ulster z pewnością

pozostanie przy Brytanii. Prawdę mówiąc, wątpliwe, by tego rodzaju gwarancje w ogóle dawało się skonstruować. Wraz z układem Sunaka z von der Leyen sprawa przyszłej przynależności Ulsteru wcale nie wydaje się oczywista. W regionie zmienia się zasadniczo demografia na rzecz bardziej płodnych Irlandczyków, niekryjących tego, iż chcieliby integracji całej wyspy w jednym państwie irlandzkim należącym do Unii. A ulsterskim unionistom coraz częściej pozostaje tylko droga protestu i bojkotu, tak jak to właśnie czynią teraz, uniemożliwiając od roku powołanie regionalnego rządu w Belfaście.

RYZIKO DEINTEGRACJI PAŃSTWA

W ciągu wielu ostatnich lat brytyjska opinia publiczna, a w ślad za nią brytyjscy politycy, nie byli w stanie znaleźć wspólnego zdania ani co do samego wyjścia z Unii, ani co do późniejszych następstw tego faktu. W szczególności dotyczy to rządzącej nieprzerwanie od 2010 r. Partii Konserwatywnej, która w końcu – dla świętego spokoju – wybrała sobie grzecznego, miękkiego i bardzo europejskiego przywódcę, jakim jest Hindus Rishi Sunak. Kraj od wielu lat jest pogrążony w nieustającym wewnętrznym konflikcie i kryzysie.

Nie dziwota, że wielu Anglików jest zniechęconych długoletnią wojną o brexit i chciałoby już tylko jakiegokolwiek jej zakończenia. Sunak uznał, że musi znaleźć odpowiedź na to społeczne zmęczenie. Tyle tylko, że godząc się teraz na trwały rozdział brytyjskiego i ulsterskiego porządku prawnego za cenę symbolicznych aktów łaskawości von der Leyen, zwiększa właśnie, a nie zmniejsza ryzyko przyszłej dezintegracji państwa. Wbrew temu, co zwykli pisać europejscy analitycy, Wielka Brytania płaci dziś cenę nie za sam brexit, ale za nieposkromioną domową waśń, w którą popadła po tym, jak zdecydowała się na opuszczenie Unii Europejskiej.

Izolacjoniści i jastrzębie

Niektórzy republikanie czują pokusę, by sprzeciwić się polityce Bidena wobec Ukrainy tylko dlatego, że to on jest jej autorem – tak jak Biden i demokraci sprzeciwiali się wszystkim inicjatywom Trumpa niezależnie od tego, czy były one rozsądne, czy nie



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Ukraina to nowy Irak. Nasz kraj jest zarządzany przez podżegaczy wojennych, którzy są tak bezradni oraz oderwani od potrzeb Amerykanów, że dosłownie wpędzają nas w III wojnę światową” – zatweetowała republikańska kongresmenka z Georgii Marjorie Taylor Greene w rocznicę rozpoczęcia rosyjskiej agresji na Ukrainę. Wtórował jej partyjny kolega z Arizony Paul Goslar, który zaznaczył, że USA nie mają interesów na Ukrainie. „To nie jest nasza wojna” – dodał.

A podczas gdy prezydent Biden przebywał najpierw w Kijowie, a potem w Warszawie, gdzie zapewniał, że Waszyngton pomoże Ukrainie wygrać wojnę i będzie ją wspierał tak długo, jak będzie to konieczne, grupa republikanów zasiadających w Izbie Reprezentantów wezwała do natychmiastowego wstrzymania pomocy USA dla Ukrainy.

NIEWŁAŚCIWE PRIORYTETY

Przewodzi jej Matt Gaetz, kongresmen z Florydy, zaliczany do tzw. obozu MAGA (Make America Great Again) byłego prezydenta Donalda Trumpa. Gaetz przedstawił rezolucję w Kongresie, w której apelował o zaprzestanie pomocy finansowej i militarnej dla Kijowa oraz o rozpoczęcie rozmów pokojowych. Pod petycją podpisało się 11 republikanów z najbardziej radykalnego skrzydła partii. Chociaż grupa stanowi zdecydowaną mniejszość w Kon-

gresie, a nawet w samej GOP (Grand Old Party), uwidoczniła izolacjonistyczne nastroje panujące w części amerykańskiej prawicy. A te się nasilają, im bliżej wyborów prezydenckich w 2024 r.

O ile w maju 2022 r. 60 proc. Amerykanów opowiadało się jednoznacznie za militarnym wsparciem dla Ukrainy, to w lutym br. już tylko 48 proc. (39 proc. wśród zwolenników republikanów). Rok temu ledwie 7 proc. badanych uważało, że USA dają Ukrainie za dużo, teraz ten wskaźnik skoczył do 26 proc. Nastąpiło zmęczenie wojną, tak odległą od codziennych problemów przeciętnych Amerykanów: inflacja, epidemia opioidowa, fala przestępczości w zarządzanych przez demokratów miastach, kryzys bezdomności oraz migracyjny na granicy z Meksykiem.

Republikanie byli oburzeni, że Biden pojechał do Kijowa, zamiast pojawić się w East Palestine w Ohio, gdzie wykoleił się w tym czasie pociąg z toksycznym ładunkiem. „Problemami zwykłych ludzi – tym powinien się zająć starzejący się Biden” – podkreślił popularny komentator Fox News Tucker Carlson.

Tendencje izolacjonistyczne zawsze były obecne w amerykańskiej polityce. Senator z Ohio Robert Taft sprzeciwiał się udziałowi Waszyngtonu w II wojnie światowej aż do Pearl Harbor, a później członkostwu USA w NATO i ONZ. Taft wierzył, że Atlantyk i Pacyfik skutecznie chronią Stany Zjednoczone przed zewnętrzną agresją. Od tego czasu Amerykańscy żołnierze walczyli m.in. w Wietnamie, Korei, Iraku i Afganistanie. Ale ta debata nigdy nie ucihła. Na dodatek większość Amerykanów Rosja nie kojarzy się z zagrożeniem. Gdy Instytut Gallupa zapytał ich w lutym br. o pięć najważniejszych zagadnień polityki zagranicznej, na pierwszym

miejsu wymienili terroryzm (49 proc.), na drugim imigrację (45 proc.), potem cyberataki oraz handel narkotykami (po 41 proc.), a jako ostatnie (39 proc.) zmiany klimatu. Tylko 24 proc. respondentów wskazało na rosyjską agresję na Ukrainę. To samo badanie pokazało zresztą, że tylko 19 proc. Amerykanów absolutnie ufa, że Biden poradzi sobie z wojną na Ukrainie, 37 proc. ma do niego ograniczone zaufanie, a 43 proc. nie ma żadnego. Nie powinno to nikogo dziwić. Biden fatalnie rozpoczął swoją prezydenturę i wielu Amerykanów ma w pamięci chaotyczne i tragiczne w skutkach wycofanie amerykańskich wojsk z Afganistanu.

JAKA WOJNA

To ograniczone zaufanie republikanie zgromadzeni wokół Trumpa chcą wykorzystać. Stali się przy tym zakładnikami kampanii byłego prezydenta, który chce odzyskać Białą Dom. Skoro Joe Biden to uosobienie zła, człowiek, który nie tylko niszczy za pomocą lewicowej agendy Amerykę, lecz także wraz ze swoimi akolitami ukradł Trumpowi zwycięstwo w 2020 r., to prowadzona przez niego polityka zagraniczna nie może być słuszną. Wobec kłamcy i manipulatora, oszusta wyborczego możliwa jest tylko totalna opozycja. W końcu Biden i demokraci sprzeciwiali się wszystkim inicjatywom Trumpa niezależnie od tego, czy były one rozsądne, czy nie. Gospodarka i wojna kulturowa – oto priorytety frakcji MAGA w GOP. Nacisk na te tematy pozwolił Trumpowi zwyciężyć w 2016 r. dzięki głosom m.in. rozczarowanych mieszkańców tzw. pasa rdzy (Rust Belt) w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, którym polityka demokratów



odebrała nadzieje na lepszą przyszłość. A w małych miasteczkach i wioskach amerykańskiej prowincji izolacjonizm jest szczególnie głęboko zakorzeniony.

Ponadto Biden związał swój los polityczny ze wsparciem dla Kijowa. Stał się jego osobistym gwarantem. Dlatego Trump, który prowadził przecież jako prezydent twardą politykę wobec Rosji, grożąc Putinowi zmiążdżeniem i krytykując Niemcy za to, że się energetycznie uzależniły od Kremla, dziś mówi o pokoju „im szybciej, tym lepiej”. Do tego dochodzi, jak podkreślił w rozmowie z „The Washington Post” były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Trumpa John Bolton, osobista niechęć byłego prezydenta do Ukrainy. Afera ze spółką Burisma, w której zarządzie zasiadał syn obecnego prezydenta, Hunter Biden, miała wytworzyć u niego przekonanie, że „ukraińskie władze są w zмовie z demokratami i pracowały przeciwko niemu podczas ostatnich wyborów”. W marcu 2022 r., na samym początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę, były prezydent w telewizyjnym wywiadzie wezwał Władimira Putina do ujawniania informacji, które mogłyby obciążać syna Bidena. Ukraiński rząd jest jego zdaniem skorumpowany i pochłania miliardy z kieszeni amerykańskich podatników.

Podczas gdy Biden spacerował w towarzystwie prezydenta Zelenskiego ulicami Kijowa, Trump rozsyłał e-maile do swoich darczyńców, twierdząc w nich, że prezydent stawia Ukrainę nad Ameryką, ale on, Trump, gdy tylko wróci do Białego Domu, to skoryguje. „[Biden] uwielbia

wysyłać wasze pieniądze do innych krajów, by zabezpieczać ich granice, zamiast naszych własnych” – pisał.

DON KONTRA RON

Na szczęście większość republikanów w Kongresie popiera pomoc dla Ukrainy. Kilkudziesięciu z nich uczestniczyło w lutym w międzynarodowej konferencji bezpieczeństwa w Monachium, a niewielka grupa kierowana przez przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów Michaela McCaula nawet udała się do Kijowa, by spotkać się z Zelenskim. Lider mniejszości Senatu Mitch McConnell twierdzi, że liderzy partii są zdeteminowani, by pomóc Ukrainie. Także niektórzy potencjalni rywale Trumpa w wyścigu o nominację do Białego Domu odcinają się od jego izolacjonistycznej postawy. „Stany Zjednoczone powinny dać Zelenskiemu to, czego potrzebuje, by wygrać” – zaznaczyła Nikki Haley, była gubernator Karoliny Południowej. Według niej to nie wojna o Ukrainę, ale o wolność. Nie chciała jednak otwarcie skrytykować Trumpa. Także Ron DeSantis, najbardziej obiecujący rywal byłego prezydenta, dla którego poparcie w partii oraz wśród zwolenników republikanów stale rośnie, niechętnie odpowiada na pytania o właściwą postawę wobec wojny na Ukrainie. Wprawdzie nie sprzeciwia się otwarcie pomocy Kijowowi, ale stara się podkreślać, że nie jest ani nie będzie to dla niego priorytetem, nawet gdy zostanie prezydentem, tym bardziej

że „krajom NATO ze strony Rosji nic nie grozi”. Nie zawsze tak było. W 2014 r., po aneksji Krymu, młody wówczas kongresmen ostro krytykował prezydenta Obamę za to, że nie robi więcej, by uzbroić Ukrainę. Teraz taka postawa byłaby ryzykowna, jak przekonuje „The Spectator”, bo Partia Republikańska wciąż funkcjonuje w cieniu Trumpa. Były prezydent jest niesłychanie popularny, a jego strategia walki z deep state na domowym froncie oraz „pokoju przez siłę” poza granicami kraju, trafia do wyborców. „Zanim dotrę do Białego Domu, położę kres niszczycielskiej wojnie między Ukrainą a Rosją” – zaznaczył Trump w przemówieniu na konferencji konserwatywnego komitetu akcji politycznej (CPAC) w Maryland.

Wyścig o republikańską nominację zapewne rozstrzygnie się między Trumpem i gubernatorem Florydy. Darczyńcy, z których wielu nigdy nie czuło się komfortowo w towarzystwie tzw. Dona, zwrócili się w stronę Rona. Fox News i szersze imperium medialne Murdocha dawno odeszło od Trumpa w kierunku DeFuture. DeSantis wydawał się lepszym wyborem, szansą na powrót do normalnej polityki, takiej, która także przyciąga umiarkowanych wyborców. Ale na razie Trump wciąż radzi sobie lepiej. Na niego chce głosować 43 proc. sympatyków prawicy, podczas gdy na DeSantisa – 31 proc.

Może więc nadszedł czas, by przedstawiciele obu partii w USA, którzy wspierają Ukrainę, wytłumaczyli Amerykanom, jaki strategiczny interes ma Waszyngton w tej części Europy. ▀

Ukrainiec w szeregach powstania styczniowego

Postać Andrzeja Potebni jest symbolem wspólnej polsko-ukraińskiej walki przeciw imperialistycznej Rosji

Pod koniec października 1861 r. w Siedlcach znaleziono ulotkę o znamiennej treści: „Pamiętajcie, że sprawa polska to wasza własna sprawa i że od wolności Polski zależy wasza wolność”. Okazało się, że ulotka była jedną z kilkuset dystrybuowanych w szeregach oficerów armii rosyjskiej stacjonującej w Królestwie Polskim, a jej autorami byli sympatyzujący z Polakami oficerowie armii carskiej. W 1862 r. kolportażem podobnych ulotek kierował już tajny Komitet Oficerów i Armii. Jednym z jego przywódców był Ukrainiec, syn ziemianina z guberni połtawskiej i porucznik szlisselburskiego pułku piechoty Andrzej Potebnia, który w 1856 r. ukończył Konstantynowski Korpus Kadetów w Petersburgu.

Jak się okazało, zaangażowanie Potebni w działalność konspiracyjną nie było przypadkowe, ponieważ był on związany z tajnym, oficerskim kołem konspiracyjnym Zygmunta Sierakowskiego, z którym to los zetknął go w latach 1858–1859 w trakcie odbywania kursu w szkole strzeleckiej w Carskim Siole.

W Warszawie Potebnia zaczął pełnić służbę w połowie kwietnia 1861 r., co nie było przypadkiem, ponieważ dziś wiemy, że Sierakowski przez ówczesnego ministra wojny Dmitrija Milutina miał wpływ na to, do jakiego garnizonu w carskim imperium byli kierowani do służby oficerowie po studiach w Petersburgu. W lutym 1862 r. pojawił się w Warszawie Jarosław Dąbrowski, 25-letni oficer sztabowy, skierowany do stolicy jako wysłannik Sierakowskiego z Petersburga. Młody oficer jako zwolennik współpracy z Rosjanami na rzecz obalenia cara z jednej strony zaangażował się w proces rozbudowy podziemnej organizacji miejskiej, czego zwińceniem było powstanie wiosną 1862 r. Komitetu Centralnego Narodowego, z drugiej zaś działał na rzecz werbowania oficerów służących w armii carskiej gotowych do współpracy z Polakami. W tym celu utworzono w Warszawie



ARTUR JAGNIEŻA

lokalną komórkę organizacji Ziemia i Wola, która docelowo miała skupiać rosyjskich rewolucjonistów. W prace te od początku był zaangażowany Potebnia.

W maju 1862 r. dowództwo rosyjskie wpadło na trop konspiracji w szeregach armii, czego efektem było aresztowanie oficerów z 6. batalionu strzeleckiego stacjonującego w Warszawie. Wśród zatrzymanych

byli Łotysz Jan Arnhold, Ukrainiec Piotr Śliwicki i Polak Franciszek Rostkowski. Wszyscy trzej zostali skazani przez rosyjski sąd wojskowy na śmierć przez rozstrzelanie.

W czasie kryzysu politycznego warszawskiej konspiracji w czerwcu 1862 r., kiedy to Jarosław Dąbrowski planował rozpocząć powstanie przez zdobycie warszawskiej Cytadeli, Andrzej Potebnia należał do tych konspiratorów, którzy dawali zapewnienie, że biorący udział w spisku związani z nim oficerowie w decydującym momencie wyprowadzą część wojska carskiego poza miasto i otworzą bramy Cytadeli powstańcom. Ostatecznie plan Dąbrowskiego upadł i do wybuchu powstania w czerwcu 1862 r. nie doszło.

W zemście za wydane wyroki śmierci na aresztowanych oficerach 27 czerwca 1862 r. Potebnia w Ogrodzie Saskim dokonał nieudanego zamachu na namiestnika Królestwa Polskiego Aleksandra Lüdersa. Wystrzelony z bliskiej odległości pocisk trafił co prawda namiestnika w szyję, ale ostatecznie go nie zabił. Bezpośredni udział w zamachu zamknął drogę powrotu Potebni do szeregów armii. Z tego względu ukrywał się on w domu Pelagii Zgliczyńskiej, która będąc łączniczką Dąbrowskiego, a zarazem jego narzeczoną (i dodajmy przyszłą żoną), pomogła Potebni przetrwać w Warszawie carskie poszukiwania zamachowca. Wyjeżdżając z Warszawy, Potebnia miał powiedzieć do Dąbrowskiego: „Ja mu wsadziłem w łeb Arnholda i Śliwickiego”. Dodajmy, że skazani oficerowie zostali rozstrzelani 28 czerwca o 4 rano nad jedną z fos twierdzy modlińskiej.

Opuszczenie Królestwa Polskiego przez bohatera naszej opowieści w sposób naturalny skierowało go do pracy w szeregach środowisk emigracyjnych. W drugim półroczu 1862 r. Potebnia był bardzo aktywny za granicą. Tylko w samym Londynie przebywał trzy razy w lipcu, we wrześniu i w listopadzie. Pracował na rzecz konspiracji warszawskiej po aresztowaniu Jarosława Dąbrowskiego, a we wrześniu 1862 r. zorganizował adres oficerów do księcia Konstantego. Równocześnie Potebnia zaangażował się w prace na rzecz pogłębienia zbliżenia środowisk polskich z rosyjskimi rewolucjonistami, w tym z redakcją „Kołoła” z jej liderami Aleksandrem Hercenem i Mikołajem Ogariowem. W czasie rozmów między przedstawicielami Komitetu Centralnego Narodowego z redakcją „Kołoła” Potebnia reprezentował w rozmowach Komitet Oficerski.

W czasie rozmów z uwagi na świadomość słabości swoich wpływów w Rosji liderzy „Kołoła” starali się odwieść stronę polską od decyzji o wybuchu powstania mimo ogłoszenia branki. Z tego względu przedstawiciele Komitetu Centralnego Narodowego postanowili podjąć rozmowy z silniejszym rosyjskim partnerem, którym była rewolucyjna organizacja Ziemia i Wola mająca swoje struktury w Petersburgu. W tym celu Zygmunt Padlewski razem z Andrzejem Potebnią jako reprezentantem Rosyjskiego Komitetu Wojskowego w Warszawie w końcu listopada 1862 r. udali się do Petersburga. W wyniku prowadzonych rozmów 5 grudnia 1862 r. podpisano układ o współpracy, który współredagował Potebnia, a jego najciekawszym zapisem było postanowienie zawarte w pkt. 4: „Komitet Centralny Narodowy uznaje, że Rosja nie jest dość przygotowana, by poprzeć powstaniem rewolucję polską, gdyby ta miała wybuchnąć w stosunkowo bliskim czasie. Ale liczy na skuteczną dywersję ze strony sojuszników rosyjskich dla przeszkodzenia rządowi carskiemu w przesyłce świeżych wojsk do Polski. Ufa także, iż dobrze skierowana agitacja pozwoli mu zawiązać stosunki z wojskiem konsystującym w Polsce. W chwili powstania agitacja ta winna przybrać formę bardziej ukształtowaną i doprowadzić wojsko do czynnego powstania”. Powyższy zapis pokazuje, iż strona polska przywiązywała należytą wagę do kwestii wojskowych, jakie zostały zawarte w porozumieniu.

Wybuch powstania styczniowego zastał Potebnię poza granicami Królestwa Polskiego. W styczniu 1863 r. przebywał on jeszcze w Londynie, gdzie razem z Aleksandrem Slepco-wem działał na rzecz wzmoczenia działań propagandowych na rzecz sprawy polskiej w Rosji. W lutym razem ze Slepco-wem przybył do Warszawy z zamiarem prowadzenia dalszej agitacji na rzecz powstania w szeregach rosyjskich. W tym czasie zredagowano słynną odezwę, której adresatami były



Andrzej Potebnia, ukraiński rewolucjonista, oficer armii rosyjskiej, walczący w powstaniu styczniowym po stronie polskiej

wojska carskie, następującej treści: „Oficerowie i żołnierze armii rosyjskiej! Miał hańbić się zbrodniczym mordowaniem Polaków, skierujcie swój miecz przeciwko naszemu wspólnemu wrogowi. Wyjdźcie z Polski, zwracając jej wydartą wolność, idźcie do siebie, do swej ojczyzny, by wyzwolić ją od sprawcy wszystkich nieszczęść ludu – rządu carskiego. Wyciągnijcie bratnią dłoń zgody i nowego wolnego sojuszu do Polaków, tak jak oni wyciągają dłoń do nas”.

Marzeniem Andrzeja Potebni było powołanie legionu rosyjskich ochotników, którzy walczyliby po stronie polskiej przeciw wojskom cara. Po przybyciu do Warszawy został skierowany przez władzę powstańcze do obozu Mariana Langiewicza.

Mimo napotykanych przeciwności do końca był zaangażowany w realizację koncepcji budowy rosyjskiego legionu, którego żołnierze mieliby składać przysięgę na sztandar Ziemi i Woli. Na dwa dni przed bitwą pod Skalą 3 marca 1863 r. Potebnia pisał do Hercena i Ogariowa:

„Piszę do Was z obozu Langiewicza. Postanowiłem pozostać tutaj. Mało nadziei, że się coś zrobi, spróbujemy”.

W obozie Langiewicza postanowiono wykorzystać

doświadczenie wojskowe ukraińskiego oficera. Potebnia prawdopodobnie brał udział w bitwie pod Pieskową Skalą, gdzie 4 marca 1863 r. Rosjanie próbowali zaskoczyć odpoczywające po forsownym marszu wojska powstańcze. Efektywna obrona oddziałów dowodzonych przez Antoniego Jeziorańskiego i Dionizego Czachowskiego pozwoliła uniknąć rozbicia zgrupowania powstańczego i odnieść taktyczne zwycięstwo nad Rosjanami.

Następnego dnia doszło do bitwy pod Skalą. Maszerując z Pieskowej Skali, dowodzący całością sił powstańczych Marian Langiewicz pozyskał wiedzę, że na miejscowym cmentarzu obozuje rosyjski oddział, który postanowiono zaskoczenia zaatakować i zniszczyć. Niestety, zaskoczenia nie udało się osiągnąć i Rosjanie poinformowani o nadejściu powstańców zajęli pozycje obronne. W tej sytuacji polscy dowódcy w osobach Langiewicza oraz Jeziorańskiego poprowadzili osobiście natarcie na broniony cmentarz. Po blisko trzygodzinnej walce Rosjanie uznali się za pokonanych i uciekli z pola bitwy, pozostawiając zwycięskim powstańcom wolną drogę do dalszego marszu. W czasie bitwy poległo 23 powstańców, a kolejnych 24 zostało rannych. Wśród rannych żołnierzy znalazł się trafiony kulą w pierś Potebnia. Przeniesiono go do domu lokalnego cmentarnika, gdzie niestety zmarł. Wraz z jego śmiercią sprawa polska straciła wiernego sojusznika. Andrzej Potebnia należy do grona tych Ukraińców, którzy są symbolem wspólnej polsko-ukraińskiej walki przeciw imperialistycznej Rosji.



Jerzy Urban SB na celowniku

Jerzy Urban jest znany z doskonałych kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa – szczególnie w okresie, gdy był rzecznikiem prasowym rządu, czyli w latach 80. ub.w. Nie zawsze jednak tak było. Można wręcz śmiało powiedzieć, że dekadę wcześniej znalazł się na jej celowniku

Jerzym Urbanem funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa (SB) zainteresowali się w połowie lat 60. ub.w. Jego nazwisko przewija się w aktach sprawy ewidencyjno-obszaryjnej kryptonim Lichwiarz. Była ona prowadzona „na Andrzeja Berkowicza” – dziennikarza, któremu zarzucano działalność rewizjonistyczną oraz kontakty z osobami powiązanymi z wrogimi ośrodkami. Urban został w niej wymieniony (obok Stefana Bratkowskiego, Jerzego Ambroziewicza i Janusza Rewińskiego) wśród najbliższych kontaktów Berkowicza z grona byłych żurnalistów „Po Prostu”. Ale w tej sprawie pojawiał się jednak marginalnie. Najciekawsza informacja na jego temat pochodziła z 12 maja 1965 r. i została uzyskana od kontaktu operacyjnego o pseudonimie Franciszek. Współpracownik bezpieki – po okazaniu mu fotografii Jerzego Urbana – stwierdził (jak odnotował funkcjonariusz SB), że „około dwóch lat wstecz był on stałym gościem w klubie [SPATiF], przychodził w towarzystwie innych dziennikarzy nieznanymi kontaktowi oraz z różnymi dziewczynami. Dużo pili, Urban był zawsze bardzo poważny, w przeciwieństwie do reszty towarzystwa”. To nie wszystko. Jak dodawał KO, „Urban był w klubie w ubiegłym tygodniu z jakimś młodym literatem i dwoma dziewczynami, z których jedna była bardzo młoda, prawdopodobnie uczennica szkoły średniej, w związku z czym kierownik klubu zrobił im awanturę, zabraniając sprowadzania do lokalu dzieci”.

Informacja ta nie miała jednak prawdopodobnie żadnych dalszych reperkusji. W każdym razie brak w niej adnotacji wskazującej na ewentualny zamiar jej wykorzystania lub choćby pogłębienia przez SB.

Nie oznacza to jednak braku dalszego zainteresowania Jerzym Urbanem ze strony SB. W trakcie nagonki antysemitkiej z lat 1967–1968 jej funkcjonariusze odnotowali m.in. jego wypowiedź: „W Polsce w sposób niepokojący rozsze-



GRZEGORZ MAJCHRZAK

rza się antysemityzm i coraz częściej atakuje się Żydów”, którą oczywiście uznano za wrogą. Bacznie śledzili również jego kontakty z bohaterami Marca ’68 (pojawia się m.in. w doniesieniu dotyczącym Adama Michnika i w zeznaniach Henryka Szlajfera), ale przede wszystkim z żydowską emigracją. Te ostatnie kontakty stały się nawet powodem zastrzeżenia mu – na krótko (do marca 1971 r.) – paszportu, a także rozpoczęcie (25 września 1970 r.) jego rozpracowania przez Wydział IV Departamentu III MSW (odpowiedzialny za rozpoznanie środowisk naukowych, twórczych, literackich i młodzieżowych) w ramach kwestionariusza pod kryptonimem Jur. Był podejrzewany o utrzymywanie kontaktów ze środowiskami rewizjonistycznymi i syjonistami.

Po niespełna dwóch latach (5 maja 1972 r.) prowadzenie rozpracowania przejął Wydział III Departamentu III MSW (zajmujący się zwalczaniem dywersji ideologiczno-politycznej). Wtedy też najprawdopodobniej zmieniono jego kryptonim na Buran. 13 września 1974 r. prowadzenie kwestionariusza ponownie przejął Wydział IV, który interesował się dziennikarzem do lipca 1976 r. Wtedy to akta odesłano do archiwum ze względu na – jak pisano – nie stwierdzenie wrogiej działalności.

Niestety nie wiemy, jakie materiały zebrała SB w trakcie jego prowadzenia, gdyż w styczniu 1990 r. materiały tego rozpracowania – przynajmniej oficjalnie – zniszczono (wybrakowano). Wiadomo za to, że niespełna dwa miesiące po rozpoczęciu rozpracowania Urbana – 14 listopada 1970 r. – stał się on bohaterem doniesienia tajnego współpracownika ps. Władysław.

Ten TW poinformował, że dziennikarz „Polityki”, który mimo trwającej kampanii antysemitkiej powrócił pod koniec 1968 r. do redakcji tego tygodnika, podczas spotkania ze studentami Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego pozwolił sobie na krytykę systemu kształcenia i zatrudniania ludzi z wyższym wykształceniem. Owe spotkanie zostało zorganizowane przez Radę Wydziałową Zrzeszenia Studentów Polskich, a jego tematem była kondycja społeczna studenta. Jerzy Urban – jak raportował współpracownik bezpieki – we wprowadzeniu do dyskusji „wysunął tezę, że brak kontaktu z codzienną rzeczywistością, szczególnie rzeczywistością rynku pracy, stwarza niezdrowe zamknięcie w sobie środowiska studenckiego. Krytykował zakres pracy zawodowej w stosunku do osób studiujących”. Jednak nie tylko – jak dodawał tajny współpracownik – ponadto „nawiązywał bezpośrednio do obecnej sytuacji w zatrudnieniu, krytykując system etatów”. W Departamencie III MSW uznano, że jego wystąpienie „zawierało szereg szkodliwych politycznie elementów”, głównie krytykę systemu kształcenia i zatrudniania osób z wyższym wykształceniem. Uzupełniano przy tym informacje od TW Władysława o kolejne szczegóły. Stwierdzano m.in., że „według Urbana organizacje młodzieżowe na uczelniach nie mogą spełniać właściwej roli, ze względu na oderwanie od życia”. Odnotowano również jego opinię, że „należałoby zrezygnować ze zbyt kosztownej budowy i utrzymania domów studenckich na rzecz podniesienia stypendiów i umożliwienia studentom swobodnego wynajmu mieszkań”. Tak na marginesie Jerzy Urban krytykował również samych studentów, którzy „siedzą z założonymi rękoma i czekają na zbawienie”. Jego tezy nie wywołały szerszej dyskusji, a ta raczej – przynajmniej według TW Władysława – po kilku ogólnikowych wystąpieniach zamarła.

Ten blachy w sumie incydent – w spotkaniu uczestniczyło ok. 20 osób – miał jednak

dalsze reperkusje. W Departamencie III MSW nie ograniczono się do notatki na temat jego przebiegu, ale też trzy dni po niej sporządzono kolejną – tym razem biograficzną na temat dziennikarza „Polityki”. Nie wiadomo, kto był jej autorem, ale sygnowała ją Zygmunt Bielecki – zastępca naczelnika Wydziału IV Departamentu III. I nie była ona bynajmniej laurką dla Urbana. Jak zarzucał mu Bielecki: „W 1968 r. po wypadkach marcowych przy jego protekcji na łamach tygodników »Polityka« i »Życie Gospodarcze« publikowane były artykuły Adama Michnika podpisane pseudonimem A. Sendek i Antoniego Zambrowskiego”. Mało tego – we wrocławskim miesięczniku „Odra” ukazał się artykuł Jerzego Urbana pt. „Polska Ye Ye”, który – w ocenie Zygmunta Bieleckiego – zawierał sformułowania uwłaczające narodowi polskiemu i Polsce amerykańskiej oraz wykpiwał ceremoniał składania wieńców pod pomnikiem Męczeństwa Narodów w Oświęcimiu. Tekst ten spowodował zresztą w styczniu 1970 r. protest Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację do zarządu głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a w efekcie skierowanie sprawy dziennikarza do koleżeńskiego sądu dziennikarskiego. Nie było to zresztą jego pierwszy tego rodzaju wybryk – po artykule pt. „Jego totalność dr Marcinkowski” na temat znanego działacza antyalkoholowego Włodzimierza Marcinkowskiego na łamach „Polityki” w 1963 r., który uznano za zniesławiający, Biuro Prasy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Politycznej nałożyło na niego zakaz publikowania w prasie podległej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”. W efekcie utracił możliwość pisania w prasie codziennej, a ponadto zlikwidowano jego felietony w „Kulisach” (pod pseudonimem Kibic) oraz w „Życiu Gospodarczym” (podpisywane Klekson) – wtedy też zaczął używać swego najbardziej znanego pseudonimu Jan Rem, pod którym zasłynął w latach 80.

Ten zakaz był oczywiście czasowy – w momencie, kiedy powstawała wspomniana notatka biograficzna, Urban pracował już nie tylko (etatowo) w „Polityce”, lecz także stale współpracował z „Kuli-

sami” i „Szpilkami”, a dorywczo również z Filmem Polskim, Telewizją Polską oraz wieloma innymi redakcjami.

Jak pisał Bielecki: „Obowiązki dziennikarskie i publicystyczne traktuje jako formę zdobywania pieniędzy potrzebnych do prowadzenia hulaszczego trybu życia. Zarówno w swym pisarstwie, jak i życiu jest cyniczny i dążący do realizacji jednego celu – użycia”. I dodawał: „Prowadzi bogate życie erotyczne, dużo pije i nie stroni od narkotyków. W środowisku dziennikarskim uważany jest za hochsztaplera i dziennikarza nieodpowiedzialnego”.

Ale to nie wszystko – Stanisław Morawski, czyli zastępca dyrektora Departamentu III MSW – przesyłając notatkę biograficzną Jerzego Urbana do ministra spraw wewnętrznych Franciszka Szlach-

„Moralne i polityczne bagno – pijak, kobieciarz, lawirant polityczny”, to możemy przeczytać w opiniach SB o Jerzym Urbanie

cica, stwierdzał: „Uważam, że nie powinien w »Polityce« pracować”. Być może nie bez wpływu na jego ocenę miała też inna negatywna opinia o Urbanie – tym razem ze strony oficera SB prowadzącego jego rozpracowanie. Ten, charakteryzując dziennikarza, stwierdzał: „moralne i polityczne bagno – pijak, kobieciarz, lawirant polityczny”. Niestety, nie wiemy, czy szef MSW podzielił opinię Morawskiego. Wiemy za to, że Urban nie stracił posady w redakcji „Polityki”.

Nie zaszkodziły mu ani – odnotowane przez czujną bezpiekę – kontakty z zachodnimi dyplomatami (np. II sekretarzem ambasady USA w Warszawie ds. politycznych Rogerem Harrisonem), ani dwutygodniowy (rzekomo mimo braku wizyjazdowych) pobyt na terenie Szwecji i Danii na przełomie maja i czerwca 1972 r. w towarzystwie Andrzeja Berkowicza, który nie tylko wyemigrował z PRL

w 1969 r., lecz także nawiązał kontakty z jednym z dziennikarzy Radia Wolna Europa (Kazimierzem Zamorskim) i przekazał mu informacje dotyczące środowiska dziennikarskiego w Polsce.

Mało tego – po kilku latach, w październiku 1977 r., ocena Jerzego Urbana była już zupełnie inna, przynajmniej ze strony starszego inspektora Wydziału IX Departamentu III MSW (wydziału nadzorującego działania wobec opozycji politycznej) Zygmunta Rybackiego. W odpowiedzi na propozycję Urbana dotyczącą udoskonalenia współpracy między MSW, a „Polityką” (w tym udzielenia dostępu dziennikarzom tygodnika do materiałów SB) pisał on, że „odrzućenie możliwości wykorzystania tej klasy propagandy byłoby lekkomyślnością”. I to mimo że oferta Urbana nie do końca przekonała decydentów z Rakowieckiej.

Jak bowiem konkludował Rybacki, „odpowiadałaby nam raczej rola konsultanta niż zleceniodawcy” – „nieoficjalnej recenzji w miejsce ingerencji”. Żeby jednak nie zniechęcać Jerzego Urbana do współpracy, proponował zlecenie mu konkretnych tematów. Jednym z nich miał być reportaż pod roboczym tytułem „O co im chodzi”, składający się z odpowiednio przeprowadzonych rozmów z czołowymi działaczami opozycji, tak by nakreślić sylwetki rozmówców, ich stosunek do ustroju, celów strategicznych i metod walki z ustrojem. Drugim tematem

była „realna ocena kształtowania świadomości obywatelskiej w szkole średniej i na wyższych uczelniach z wykorzystaniem przykładów z marca 1968 r. i maja 1977 r.” – w obu tych przypadkach tłem były studenckie (czy szerzej – młodzieżowe) protesty, w pierwszym po zdjęciu ze sceny „Dziadów” Adama Mickiewicza jako sztuki antysowieckiej, a w drugim po śmierci działacza opozycji krakowskiej Stanisława Pyjasa i utworzeniu w tym mieście niezależnego Studenckiego Komitetu Solidarności.

Można zaryzykować tezę, że ta propozycja Urbana z września 1977 r. była początkiem jego owocnej – szczególnie w latach 80. – współpracy z resortem spraw wewnętrznych, o której wspominał m.in. w „Listach miłosnych” na łamach „Trybuny” w 2002 r. były szef MSW Czesław Kiszczał. Ale to już inna historia...

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

K

ULTURY



Warszawa 1905

Od wybuchu bomby podłożonej przez młodego rewolucjonistę zaczyna się serial „Polowanie na ćmy” (emisja od 19 marca). Potem opowieść o wydarzeniach, które wstrząsnęły życiem Warszawy w 1905 r., kręci się jeszcze bardziej wybuchowo



Rosyjskie represje coraz bardziej przybliżają Polaków do zrywu, o którym historycy będą mówić, że bez 1905 r. nie byłoby 1918 r. Sytuacja jest tak napięta, że szef carskiej ochrony postanawia przekierować uwagę ludzi na inny tor. Prowokuje w mieście zamieszki na tle obyczajowym.



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

NA TAKIE ROLE SIĘ CZEKA

Równoległe z wątkiem rewolucyjnym rozwijają się w serialu historie młodej aktywistki PPS (Sonia Mietielica)... sprzedanej do luksusowego domu publicznego, właścicielki tego przybytku – Franciszki Szlimakowskiej (Monika Krzywkowska), żony carskiego policjanta Nastazji (Daria Polunina) i wreszcie najbardziej mrocznej postaci tej opowieści: Wiktora Gruna (Przemysław Stippa) – referenta carskiej policji prowadzącego ciemne interesy z przestępczym światem Warszawy, postaci autentycznej.

Sippa nie kryje zadowolenia: – Na takie role się czeka. Na opowiadanie takich historii się czeka. Na takie produkcje się czeka. – O bohaterze mówi: – To zawsze jest inspirujące, gdy mamy historię człowieka realnego z jego emocjami i aspiracjami, nawet z trudnym do przyjęcia sposobem na przetrwanie, który wiązał się z kosztami obarczającymi innych ludzi, również ceną życia. Grun rządzi miastem na wielu poziomach – od rynsztoków po najwyższe urzędy i salony. Ma ogromną sieć powiązań i wszystko pod kontrolą. Do czasu...

AKTUALNE MECHANIZMY

Aktor zwraca uwagę na realia przedstawianej historii: – Tak wyglądała wtedy Warszawa, o czym często zapominamy. Była wielojęzyczna, gęsta, lepka, niebezpieczna i brudna. Rozwijały się w niej przestępcze procedury, w tym proceder handlu ludźmi. Okrutny but carski wypaczał ludzkie emo-

cje, ludzkie mózgi. Teraz też to obserwujemy... – dodaje.

Mateusz Matyszkowicz, prezes TVP, potwierdza: serial odsłania zaskakująco aktualne działania rosyjskiego zaborcy – mechanizm zarządzania podbitymi terytoriami przez wzniecanie waśni na tle etnicznym. I dodaje, że produkcja przywołuje kluczowe zdarzenia i czas oraz przestrzenie, których już nie ma – warszawską Pragę w wielonarodowym i wieloetnicznym mieście.

Zwraca również uwagę na silne serialowe postacie kobiece. Ich działania można odczytać, przywołując ruch polskich sufrażystek. Odmienny na tle europejskich odpowiedników, łączący walkę o prawa kobiet z dążeniami niepodległościowymi. – Nie bez powodu – zwraca uwagę Matyszkowicz. – Polska była pierwszym państwem europejskim, które przyznało kobietom prawa wyborcze.

OCZYMA FILMU

Scenariusze – zarówno serialu „Polowanie na cmy”, jak i kinowego filmu „Pogrom 1905. Miłość i hańba” – powstały

Nasze historie

Opowieści w kostiumie, które poruszają współczesnego widza – w tym burzliwy western z czasów rozbiorów i panoramiczna historia zdeklasowanej szlachcianki. W głównych programach – tylko polskie seriale. Dokumenty i kino współgrające z wieloodcinkowymi produkcjami. Powrót do teatralnych korzeni i inspiracje czerpane z literatury. Takie plany publicznej telewizji – w swojej ofercie zdecydowanie odróżniające się od innych stacji, kanałów i platform – przedstawia prezes TVP Mateusz Matyszkowicz



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Kierunek zmian pokazuje już najnowsza premiera – serial „Polowanie na cmy”, a także przygotowywany na duży ekran film „Pogrom 1905. Miłość i hańba” (oba na podstawie prozy Wacława Holewińskiego).

– Chciałbym, by telewizja publiczna, angażując dzięki ciekawym historiom nasze emocje, opowiadała też historię Polski, by opowieść w kostiumie poruszała istotne momenty naszej tożsamości – podkreśla Mateusz Matyszkowicz.

CZAS NA ZDJĘCIA

Dobrze przygotowany serial wymaga realizacyjnego czasu. Jak wylicza prezes – czterech lat. Na różnych etapach jest już kilka projektów. Najszybciej, bo latem 2023 r., rozpoczną się zdjęcia do „Matyldy”.

Tytułowa bohaterka, młoda Polka z rodziny zdeklasowanej po powstaniu styczniowym, zostaje nauczycielką na pensji. – Śledzimy jej losy w serialu obyczajowym pokazującym i polski dwór, i polską wieś, i miasteczko, i wszystkie perypetie, które mogą przytrafić się młodej kobiecie w tamtym czasie i tamtych okolicznościach, a jednocześnie są bli-

skie emocjonalnym potrzebom naszych widzów – komentuje Matyszkowicz.

Zespołem scenarzystów kieruje Ilona Łepkowska. W tej chwili jest domykana obsada. Emisja jest przewidziana jesienią 2024 r.

Nieco dłużej przyjdzie widzom poczuć na „western osadzony w XVIII-wiecznej, rozbiorowej Polsce”, opowieść o autentycznej postaci – najbardziej znanym w ówczesnej Europie szulerze, Ignacym Chadźkiewicz (vel Chodźkiewicz, ps. Chack). Także kobieciarzu, dorównującym sławą Casanovie, i agencie carcy Katarzynie II.

Opierając się na książce Włodzimierza Boleckiego „Chack. Gracze. Opowieść o szulerach”, twórcy serialu chcą przedstawić brawurowe perypetie nietuzinkowej postaci, pokazując w tle zdarzenia i mechanizmy, które być może pozwolą lepiej zrozumieć przyczyny upadku państwa polskiego pod koniec XVIII w.

To, co jednak podkreśla prezes Matyszkowicz – serialowe produkcje mają być przede wszystkim ciekawymi, angażującymi widza opowieściami. Wspaniale, jeśli zainspirują do poszerzenia wiedzy na temat epoki i przywoływanych zdarzeń. Przestrzeń pozwalającą na pogłębienie historycznego tła zapewnią – powstające równocześnie z serialami – filmy dokumentalne. To w nich pojawią się fakty i głosy historyków.

BITWA NA DWA POLA

Pomysł na współgrający z serialem dokument ma być wykorzystywany częściej.

W przypadku obecnego już na antenie serialu „Korona królów. Jagiellonowie” formuła ta spełniła dodatkowe zadanie.

Wiosenną emisję zakończą zdjęcia najsłynniejszej polskiej bitwy. By tak wielkie (również produkcyjnie) wydarzenie mogło się pojawić w formule codziennego serialu, zdecydowano się na realizację fabularyzowanego dokumentu pt. „Bitwa pod Grunwaldem”. Z budżetem, który pozwolił na pełną filmową rekonstrukcję, z udziałem aktorów grających w „Koronie królów. Jagiellonach”. Pozwoliło to wpleść do telenoweli materiały, na które normalnie budżet takiej produkcji by nie pozwolił, czyli nakręcone w pełnych planach bitewne sceny. Widz dostał też możliwość wyboru, czy zatrzymać się na wersji serialowej, czy sięgnąć również po film dokumentalny. Premiera tego ostatniego – na antenie TVP – odbędzie się w maju, blisko emisji odcinków poświęconych bitwie pod Grunwaldem.

INSPIRUJĄCA LITERATURA

Wracając do planów produkcyjnych, prezes Matyszkowicz wspomina m.in. książkę „Nadberezyńczy” (pierwsze wydanie, Argentyna 1942) Florian Czarneckiego – awanturniczo-romansową opowieść o dramatycznych losach mieszkańców polskich zaścianków między Berezyną a Dnieprem w latach 1911–1920.

Zachwycony lekturą Józef Czapalski pisał: „Język słowotwórczy, dźwięczny, półbiałoruski. Konkretność wizji, miłość ziemi, drzew, chmur, obok której Rey-

mont sztuczny jest i zimny, obok której myśleć można tylko o »Panu Tadeuszu«.

Kolejnym inspirującym tytułem okazał się „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” (1937) Sergiusza Piaseckiego, opisujący życie przemytników na pograniczu polsko-sowieckim w latach 20. ub.w. Do ekranizacji tej powieści przygotowywał się już w latach 90. Janusz Majewski. Projekt TVP jest na etapie scenariusza.

Trwają starania o prawa do powieści Józefa Mackiewicza „Droga donikąd” (1955) – zdaniem prezesa Matyszkowicza przykłąd literatury idealnie, scena po scenie, nadającej się do ekranizacji.

Szansę na wieloodcinkową wersję ma też „Dewajtis” Marii Rodziewiczówny.

POLSKIE ANTENY

Wspomniane kostiumowe projekty – premierowo – byłyby pokazywane w najlepszym antenowym czasie, czyli w niedzielnym, wieczornym paśmie. W pozostałe dni tygodnia godziny popołudniowe mają wypełnić nowe rodzime telenowele „błiskie życiu Polaków, lżejsze w formule, poświęcone codzienności”. Już pod koniec tego roku pojawi się pierwsza z nich. Zastąpi jeden z tureckich seriali.

– Moją ambicją jest, by w przewidywalnym czasie anteny główne TVP, „Jedynka” i „Dwójka” emitowały wyłącznie polskie seriale – zapowiada Mateusz Matyszkowicz. – Nie dlatego, że produkcje licencyjne są złe, ale anten mamy 18.

Prezes tłumaczy, jak rozumie misję TVP: – W świecie, w którym istnieją platformy streamingowe i nieograniczony wręcz dostęp do najlepszych światowych produkcji, telewizja publiczna powinna oferować rzeczy, których w innych stacjach i na platformie nie zobaczymy.

Dodaje, że w dobie globalizacji rynku medialnego, kiedy decyzja o tym, co mogą zobaczyć widzowie w Polsce, zapada na podstawie algorytmu obliczonego pod publiczność na całym świecie, środki publicznego nadawcy powinny być przeznaczone na to, co chcieliby obejrzeć widzowie w danym kraju, co jest zgodne z ich odczuciami, potrzebami. Zaznacza jednocześnie, że nie jest to żadna forma krytyki oferty obecnej na rynku, lecz odpowiedź na pytanie, w jaki sposób powinno się z nią współistnieć.

SCENA NA ŻYWO

W takim duchu ma się również rozwijać Teatr Telewizji. Prezes zapowiada zmianę formuły wypracowanej w latach 90., z dzisiejszej perspektywy archaicznej, bo zbliżającej spektakle do niskobudżetowych produkcji kinowych.

Jego zdaniem nadawca publiczny powinien zapewnić widzom – tym, którzy z przyczyn ekonomicznych czy zdrowotnych, z powodu miejsca zamieszkania lub trybu życia nie mają takiego dostępu – uczestnictwo w spektaklach na żywo.

– Teatr to umowność, scena, kontakt z publicznością – wymienia Matyszkowicz. By zaprosić widzów na przedstawienia, które to zapewniają, trzeba wrócić do dawnej formuły telewizyjnych spektakli. Oczywiście realizowanych z użyciem nowoczesnej technologii.

Już w jesiennej ramówce większość spektakli ma być pokazywana na żywo. Ambicją prezesa są trzy premiery w miesiącu (jedna powtórka). Poniedziałkowy teatr ma być – w dobrym tego słowa znaczeniu – „mieszkański”, przygotowany także dla widzów spoza kręgów nastawionych głównie na eksperymenty ze sztuką.

Jak wskazują badania, tych, którzy chcą uczestniczyć w Teatrze Telewizji, jest dziś ok. 300 tys. – Czy to mało? – pyta retorycznie Matyszkowicz. – Żaden teatr w Polsce nie jest w stanie zapełnić takiej widowni.

POŁĄCZONE EKRANY

Zgodnie z wcześniejszą praktyką część realizacji kinowych – w rozszerzonej, odcinkowej wersji – tra-

fiała z czasem do emisji telewizyjnej. I tak też – jeszcze przed wakacjami – w paśmie niedzielnym zostaną pokazane cztery odcinki „Marca ’68” – serialowego rozwinięcia filmu Krzysztofa Langa.

Zupełnie nowym rozwiązaniem będzie wprowadzenie na wielki ekran tytułów znanych już z emisji telewizyjnej.

W taki sposób jesienią br. trafi do kin pełnometrażowy „Dom pod Dwoma Orłami”. W filmie pojawiają się wątki, które nie weszły do ostatecznej wersji serialu.

Nieznany widzom materiał ma wypełnić 70 proc. całości.

Podobne rozwiązanie znajdziemy w wieloekranowym „Pogromie 1905. Miłości i hańbie”, zapowiadany jako thriller polityczny z epoki. Trafiający właśnie do

emisji serial „Polowanie na cmy” (na podstawie tej samej powieści) ma mieć charakter bardziej obyczajowy, co jednak – jak zapewniają twórcy – nie odbierze mu siły przekazu.

W trakcie przygotowań do realizacji jest też kontynuacja obu tytułów, czyli ekranizacja „Pogromu 1906” Wacława Holewińskiego.

Prezes Matyszkowicz potwierdza również zmiany w produkcji i dystrybucji filmów kinowych. Dawna forma dofinansowania zostanie zastąpiona większymi wkładami do projektów, które TVP będzie mogła autorsko prowadzić. Tak jak w przypadku sfinansowanego w 100 proc. ze środków telewizji publicznej „Filipa”. Znakomite przyjęcie filmu nieźle rokuje tym planom.



Mateusz Matyszkowicz, prezes TVP

Sikorki i fraktale

Ja pochodzę z Sodomy, ty z Gomory. Albo odwrotnie. Czynimy zło, choćbyśmy w pierwszych ławkach siedzieli, kłęczeli z książeczkami do nabożeństwa przed ołtarzem, krzyżem leżeli w Niepokalanowie przed Matką Miłości Zranionej.

Spiski i apokalipsy, jak okiem sięgnąć spiski i apokalipsy. „Może się okazać, że wojna na Ukrainie to jest jakiś wielki teatr”. Boso, lecz w onucach, od rzeczy, do rzeczy. Cyjanek, cynizm, chemtrails: rozpylamy kretynian sodu.

Wiem, co to znaczy zaciąć się w oporze, trwać w buncie, w poczuciu krzywdy. Bóg cię nie skaleczył. Ze skamieniałym sercem błąkałem się po pustyni. Nie dziw się, że czujesz pustkę, że życie nie ma smaku, choćbyś próbował szukać przyjemności w coraz gorszych rzeczach. Nakręcenie mija, najdłuższa nawet zmija. Zróbmy sobie Kościół. Na przykład Kościół Widzimisię.

Powietrze tężeje, trwoga dookoła, wszystko żywe zamarło, ptaki nie śpiewają, nawet liście zastygły, nieprzyjaciel przyszedł. Jezu, ufam Tobie. Śmierć. Krogulec. Martwa cisza.

Bądź pozdrowiony! Bądź pochwalony! Dla nas zelżony i pohańbiony, Bądź uwielbiony! Bądź wysławiony! Boże nieskończony!

I ty, który usta masz pełne Boga, a swoim pracownikom nie płacisz o czasie, i ty, który dom trzymasz w garści wbijaniem wszystkich w poczucie winy, i ty, która w rozpacz nie mając nadziei, zgadzasz się na wykorzystywanie, postępuj uczciwie. Wobec innych i wobec siebie. Przez całe życie to ja byłem swoim najgorszym wrogiem, wyrwij mnie z moich rąk. Proszę.

Obsługa życia jest mało intuicyjna. Mnie z pętli wyzwolił Jezus. Odciał ze stryczka. Z każdym tak chce zrobić. Za każdego z nas oddał życie. Do twoich drzwi w tej chwili kołaczę.

Droga krzyżowa jest narzędziem do rozdzierania serca, a nie szat. Grzegorz, Michał, przyjaźnie zawałone. Gorzkie żale.

Czyń, co mówisz, nic nie rób na pokaz, Bóg widzi i twoje dobro, i twoje zło. Tym, którzy postępują uczciwie, ukaże swoje zbawienie. Czy złem za dobro się płaci?

Bądź pozdrowiony! Bądź pochwalony! Dla nas zelżony, wszystek skrwawiony. Bądź uwielbiony! Bądź wysławiony! Boże nieskończony!

Bądź sprawiedliwy, porządnie wykonuj swoją robotę. Proś, by Ten, Który Być Może Jest, wyrwał cię z niewoli, z uzależnienia od człowieka, od chemii, z sytuacji poniżenia. Choćbyś w Boga nie wierzył, co ci szkodzi, nic nie tracisz.

Odrzuć od siebie wszystkie grzechy i uczyni sobie nowe serce i nowego ducha przez odnowienie umysłu. Nie umiesz?

*Najpiękniejsze nasze
pieśni są związane
z cierpieniem, ale
chrześcijaństwo jest
religią Wielkiej Nocy,
a nie Wielkiego Piątku,
Zmartwychwstania
Zranionej Miłości*

Proś. Czytaj katechizm, przeżyj z otwartym sercem parafialne rekolekcje, módl się, abyś zobaczył swoje słabości. Proś, by Bóg pokazał, w czym błędzisz. I nie odrzucaj bólu, gdy ci pokaże twoje wnętrze. Oddaj Mu, co boli. Rozpocznij post, służ tym, którym nie chcesz służyć. Oddaj czas staremu ojcu, bądź przy mamie, daj siebie wszystkim, którym serce jesteś winien.

Ale też bez złudzeń: nie da się niczego wypościć, zasłużyć się, tu chodzi o miłość, istotą nie są jakieś wyrzeczenia czy nawet ofiarowanie cierpienia. To śmiech na sali, pył, mierzwa, o ile nie robisz tego z miłości. Najpiękniejsze nasze pieśni są związane z cierpieniem, ale chrześci-



ROBERT TEKIELI

jaństwo jest religią Wielkiej Nocy, a nie Wielkiego Piątku, Zmartwychwstania Zranionej Miłości.

Wychowuj mnie, Boże, Ty nikogo nie karcisz, dopuszczasz czasem na człowieka pełnię konsekwencji jego grzechów. Żeby otrzeźwiał i zobaczył, jaki naprawdę jest. Zabierz moją hipokryzję, pokaż, gdy mówię coś tylko po to, by dobrze się poczuć, by ukryć egoistyczne zamiary. Zaprawiaj moją duszę w dobro, ćwicz ścięgna mojego sumienia, ożywiaj mego ducha.

Bądź pozdrowiony! Bądź pochwalony! Dla nas zmęczony i krwią zbroczony. Bądź uwielbiony! Bądź wysławiony! Boże nieskończony!

Wycwicz, Jezu, we mnie odruch reagowania miłością na wszystko, co mnie spotyka, odruch oddawania Ci natychmiast wszystkiego, co pojawia się w umyśle i sercu, odruch, który nie dopuszcza zła do mego wnętrza. Ćwiczysz moją wolę i umiejętność robienia tego, co wiem, by nie było rozbieżności między świadomością a czynami serca i umysłu. Technologia miłości. Mechanika szczęścia i spełnienia.

Ludziom nieuporządkowanym nigdy nie przydają się przydasie, nie znajdują ich, gdy są potrzebne, dlatego właśnie, że są nieuporządkowani. Lokomotywy emocji, zranień, namiętności ciągną wagoniki w różne strony.

Zmień niedostępne mi pragnienia, złam wolę mocy, zabierz to we mnie, co żąda władzy tu i teraz.

Ty, który stworzyłeś sikorki i fraktale, bądź pochwalony, bądź wywyższony, Boże nieskończony.



WOJNA

CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być

Na początek nowość, „*Pas Ilmarinena*”. Marcin Mortka ma swoją publiczność, i dobrze, bo powieść jest dla fanów. Seryjna produkcja, przyzwoita fabuła, ale taki trochę Tomek na tropach Yeti.

Macierz możliwości fiction się wyczerpuje. Trzeba pomysłu, by przełamać wymiętione schematy. Więc albo piszesz „Cieplarnię” i skrajną odmienność – wiarygodnego! – uniwersum sprawia, że opada mi szczeka, albo jak ten sam Brian W. Aldiss konstruujesz w „Non stop” fabułę, której zakończenie powala, albo odłóż pióro. Stwórz jak Abercrombie bohatera na kalekę miarę inkwizytora Glokty, albo rozwal system „Dniem tryfidów”.

U Mortki chyba zbyt szybko szło pisanie lub nie przeczytał rzeczy po skończeniu, bo jeśli ze zdania można wykreślić słowo, to należy to zrobić. I nie mówię teraz o elipsie. Oprócz języka, łaski dystansu nie dostały też niektóre twory jego wyobraźni. Jak można fatum, grozę grósz, powiew apokalipsy, Potworne Niewiadomoco, jak można nazwać niewypowiadalną zagładę – Czarną Zgrozłą? Jakby mówił o teściowej.

Kategoria „weird war” Mortce się sprawdza, niezużyte jeszcze jest nakładanie na real warstwy nadprzyrodzonej. Rzecz musi być jednak wtedy podwójnie wiarygodna. I w sumie jest. NKWD-zista myśli i działa jak NKWD-zista. Jest przekonany – podobnie jak jego koledzy z powojennych sowieckich instytutów cybernetyki, którzy okultyzm nazwali psychotroniką – że można używać duchowości do egoistycznych celów. Jakby to była kolejna sfera materialnego świata, nad którą można zapanować, dokładnie w ten sam sposób, jak powieściowy NKWD-zista władał podwładnymi, których wytresował.

Sowieccy, rosyjscy ludzie ordy gwałcą, palą, mordują. Tak samo 80 lat temu w Finlandii jak dzisiaj na Ukrainie. Bestializacja, zezwierzęcenie, odczłowieczenie człowieka komunistom i Rosjanom wychodziło i wychodzi całkiem nieźle. Real u Mortki jest zatem całkiem realny, z szamanizmem trochę gorzej, ale to już chyba wina autora „Kalevali”, fińskiego eposu, z którego nasz pisarz fantastyczny czerpał garściami: w postowieceniowym XIX w. Elias Lönnrot nie był bowiem już w stanie zrozumieć szamańskich sensów pieśni ludowych i legend, które spisywał.

Zatem P.T. Czytelniku, przekonaj się, co się wydarzy, kiedy „sięgniemy po moc, która nie należy do nas”, jak piszą o „Pasie Ilmarinena” reklamowi copywriterzy.



Hipnotyczne wręcz ujęcia. Wojna, wycinanka z ludzkich ciał, fraktale. Tak, jesteśmy materią, ale czy nie powinna mnie mierzyć poezja wylewających się z człowieka wnętrzności? Duch, dusza. Kiedyś psychotronik-satanista zapytał mnie – według niego retorycznie – czy ktoś kiedyś widział miłość? Pokazałem mu parę wspierających się z czułością, idących ulicą staruszków.

„Na Zachodzie bez zmian” to kolejna ekranizacja pacyfistycznej powieści Ericha Marii Remarque’a, niemieckiego weterana I wojny światowej. Przesypywanie ciał wapnem, mundury wielokrotnego użytku mozolnie ściągane z trupów, prane, z latą na dziurze po śmiercionośnej kuli.

Północne Niemcy, trzeci rok wojny, uliczkami miasta – szukając bliźniaczki z tymi w Krakowie czy Warszawie – pędzi rowerem chłopiec. Gimnazjalista do kolegi fałszującego podpis na druku zgody rodziców na pobór: – Dostaniesz za to lanie... Dzieci idące na wojnę. I bohater już po pierwszym ostrzale, odkopany spod ruin ziemianki, umorusany do granic, bez twarzy. Chwilę potem czy wcześniej zapina guziki munduru jeszcze ciepłego trupa kumpla z gimnazjalnej ławki. Nieśmiertelniki przełamywane jak chleb Ostatniej Wieczery. Mechaniczność śmierci, masa, masakra.

Malownicze ujęcia nocy przed bitwą – historia została opowiedziana przez Edwarda Bergera po bożemu, może momentami za bardzo. „Daj człowiekowi władzę, a stanie się bestią” – mówi Katczinsky, po naszymu Kaczyński.

„Bergera, ideologicznie podążającego za powieścią Ericha Marii Remarque’a, nie interesuje, kto jest po jakiej stronie ani kto ma w tym konflikcie rację. To sprawa wtórna i odległa, wręcz absurdalna wobec skali pokoleniowej katastrofy”. Tak, użycie pacyfistycznej retoryki, tłumacząc bezsens wojny choćby Ukrainom z Bachmutu: 6 stycznia ich dzieci miały co jeść za cenę urwanej w raketowym ostrzale stopy młodej polskiej wolontariuszki.

Według człowieka w wieku poborowym, autora jednej z wielu oddających ducha naszych czasów recenzji, film Bergera „traktuje o ofiarach złapanych na patetyczne haselka o honorze i narodowej dumie. O cywilach siłą wciągniętych w tryby wojny. To nie oni ją rozpętali, ale pod groźbą kary za dezercję muszą oddać jej całych siebie, bronić nie swoich wartości i nie swoich interesów. O życiu i śmierci decydują panowie w białych rękawiczkach, popijający gorącą kawę, ogrzani żarem kominków”. Rozumiem Remarque’a. Nie oceniam, nie byłem w okopie.

Ale pacyfizm jest zbrodnią. Wy tłumaczcie matkom zgwałconych 5-letnich Ukrainek z Buczy, że mężczyźni nie powinni bronić oddanych im pod opiekę kobiet.

Robert Tekieli, Polskie Radio

POPKULTURA

Warte



Katharsis w sali kinowej



Kino

Ten film jest w dużym stopniu autobiograficzny. Jest to film o ciemności, która pochłania dwie osoby, ale jest to również opowieść o rodzącej się miłości do kina. [...] Olivia Colman wciela się w kobietę, która ma problemy psychiczne. Moja mama miała również takie problemy” – mówił Sam Mendes w wywiadzie, który z nim przeprowadziłem dla TVP Kultura. Zdobywca Oscara za „American Beauty” i reżyser dwóch części Bondy („Skyfall”, „Spectre”) zrobił to, co uznani filmowcy w ostatnich latach kochają robić najbardziej. Skierował kamerę na siebie. Ile to już razy w tej rubryce wymieniałem autobiograficzne filmy, które w mniej lub bardziej bezpośredni sposób opowiadały o miłości do kina i dzieciństwie hollywoodzkich reżyserów? Podpowiem: kilkakrotnie. Tylko w 2022 r. na naszych ekranach dostaliśmy nagrodzony Oscarem „Belfast” Kennetha Branagha i „Fabelmanów” Stevena Spielberga. Oba opowiadają o rodzącej się miłości do kina reżyserów oraz społecznej sile dziesiątej muzy. Jak na ich tle wypada dzieło Mendesy „Imperium światła”?

Reżyser cofa się do Anglii początku lat 80., gdy władzę świeżo przejął gabinet Margaret Thatcher. Filmowcy lubią dziś demonizować turboliberalną gospodarczo rewolucję thatcherizmu, więc na ekranie widzimy marazm recesji, grasujące nacjonalistyczne bojówki i rosnącą na ulicach społeczną niepewność. Hilary (Olivia Colman) pracuje w kinie Empire w nadmorskim mieście Margate. Jest to miejsce z duszą, jakie widzieliśmy już w sentymentalnych obrazach o magii kina („Cinema Paradiso”, „Ostatni seans filmowy”, „Purpurowa róża z Kairu” itd.), którego pracownicy czują się jak jedna wielka rodzina. Tyle że ta kinowa rodzina ma również swoje sekrety. Hilary jakiś czas wcześniej przeżyła załamanie nerwowe. We-

szła też w toksyczną seksualną relację ze swoim szefem Elisem (Colin Firth), który traktuje ją instrumentalnie i momentami wyjątkowo podle.

Światło w jej życiu pojawia się, gdy do pracy w Empire przychodzi czarnoskóry student Stephen (Michael Ward). On jest błyskotliwym i ambitnym młodzieńcem, dla którego praca w kinie jest tylko przystankiem w karierze. Ona jest białą kobietą w średnim wieku, która nie ma poza pracą biletarki specjalnie ciekawych perspektyw. Na dodatek coraz mocniej objawiają się jej problemy psychiczne. Czy miłość między tak skrajnie różnymi ludźmi jest możliwa? Mendes w intymny sposób naświetla ich relację. Reżyser wojennego fresku „1917” tym razem jest bardzo subtelny i wrażliwy. Piękne panoramiczne zdjęcia (nominacja do Oscara) Rogera Deakinsa wyrwiają ten film z objęć typowego kina kameralnego i pozwalają Mendesowi jeszcze lepiej budować obraz dwójki głównych bohaterów. Zdobywca dwóch operatorskich Oscarów („1917” i „Blade Runner 2049”) znakomicie gra światłem i wysokim kontrastem, które doskonale zastępują tutaj dialogi.

Olivia Colman jest jedną z najwybitniejszych współczesnych brytyjskich aktorek. Zdobywczyni Oscara za „Faworytę” wcielała się również brawurowo w królową Elżbietę w dwóch sezonach „The Crown”. W „Imperium światła” jest z kolei „zwykłą kobietą, którą minęlibyśmy na ulicy bez zwrócenia na nią uwagi” – jak podkreśla w wywiadzie Sam Mendes. I dodaje, że chciał, by kobiety w średnim wieku mogły się z nią utożsamiać. Hilary jest samotną kobietą, która usilnie szuka światła. Światła nadziei i miłości. Światła wyprowadzającego ją z tunelu depresji. „Dowiedz się, gdzie leży światło w ciemności” – pisał Szekspir w „Straconych zachodach miłości”. Ten cytat przewija się przez cały film Mendesy.



Światło ma jednak jeszcze inny wymiar. To światło filmu i jego magii. Mendes wspomina, że w czasie swojego dorastania tylko w kinie mógł obejrzeć film i dać się mu całkowicie porwać. Nie w telewizji czy w streamingu jak dziś, ale w ciemnej sali kinowej. Kino dawało poczucie wejścia w inny wymiar. Światło puszczone przez kinooperatora było jak wehikuł czasu, do którego wsiadało się z obcymi ludźmi. Toby Jones wciela się tutaj w kinooperatora, który nie tylko wprowadza widzów w magiczny świat, lecz także sam dzięki kinu walczy ze swoimi wewnętrznymi dramatami. „Dla mnie kino było świeckim rytuałem” – wyznaje mi Mendes. To właśnie seans filmowy jest katharsis nie tylko dla Hilary, lecz także Stephena, który w realnym świecie musi walczyć z rasizmem, a w oświetlonym kinie Empire jest w pełni sobą. Nie przez przypadek Hilary ogląda w finale „Wystarczy być” z ostatnią wielką rolą Petera Sellersa, dla którego film Hala Ashby’ego był powrotem na szczyt Hollywood. „Imperium światła” nie ma ukąszenia geniuszu Spielberga z jego „Fabelmanów”, ale jedno łączy oba filmy. Spielberg i Mendes mówią, że kino potrafi uleczyć i oświecić duszę.

FILM W KINACH

Kim jest Patoff?



Kim jest Regus Patoff? Jeżeli to diabeł, to może stać obok kabotyna Milтона o twarzy Ala Pacino. A może to ktoś bardzo ludzki, bostworzony na jego podobieństwo? Tylko kogo? A może to naprawdę tylko zakuty w garnitur konsultant z jądra kapitalizmu XXI w.? Czym jest ten serial? Komedią, horrorem, satyrą, a może thrillerem? Wszystkim po trochu, choć modnej żonglerki gatunkowym eklektyzmem wcale tutaj nie ma.

Jeżeli kochacie Tarantinowskiego Landę i dr. Schultza, to pokochacie Patoffa. „Konsultant” z Amazon Prime to Christoph Waltz na sterydach. Diaboliczny, uroczy, żenujący, magnetyczny, słodki i przerażający. Ten krótki serial warto przede wszystkim obejrzeć dla niego. Owszem, jest to kolejna satyra na technologiczne firmy prowadzone przez nerdów, która nie mówi nam wiele więcej niż inne produkcje o bezwzględnych i coraz bardziej robotycznych zasadach panujących w korpo. Jednym słowem: precz z wyzyskiem klasy pracującej!

Ale ta wizja, podobnie jak w zeszłorocznych „Menu” czy „W trójkacie”, jest już marksizmem cynicznym, bo pogodzone z swoim losem – zbławozowaną jazdą w zaprzęgu globalnego kapitalizmu. Nieuchronna jazda ku przepaści na jednym koniu, na którego grzbiecie siedzi klasa wyzyskująca i wyzyskiwana. Jak dodamy do tego wątki o transhumanizmie czekającym, by pożreć swojego twórcę, to możemy zapytać: nic nowego? Ale to takie pyszne „nic nowego”.

Trudno bowiem oderwać wzrok od diabolicznego Waltza, przychodzącego uratować produkującą gry na smartfony firmę CompWare, której genialny 20-letni szef z Korei zostaje w otwarciu serialu zastrzelony – uwaga! – przez dziecko. Enigmatyczny Patoff masakruje z kolei snowflake’owe dzieciaki z Los Angeles boomerskim lądactwem i... odnosi tym sukcesy. Ba, potrafi

nawet usprawiedliwić zwolnienie z pracy niepełnosprawnej osoby na wózku, która spóźniła się minutę. A dlaczego w czasach pełnego egalitaryzmu i inkluzywności ma traktować ją inaczej niż pełnosprawnych?

Bezwzględnie manipuluje przy tym parą głównych bohaterów (Brittany O’Grady i Nat Wolff), diabolicznie ich kusząc i lepiąc na swoją modłę jak przywołany Milton tworzący Lomaxa w „Adwokacie diabła”. Czy oni mają jednak jaja Keanu Reevesa, by nie ulec pokusie? A może ten diabeł wyciąga z nich tylko to, co najlepsze, by jeszcze lepiej służyli nowym panom, których nadejścia w swoim materialistycznym amoku nie dostrzegają?

Cieszę się, że Christopher Waltz jest nowym Christopherem Walkenem (inicjały pasują!) i nawet jak wciąż gra na tej samej manierze, to kradnie każdą scenę charyzmą i hultajskim urokiem. Mam nadzieję, że drugi sezon powstanie, choć ten jest już zamkniętą całością. Taka dawka konsultanta też w zupełności wystarczy. A może drugi sezon powinien rozgrywać się w Białym Domu? A może jednak pociągnąć wątek katolicki, który zaskakująco dojrzałe tutaj wybrzmiewa? Głęboko wierząca katoliczka w pewnym momencie odwraca się od ołtarza i kroczy w stronę Patoffa, który czeka w konfesjonale. Mocna scena. Pasuje do świata „Adwokata diabła”. No, ale nie wiemy, czy Patoff nim jest.

SERIAL NA AMAZONA PRIME**Streaming**

Endecka lekcja polityki

– Działaczy narodowych łączyło przekonanie, że nasza wspólnota narodowa jest trwałym elementem cywilizacji europejskiej. Chcemy, by odbiorcy naszych inicjatyw mogli się przejrzeć w historii obozu narodowego, by lepiej rozumieć współczesność – mówi **prof. Jan Żaryn**, dyrektor Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Czym jest dziś narodowa myśl polityczna? Lewica się jej boi, młodzież nią interesuje, więc wydaje się żywotna. Potrzebuje ochrony i kulturowania?

prof. Jan Żaryn: Chcielibyśmy, by odbiorcy naszych inicjatyw mogli się przejrzeć w historii obozu narodowego, by lepiej rozumieć współczesność. To ochrona naszego wyjątkowego statusu jako narodu, który jak każdy inny miał swoje niezwykle dzieje, interesy i elity. Zobowiązaniem dzisiejszych wobec reszty społeczeństwa jest zarówno podtrzymywanie wspólnoty, systemu wartości warunkującego jej istnienie, jak i rozwiązywanie politycznych, społecznych i gospodarczych wyzwań. Na przełomie XIX i XX w. tym zadaniem było umiejętne zagospodarowanie romantycznego nacjonalizmu okresu wieszczów, a także wypracowanie narzędzi realnej polityki jako nowoczesnej ścieżki jego ochrony, by na końcu osiągnąć swój główny cel, którym było odrodzenie niepodległego państwa. Dobrą lekcją właściwego uprawiania polityki jest zatem działalność Romana Dmowskiego z okresu wszechpolskiej i wszechstanowej Ligi Narodowej oraz czasu wielkiej wojny i kongresu wersalskiego.

Na czym ona polegała?

Była i jest dziś potrzebna błyskotliwość oraz odwaga, bo przeciwnicy naszych interesów i aspiracji byli i będą. Polega na tym, by wyznaczać sobie cele maksymalistyczne, ale jednocześnie realistyczne. Świat należy rozumieć, nie mieć kompleksów, a jednocześnie formułować wobec niego swoje cele. W praktyce endecka polityka była sprzeciwem wobec ugodowego trójlojalizmu polegającego na zminimalizowaniu własnych aspiracji do tego, co oferowały zaborcze monarchie, a także brakiem zgody na socjalizm, zarówno ten rewolucyjny, oparty na walce klas, jak i ten dogmatycznie insurekcyjny. Uznano, że jest on produktem polskich słabości wynikających z powstań oraz przenoszeniem na polski grunt terrorystycznej walki z carską despotacją, a zatem elementem poddaństwa wobec rusyfikacji kulturowej. Tajność lub jawność czynnej polityki były elementem taktyki, a nie dogmatem.

Spuścizna myśli narodowo-demokratycznej może być jakąś odpowiedzią na to, co nirweluje dziś polskość: globalizm czy kult egoistycznego indywidualizmu?

Nasz instytut przez biografie setek działaczy łączy dorobek obozu narodowego i katolicyzmu społecznego, który sięga głębiej niż chadecja. Jednoczyło ich przekonanie, że nasza



wspólnota narodowa jest trwałym elementem cywilizacji europejskiej. Jest żywa intelektualnie i kulturowo. Łączyła ich chęć stałego poszukiwania miejsca chrześcijaństwa, nauki Kościoła katolickiego w życiu narodu. To przekonanie zatem, że obok trwałości jednostki i rodziny istnieje naturalny byt – naród dany przez Boga, byśmy chronili dorobek pokoleń i go pomnażali. Tak należy rozumieć to piękne zdanie Dmowskiego: „Jestem Polakiem – mam obowiązki polskie”.

Doświadczenia chadeckich rządów Niemiec czy Włoch kończyły się kapitulacją, np. wprowadzaniem aborcji i sekularyzacją zgodnie z opisem o rządach centrum, które metodami prawicy dążą do osiągnięcia celów społecznych lewicy. Niestety.

Punktem odniesienia wszelkich ruchów politycznych i społecznych, odwołujących się do nauki społecznej Kościoła, jest jego magisterium. Jeśli jest ono niezmiennie, to również niezmienna jest postawa wiernych. Na Zachodzie jednak pod dawnymi sztylami zmieniła się treść. Problemem jest dopasowywanie przez

Fot. Andrzej Wiktor

polityków nauki Kościoła do demokracji – systemu, którego cele są wyłącznie oparte na uznaniu fetyszu większości, a nie tego, że istnieje prawda. Jeśli ponadto Kościół będzie tracił ten azymut, osłabi również obecny w życiu publicznym nurt intelektualny i polityczny, który mu towarzyszy: chadecję. Jednak na polskim gruncie Kościół miał pod tym względem wielkie osiągnięcia, bo mimo trudności i barier wywalczył sobie miejsce w przestrzeni publicznej, pozostając w zgodzie z doktryną. Zarówno w XIX, jak i XX w. istniały w Polsce liczne katolickie stowarzyszenia, prowadzone przez Kościół szkoły, akademickie duszpasterstwa, np. Odrodzenie, czy Katolicką Młodzież Narodową, organizatora Akademickich Ślubów Jasnogórskich z 1936 r., w których wzięło udział ok. 40 proc. studiującej wówczas młodzieży.

To prawda, że brał w nich udział młody Karol Wojtyła?

Od 1936 r. śluby te były co roku ponawiane i kontynuowano ich składanie, choć konspiracyjnie, także podczas okupacji. Jest piękne świadectwo zmarłej niedawno Marii Mireckiej-Lorys, w czasie wojny komendantki głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Kobiet. W 1941 i 1942 r. na Jasną Górę przybyli delegaci społeczności akademickiej ze Lwowa i z Krakowa. Jak relacjonowała, wśród podpisów złożonych tam przez ich przedstawicieli był m.in. podpis Karola Wojtyły.

Jesteście bardziej instytutem historycznym, ośrodkiem edukacyjnym czy think tankiem?

Na pewno ośrodkiem historycznym. Wydajemy książki, najbardziej znane z nich to cykle słowników biograficznych działaczy obozu narodowego oraz polskiego katolicyzmu społecznego, którego piąty tom trafi właśnie na półki księgarskie. Prowadzimy też działalność edukacyjną, wystawienniczą, szkolimy nauczycieli, organizujemy panele w naszym centrum edukacyjnym przy ul. Andersa 20 w Warszawie. Mamy też dział dokumentacji, obecnie to ok. 30 kolekcji, np. materiały z londyńskiego Instytutu Dmowskiego czy spuścizna Stanisława Kozaneckiego z Belgii, Jerzego Kurcyusza, przed wojną założyciela ONR-ABC, a w PRL adwokata m.in. broniącego w procesach działaczy Solidarności czy rodziny Grabskich. W sumie ponad 100 tys. dokumentów. W pewnym sensie jesteśmy też think tankiem. W naszym centrum odbywają się debaty, np. w ramach Forum Wiesława Chrzastowskiego w 100. rocznicę jego urodzin.

Fundusz Patriotyczny – kto korzysta z tych środków, jakie działania podejmują jego beneficjenci?

Do 26 marca mamy otwartą czwartą edycję tego konkursu. Do rozdysponowania na różnego rodzaju projekty jest 30 mln zł. Dotychczas z pomocy skorzystało 348 podmiotów. Naszym celem jest wspieranie organizacji odwołujących się do dziedzictwa chrześcijańsko-narodowego, ale środki otrzymują też podmioty samorządowe, np. domy kultury. Wspierając organizacje pozarządowe bądź wydarzenia, tworzy się ogólnopolską sieć struktur i lekcji promujących naszych bohaterów.

Opiekujecie się również grobami znanych działaczy? W Polanicy-Zdroju spoczywa Stanisław Kozicki, w Wałbrzychu Konstanty Skirmuntt. Niewiele wie, że tam zostali pochowani.

Podjęliśmy działania mające na celu wpisanie do rejestru zabytków grobu Romana Dmowskiego na cmentarzu Bródnowskim i odnowiliśmy grób Jana Ludwika Popławskiego na Starych Powązkach. Wydaliśmy również krótki przewodnik po miejscach spoczynku działaczy narodowych w tej nekropolii, których jest tam aż 300. Dzięki pomocy polskiej ambasady w Szwajcarii, gdzie przecież rodziła się Liga Polska, a potem Liga Narodowa, wiemy, co dzieje się z grobami Zygmunta Miłkowskiego i Ludwika Michalskiego. Przy okazji możemy zaapelować do czytelników, by informowali nas o zaniedbanych grobach zasłużonych działaczy narodowych na terenie Polski.

Są jeszcze jakieś historie nieopowiedziane lub wciąż zafałszowane?

Po pierwsze, odkrywanie faktycznych biografii wybitnych ludzi, takich jak choćby Jan Kasprzowicz, wybitny poeta modernistyczny i katolicki, a równocześnie współtwórca Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego w Galicji. Niewiele wie o tym, że Stanisław Wyspiański napisał „Wyzwolenie” pod wpływem kontaktu z Dmowskim i lektury „Myśli nowoczesnego Polaka”. „Syzyfowe prace” Stefana Żeromskiego powstały nie tylko na skutek jego osobistych doświadczeń z rusyfikacją, lecz także po przeczytaniu wysłanego mu przez Dmowskiego artykułu zawierającego jego wspomnienia z okresu nauki w III Gimnazjum Filologicznym w Warszawie, gdzie założył tajną organizację. Przekłamania dotyczą oczywiście również antysemityzmu, utożsamianego w dużej mierze z polskim nacjonalizmem.

Ale ten polsko-żydowski konflikt polityczny i społeczny istniał.

Dlatego olbrzymim wyzwaniem jest wyjaśnienie współczesnemu odbiorcy np. tego, że polityka żydowska w czasie wielkiej wojny i tuż po jej zakończeniu, prowadzona przez bardzo wpływowe środowiska syjonistyczne, była obiektywnie polityką antypolską. Polityczna reprezentacja mniejszości żydowskiej dążyła do wyodrębnienia na terytorium Polski autonomii czy też możliwości odwoływania się do instytucji ponadnarodowych. Interesy międzynarodówki żydowskiej i Polski były po prostu sprzeczne.

Do czego dążyłby dziś Roman Dmowski, gdy Rosja prowadzi wojnę z Ukrainą, a Niemcy interesuje federalna Europa bez państw narodowych w jakimś sojuszu gospodarczo-politycznym z Moskwą?

Dmowski wyczulony na niemiecki imperializm zdawał sobie sprawę, że wdziewa on kostium militarystyczny lub federalistyczny w zależności od potrzeb. Był wyczulony też na niebezpieczeństwo płynące ze znanego mu zbliżenia prusko-carskiego, przed którym zawsze przestrzegał. Ten sojusz przecież utrudniał nam odzyskanie niepodległości. Jeśli chodzi o Ukrainę, jeszcze w 1930 r. pisał, że nie jest ona regionalną kwestią sąsiedzką, ale sprawą globalną. Zdawał sobie sprawę, że jest to przestrzeń, której kontrolowanie decyduje o przewadze w globalnym starciu mocarstw. Uważał jednak, że Ukraińcy nie będą zdolni do budowy trwałej państwowości wolnej od korupcji i zewnętrznych sił. Ta analiza mówi nam dzisiaj, że potrzebujemy niezależnej Ukrainy, że nie chcemy, by dostała się ona w niepowołane ręce, które osłabiałaby polskie możliwości wpływania na polsko-ukraińskie relacje.

Wegańska zasadzka

Pod naszym bokiem śmiało wykluwa się nowy rodzaj komunizmu, widzimy go, ale nie dostrzegamy. I nie ma większego znaczenia, czy komunizm wejdzie drzwiami z napisem „marksizm”, czy może drzwiami z napisem „ekologizm/weganizm”



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Wegańską szarżę europosłanki Sylwii Spurek możemy potraktować w kategoriach grotesku albo szczególnego rodzaju uszkodzenia psychicznego. Odradzałbym jednak całkowite ignorowanie tego faktu, gdyż historia poucza, że takie z pozoru niepoważne hucpiarstwo, jeśli nie zostanie zneutralizowane w zarodku, może przerodzić się w niebezpieczny dla ustalonego ładu ruch. Wszak zbrodnicza działalność Trockiego zaczęła się od dość niewinnych dysput studenckich przy piwie.

Postulaty zgłaszane przez europosłankę i dość wąskie na razie grono jej akademików mają totalitarne jądro i mają stanowić podstawę do działań administracyjnych, a zatem do przemocowego ich egzekwowania. Wyśmiewanie wegańskich zapędów Sylwii Spurek jest niewystarczającym środkiem zapobiegania ich wdrożeniu. To zjawisko niebezpieczniejsze, niż się wydaje. Pod naszym bokiem śmiało wykluwa się nowy rodzaj komunizmu, widzimy go, ale nie dostrzegamy. Rzecz jednak nie w tym, czy mamy inaczej jeść, czy stosując się do postanowień gremium zwanego C40, mamy zmienić styl życia na bardziej proekologiczny, lecz w głębokości proponowanych zmian. Warto się im przyjrzeć bliżej, by dostrzec ich polityczny i niszczycielski charakter.

CIOS W TOŻSAMOŚĆ

Postulaty te uderzają bowiem w istotę naszej kulturowej tożsamości, konstruowanej w dużej mierze przez tradycję. Po pierwsze, głoszą prymat lub równość zwierzęcia z człowiekiem, co jest sprzeczne z zapisami Pisma św., czyli chrześcijańską tradycją cywilizowanego świata. Ta sama Sylwia Spurek jest jednak otwartą zwolenniczką aborcji na życzenie, jednocześnie protestując przeciwko spożywaniu jaj jako początku nowego życia. To ukazuje pewien animizm ruchów ekologicznych i ich neopogański charakter. Są to w swojej istocie ruchy antychrześcijańskie, wyrosłe na gruncie ideologii lewicowych. To lewica wskazywała i wybierała grupy, którymi chciała się koniecznie opiekować, nie zważając na to, czy dana grupa tego sobie życzy, czy nie. Tak było w przypadku robotników, kobiet, homoseksualistów czy czarnoskórych. Tak jest teraz z ekologią. Te właśnie lewicowe konotacje czynią, że do proekologicznych manifestów i akcji trzeba odnosić się z pewną rezerwą.

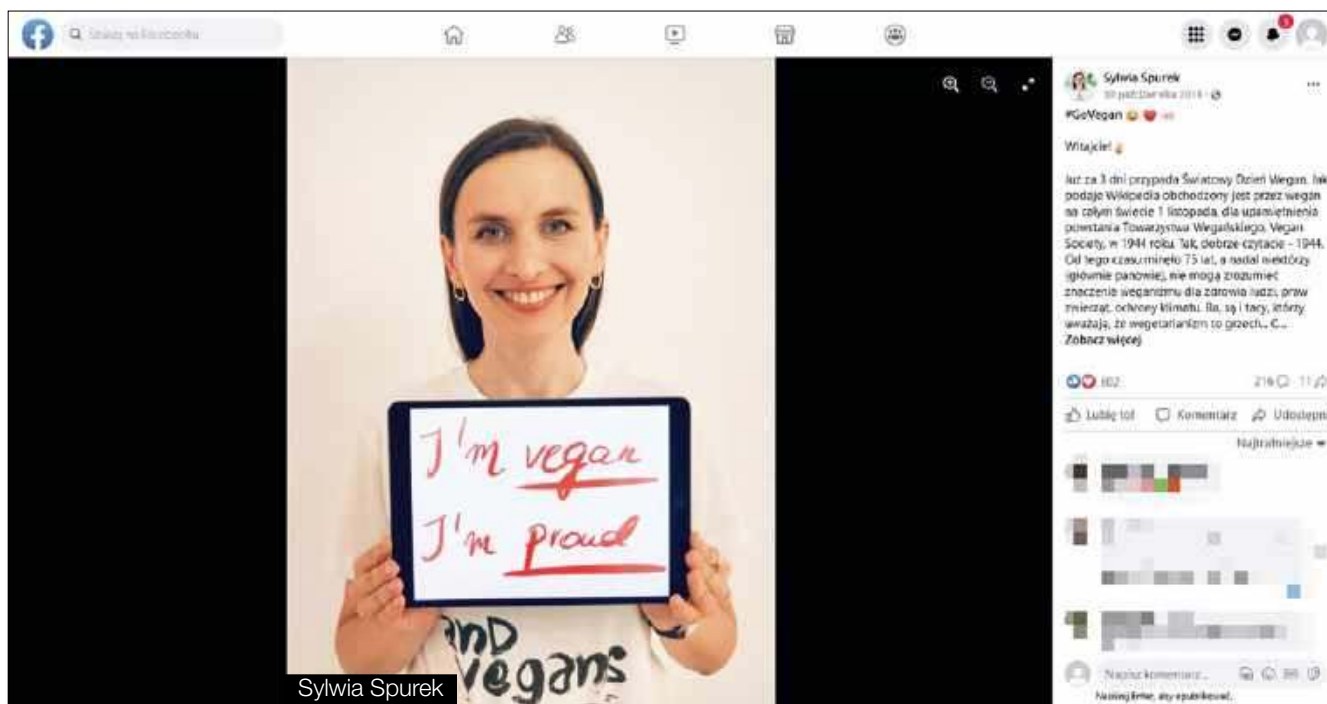
Tutaj znakomitym przykładem jest historia okrutnego hejtu na osobę prof. Jana Szyszko za to, że korzystając ze swoich konstytucyjnych uprawnień jako minister, próbował ratować Puszczę Białowieską przed szkodnikami. W krótkim czasie pseudoekolodzy i tzw. aktywiści zorganizowali bezprzykładną krucjatę przeciwko profesorowi, tym samym ingerując w próbę uratowania puszczy. Zgiełk, który podnieśli, nie miał w żaden sposób charakteru merytorycznego, lecz

jedynie ideologiczny. Ekologizm jest bowiem niebezpiecznym i niemerytorycznym działaniem mogącym przysporzyć trudnych do oszacowania strat.

Propagowanie idei weganizmu jest postulowaniem znaczących i nieodwracalnych zmian w kulturze i cywilizacji, które w sposób istotny mogą wpływać na naszą tożsamość. Ważnym elementem naszej kultury, kultury łacińskiej, jest bowiem zbiorowe biesiadowanie, wspólne ucztywanie. Świąteczne tradycje są związane z określonymi potrawami i smakami. Przed Wielkanocą święcimy pokarmy, w wielu rodzinach przetrwała tradycja modlitwy przed jedzeniem czy chociażby uczynienia znaku krzyża. Poszczególne święta mają swoje niepowtarzalne smaki. Trudno sobie wyobrazić Wigilię przy gotowanych pokrzywach albo Wielkanoc ze smażonym perzem. Wprowadzanie weganizmu do naszej diety jest próbą anihilacji bardzo ważnych tradycji oplatających naszą tożsamość narodową, a węższym wymiarze – rodzinną. Tu nie chodzi o to, że koniecznie chcemy jeść kotlety schabowe, udka z kurczaka czy jajka na miękko, to trywializacja problemu. Idzie o coś ważniejszego, co nazwalibyśmy kuchnią lokalną, a więc rodzajem kotwicy tożsamościowej. Wyróżniamy wszak kuchnię chińską, śródziemnomorską, kuchnię Lewantu czy kuchnię polską. Stosowane w każdej kuchni produkty są związane z klimatem i sposobem ich pozyskiwania, a to z kolei wynika z narodowych tradycji i możliwości generowanych przez dany obszar. Nie da się zatem masowo zmienić diety bez naruszania najszerzej pojętej narodowej tradycji.

CHAOS NA RYNKU PRACY

Drugim niebezpieczeństwem wynikającym z myślenia wegańskiego jest ingerowanie w społeczny podział pracy. Z produkcji żywności żyją miliony ludzi, są wśród nich także hodowcy. Zakaz spożywania mięsa i wyrobów odzwierzęcych spowodowałby nieprawdopodobne spu-



stoszenie na rynku pracy, poczynawszy od hodowców bydła, przez hodowców drobiu, aż po bartników. Weganie bowiem również zabraniają jeść miód.

Taka ingerencja w naszą dietę spowodowałaby na zasadzie klocków domina spustoszenie w innych dziedzinach, takich jak produkcja pasz, produkcja maszyn i narzędzi rolniczych, a także cały przemysł przetwórczy, handel specjalistyczny, edukację zawodową, handel międzynarodowy, transport. Dla ogromnej części gospodarek europejskich i światowych byłby to cios śmiertelny.

Próba radykalnego wykluczenia z diety mięsa i nabiału nie byłaby też obojętna dla zdrowia i kondycji psychofizycznej dzieci i młodzieży. Z kolei pozbawienie produktów nabiałowych ludzi starszych zwiększyłoby odsetek osób chorujących na osteoporozę. Tak więc odebranie możliwości spożywania mięsa i nabiału miało by charakter patogeniczny. Swoją drogą jest niezmiernie ciekawe, jak do tego typu propozycji odnosi się WHO.

DEZORGANIZACJA ŻYCIA

Postulaty Sylwii Spurek pospołu z deklaracją grupy miast C40, której to sygnatariuszem jest Rafał Trzaskowski, to próba całkowitego przebudowania

świata w stronę zorientowanego światopoglądowo na nieracjonalny ekologizm. *De facto* jest to konstruowanie nowej religii, w której człowiek jest jednym z równorzędnych elementów świata, a nie zwieńczeniem Bożego dzieła stworzenia.

Projekty wspomnianej przebudowy świata są brzemiennie w skutki, o których się praktycznie nie dyskutuje. Wyobraźmy sobie powszechny zakaz używania prywatnych samochodów w większych aglomeracjach miejskich. To oznacza przeorganizowanie życia wielu obywateli. Korzystanie z transportu miejskiego wydłuża czas przejazdu, a zatem musi skutkować czy to wcześniejszym wstawaniem ludzi pracy lub też późniejszymi godzinami rozpoczęcia aktywności pracowniczej. Sprawdziłem to na własnym przykładzie. Dojazd na uniwersytet wynoszący 13 km w przypadku przemieszczania się własnym autem zamykał się w 30 minutach, z kolei ta sama trasa pokonywana środkami komunikacji publicznej (z jedną przesiadką) wymagała od 50 do 60 minut jazdy. Gdybym chciał korzystać ze środków komunikacji publicznej, musiałbym całkowicie zmienić harmonogram całego dnia.

Często dojazd własnym autem do miejsca pracy jest okazją do poczynienia zakupów. To nie tylko możliwość

zatrzymania się przy dowolnym hipermarkecie, lecz także możliwość zakupu wielokilogramowych produktów. Przy komunikacji publicznej oznacza to duże wydłużenie czasu, ale jednocześnie konieczność dźwigania zakupionych towarów. W obecnym trybie wypełniamy koszyki produktami, a następnie podjeżdżamy do auta i produkty przepakowujemy do bagażnika. W trybie ekologicznym dźwigamy ciężkie torby do najbliższego przystanku, a następnie z autobusu bądź tramwaju do domu.

W dalszej perspektywie takie przebudowanie harmonogramu dnia odbywa się kosztem czasu spędzanego z rodziną, kosztem zdrowia narażonego na uszczerbek przez dźwiganie ciężkich zakupów, a także kosztem zmęczenia. Postulat zamiany samochodów spalinowych na auta elektryczne również nie gwarantuje 100-proc. poprawy jakości powietrza i generuje inne, dotąd nieobecne zagrożenia. Wyzwaniem stanie się utylizacja zużytych baterii, brak dostatecznej ilości pierwiastków rzadkich niezbędnych w produkcji wszelkiej elektroniki, a także last but not least zmiana samej struktury podróży. Obecnie, by na trasie uzupełnić paliwo, potrzebujemy dosłownie kilku minut. Uzupełnienie energii w akumulatorach trwa wielokrotnie dłużej. Nie będzie to

pozostawało bez wpływu na odbywanie podróży. Zasięgi aut elektrycznych są określane przez producentów w granicach od 400 do 600 km. W moim aucie, tradycyjnym i całkiem przeciętnym, na jednym zbiorniku paliwa jestem w stanie, jadąc zgodnie przepisami, przejechać nawet do 900 km. To w znaczącej mierze wpływa na komfort podróży.

Podróż jest tutaj rozumiana bardzo obszernie – jako dojazd do pracy, przejazd na wypoczynek, załatwianie rozmaitych spraw w miejscach niekiedy od siebie bardzo odległych, ale to także transport towarów. Zatem całkowite przejście na auta elektryczne wiąże się z poważną zmianą techniczną i logistyczną, ale tego w dyskusjach się nie porusza. W tym miejscu należałoby zapytać, czy zakazy obejmowałyby również loty wojskowe, czy czołgi miałyby być elektryczne, a ekologiczna artyleria nie emitować CO₂?

KOMUNO, WRÓĆ?

W obszarze tych zagadnień nie może zabraknąć wątku historyczno-psychologicznego. Trzeba bowiem pamiętać, że w okresie realnego socjalizmu ustawicznie byliśmy wćwiczani w życie przasne i dość zgrzebne. Socjalizm był w swojej kolorystyce szaro-szary. Był też zniekształceniem normalności. Handel był karykaturą handlu, wybory były karykaturą wyborów, dostatek był karykaturą dostatku. Przez prawie 50 lat cała Polska stała w długich kolejkach po kawałek chabaniny, po meblościanki czy „luksusowe” towary, takie jak instrumenty muzyczne albo sprzęt fotograficzny. Kuriotycznie wyglądał rynek motoryzacyjny. Na auto czekało się wiele lat, zużyte auta kosztowały wielokrotnie więcej niż nowe, a z pogłębianiem się kryzysu gospodarczego paliwo, artykuły spożywcze, buty, a nawet rajstopy były na kartki. Zaledwie jedno pełne pokolenie żyje w kraju wolnym od socjalistycznych absurdów, w kraju wolnego rynku i ogromu możliwości, a już pojawia się pomysł na powrót do realnego socjalizmu przystrojonego w szaty ekologiczne. Nieważne, jaka stanie za tym ideologia, ważne, że efekt

będzie identyczny. Czymże bowiem różni się niemożliwość podróżowania samolotem z powodów ekologicznych od niemożności podróżowania z powodów politycznych, jak to miało miejsce w komunistycznej Polsce, gdzie paszporty były reglamentowane przez Służbę Bezpieczeństwa?

Zarówno drastyczne ograniczenia zawarte w porozumieniu C40, jak i w postulatach, których symbolem są poglądy głoszone przez Sylwię Spurek, to propozycja nie tyle ekologiczna, ile polityczna. Jej realizacja wymagałaby całkowitego

Propagowanie idei weganizmu jest postulowaniem nieodwracalnych zmian w kulturze i cywilizacji, które w sposób istotny mogą wpływać na naszą tożsamość. Trudno sobie wyobrazić Wigilię przy gotowanych pokrzywach albo Wielkanoc ze smażonym perzem



porzucenia dotychczasowej cywilizacji, a w jej miejsce narzucenie rozwiązań egzekwowanych administracyjnie i pozostających w sprzeczności nie tylko z nauką, lecz także zdrowym rozsądkiem.

EKOKOMUNIZM

W odniesieniu do skutków społecznych nie ma większego znaczenia, czy komunizm wejdzie drzwiami z napisem „marksizm”, czy może drzwiami z napisem „ekologizm/veganizm”. Nie ma znaczenia, gdyż zawsze kończy się dyktaturą ubraną w szaty równości czy społecznej sprawiedliwości. Śmiem twierdzić, że zaawansowany komunizm, nawet ten ze szkoły

frankfurckiej, jest nie do odróżnienia od skutków rodem z Sylwii Spurek czy C40.

Utożsamianie go wyłącznie z embargiem na spożywanie mięsa czy nabiału, a także ograniczeniami swobód obywatelskich przez zakaz używania aut jest tylko wierzchołkiem góry lodowej. Powstaje bowiem pytanie, czy będziemy mieli prawo hodowania kanarków albo papużek falistych. Czy wyklęci będą nie tylko myśliwi, jako bezmyślni mordercy dzikich zwierząt, lecz także wędkarze? Czy wolno będzie jeździć konno (bo to przecież zniewalanie zwierzęcia i wymuszanie posłuszeństwa przez wędzidło)?

Efektem komunizmu ekologicznego będzie niedostatek. Tak samo jak w komunizmie marksistowskim w jednym i drugim przypadku zostanie ograniczona konsumpcja białka zwierzęcego i nabiału. W przypadku komunizmu marksistowskiego owa zmniejszona konsumpcja była efektem niskiej podaży wynikającej z systemowej niegospodarności i tzw. socjalistycznego sposobu produkcji. W przypadku komunizmu ekologicznego będzie to ograniczenie podaży w skutek zarządzeń ideologicznych.

Cechą komunizmu jest wywołanie awaryjnej zaradności społecznej, będącej reakcją na liczne ograniczenia i restrykcje, komunizm niemal automatycznie tworzy drugi obieg. Przestrzenią dla drugiego obiegu może być rynek publikacji, obszar opinii społecznej, a także czarny rynek towarów. Zatem reakcją na C40 może być mięsne podziemie, nabiałowy drugi obieg czy uprawiana w sekrecie jazda konna. Ciekawe skądinąd, że jako wroga wskazano białko zwierzęce i mleko, a nie alkohol, który czyni spore społeczne spustoszenie.

Bez wątpienia postulaty ekologiczne i wegańskie wrócą do nas ze wzmożoną siłą. To tylko kwestia pretekstu i sprzyjających okoliczności. Tego typu ideologie nie tylko próbują przeobrazić podstawowe zasady funkcjonowania społeczeństw, ale nade wszystkim stanowią obszar walki ze zdrowym rozsądkiem i z racjonalnym myśleniem. To swoista tresura w obcowaniu z absurdem i nieprzewidywalnością następstwa wypadków, tyleż niebezpieczna, co zabójcza dla dalszego rozwoju społeczeństw.

ZNALEŹĆ WSPÓLNY CEL

Za nami kolejna, coroczna konferencja Izby Domów Maklerskich – jedno z najważniejszych wydarzeń na polskim rynku kapitałowym, bowiem to w Bukowinie Tatrzańskiej na początku roku są artykułowane najważniejsze wyzwania stojące przed uczestnikami rynku, giełdą i administracją, regulującą i kontrolującą zasady oraz wciąż zmieniające się przepisy. I to, co pozytywnie zaskoczyło uczestników tegorocznych paneli, to wyjątkowo wysoki poziom optymizmu. Mimo naturalnych sygnałów na temat niezbędnych zmian na rynku kapitałowym w dyskusjach o polskiej gospodarce dało się wyczuć powiew dawno niewidzianego optymizmu

Onajważniejszych wyzwaniach stojących przed rynkiem i uczestnikami tegorocznej konferencji mówił w niezwykle emocjonalnym wystąpieniu prezes IDM, Waldemar Markiewicz.

– Zachowując pewne proporcje, mam dziś takie skojarzenia z transformacją po 1989 r. – wielkie wyzwania unowocześnienia i sprywatyzowania gospodarki. Jaka jest różnica między tamtą sytuacją a obecną? Wtedy wszyscy uczestnicy rynku mieli wspólny cel. Była zgoda w rządzie, społeczeństwie, że pilnie należy rozwijać rynek kapitałowy, żeby finansować polskie przedsiębiorstwa, budować mocną, prywatną gospodarkę. Prywatyzacja państwowych, wielkich firm przyczyniła się do zwiększenia efektywności i produktywności, ale jednocześnie stworzyła obywatelom udział we wzroście wartości firm. Giełda odgrywała służebną rolę wobec rynku, działając na rzecz wszystkich uczestników – mówił prezes Markiewicz. – Ponadto system podatkowy wspierał inwestycje. [...] To dzięki rozwojowi rynku kapitałowego, który był uzupełnieniem wyjątkowo dynamicznie rozwijającego się, nowoczesnego systemu bankowego, zanotowaliśmy bardzo duży rozwój gospodarczy. No i dzisiaj, trzeba dążyć do tego samego. Mamy jednak odmienną sytuację... W pewnym sensie rynek jest w stagnacji, gdy patrzymy na udział rynku kapitałowego w finansowaniu potrzeb rozwojowych polskich firm. [...] Po danych widać, że ten wspólny cel gdzieś się zagubił, a giełda maksymalizuje zyski kosztem uczestników rynku, podatki nie wspierają konwersji oszczędności gospodarstw domowych w inwestycje, system OFE już nie gromadzi kapitału, można powiedzieć – zamyka się, a chlubnym wyjątkiem – trzeba to wyraźnie powiedzieć – jest wprowadzenie Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK). Rynek kapitałowy to obecnie polski węzeł gordyjski, który wymaga przecięcia!

Możemy dalej dryfować, zadawała się tymi małymi sukcesami funkcjonowaniu, usprawnieniami drobnymi albo możemy podjąć decyzję na skalę wyzwań. Do tego jest potrzebna wola polityczna i odwaga decydentów i o to apelujemy – mówił prezes IDM, otwierając konferencję w Bukowinie.

Kolejne wystąpienia i debaty, poświęcone w dużej mierze makroekonomicznej sytuacji gospodarczej, wyzwaniom związanym z podstapandemicznym kryzysem, wojną na Ukrainie, inflacją, świadczyły wyraźnie o tym, że rynek kapitałowy, w tym największe polskie spółki giełdowe, skutecznie poradziły i radzą sobie z „czarnymi labędziami”. Warto wspomnieć wystąpienie prof. Łukasza Hardta, prof. Jacka Jastrzębskiego – przewodniczącego KNF, czy Artura Sobonia, wiceministra

finansów. Większość gości specjalnych konferencji mieliśmy okazję zaprosić do studia TV w Polsce.pl i portalu wGospodarce.pl – namawiamy więc do obejrzenia i przeczytania rozmów z uczestnikami na obu portalach.

Z pewnością miłym i ważnym zaskoczeniem było pojawienie się na konferencji prezydenta RP, Andrzeja Dudy, który notabene co roku obejmuje spotkanie rynku kapitałowego patronatem. W konferencji, która odbyła się w dniach 1–4 marca, wzięli udział m.in.: Jacek Jastrzębski przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego, Artur Soboń, wiceminister finansów, Rafał Mikusiński, zastępca przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego, Katarzyna Szwarz, pełnomocnik ministra finansów ds. strategii rozwoju rynku kapitałowego, Paweł Borys, prezes zarządu Polskiego Funduszu Rozwoju.

Relacje i rozmowy z XXIII Konferencji Rynku Kapitałowego IDM znajdziesz na stronie www.wgospodarce.pl



Kluczowa rola koncernu multienergetycznego

Rynek kapitałowy staje się niezwykle ważnym elementem gospodarczej gry. Zwłaszcza – jak podkreślał prezes IDM Waldemar Markiewicz w swoim wystąpieniu – w czasie, gdy przed polską gospodarką stoją wielkie wyzwania. Zasadniczym problemem wciąż pozostaje niewystarczająca innowacyjność. Konieczne jest także zwiększenie produktywności i unowocześnienie gospodarki, a do tego potrzeba silnego rynku kapitałowego, bo to giełda finansuje innowacje.

– Polska gospodarka będzie miała ogromne potrzeby finansowe związane z transformacją energetyczną, zieloną polityką Unii, a także z cyfryzacją gospodarki – mówił Markiewicz. – Do tego dochodzą wyzwania – albo też szanse – związane z odbudową Ukrainy.

Kluczową rolę w tym procesie odegra multienergetyczny koncern narodowy, którym po ubiegłorocznej fuzji z LOTOS i PGNiG stała się Grupa ORLEN.

– Niezbędnym elementem wydaje się intensywne zaangażowanie PKN ORLEN w projekty inwestycyjne – tylko w ub.r. przeznaczyliśmy na nie 22 mld zł. Takie podejście pozwoli wybrnąć naszej gospodarce z kryzysu postcovidowego, a także poradzić sobie z tąpnięciami na rynku surowcowym czy kryzysem energetycznym – mówił w studiu TV wPolsce.pl na kongresie IDM Jan Szewczak, członek zarządu ds. finansowych w PKN ORLEN. – Niedawno podpisane umowy międzynarodowe, a także fuzja z LOTOS i PGNiG sprawiają, że mamy wreszcie gracza, który może zaważyć na konkurencyjnym rynku europejskim. Gracza, który jest już dostrzegany jako rosnąca siła w Europie Środkowo-Wschodniej.

UKRAINA MUSI WYGRAĆ

Jan Szewczak wystąpił w roli prelegenta w niezwykle ważnym, bo otwierającym kongres w Bukowinie panelu poświęconym udziałowi polskiego rynku kapitałowego i polskich

*Obecność PKN ORLEN
– największej pod względem
wartości rynkowej spółki na GPW
– na corocznej Konferencji Rynku
Kapitałowego w naturalny sposób
wzbudziła duże zainteresowanie
uczestników i zaproszonych gości.
Szczególnie że reprezentanci
kluczowego dla polskiej
gospodarki koncernu pojawili
się na XXXIII konferencji Izby
Domów Maklerskich w Bukowinie
Tatrzańskiej tuż po ogłoszeniu
bardzo dobrych wyników spółki
za ostatni kwartał ub.r.*

firm w pomocy Ukrainie zaatakowanej przez Rosję. Podczas debaty wiceprezes PKN ORLEN mówił, że to kolejne wyzwanie, któremu mogą jedynie sprostać najwięksi. Wśród nich poza polskimi bankami i dużymi spółkami giełdowymi jest właśnie koncern multienergetyczny.

– Skala wyzwań, także tych finansowych, która czeka nas i Ukrainę po wojnie, jest ogromna. Dziś wszyscy wierzymy Ukrainę, organizując pomoc humanitarną i dostarczając tę militarną. Jako ORLEN Lietuva przez rafinerię Możejki dostarczamy paliwa, oleje, smary silnikowe – to jest ok. 8–10 proc. dostaw – mówił Szewczak. – Pracujemy już nad budowaniem współpracy w dziedzinie sieci energetycznych na Ukrainie, choć dzisiaj przede wszystkim potrzeba tam nowoczesnego sprzętu, żeby wygrać tę wojnę.

Uczestnikami debaty moderowanej przez przewodniczącego KNF, prof. Jacka Jastrzębskiego, byli oprócz wiceprezesa Szewczaka m.in. wiceminister finansów Artur Soboń, Jarosław Fuchs – wiceprezes banku Pekao SA, i Paweł Nierada – wiceprezes Banku Gospodarstwa Krajowego. Wszyscy oni podkreślali, że możemy zaoferować Ukrainie know-how, pokazywać, w jaki sposób budować relacje z instytucjami, np. finansowymi. Polski rynek kapitałowy z perspektywy naszego wschodniego sąsiada jest modelem niemalże wzorcowym. Instytucje rynku kapitałowego mogą w ten sposób pomóc w odbudowie rynku ukraińskiego, a duże spółki giełdowe z Polski mogą wtedy konkurować z firmami z Europy, by pomoc Ukrainie stała się też elementem gospodarczej współpracy między Polską i odbudowywanym krajem. Z pewnością PKN ORLEN będzie miał potencjał, by w tej odbudowie wziąć udział.

– Odbudowa Ukrainy może stać się szansą dla polskich firm i całej gospodarki. Mamy duże doświadczenie w modernizowaniu infrastruktury, harmonizacji prawa czy też włączaniu firm i instytucji w unijne łańcuchy dostaw – mówił Artur Soboń,



2 marca, godz. 13:35 – 14:50

DEBATA GEOPOLITYCZNA:
SZANSE DLA POLSKIEGO RYNKU
KAPITAŁOWEGO I POLSKIEJ
GOSPODARKI W ODBUDOWIE UKRAINY.



Janusz Piechota
Minister Finansów



Paweł Biernacki
Przewodniczący Zarządu PKN Orlen



Piotr Uściłoch
Przewodniczący Zarządu PGE



Mirosław Szewczak
Przewodniczący Zarządu Orlen



Jan Szewczak
Przewodniczący Zarządu PKN Orlen



Andrzej Trybicki
Przewodniczący Zarządu PKN Orlen



Krzysztof Zych
Przewodniczący Zarządu PKN Orlen

wiceminister finansów. – Posiadamy kompetencje w wielu branżach i w tej współpracy gospodarczej możemy się uzupełniać. Szczególnie że polskie firmy znają też realia Ukrainy.

Z pewnością należy do nich PKN ORLEN, który jako największa polska firma może stać się prawdziwym kołem zamachowym świadczenia wsparcia dla wschodnich sąsiadów.

BEZPIECZEŃSTWO

Co oczywiste zatem, strategia budowy dużego, narodowego, multienergetycznego koncernu stała się szczególnie ważna po 24 lutego ub.r., po ataku Rosji na Ukrainę. W sytuacji, gdy za wschodnią granicą toczy się pełnoskalowa wojna, funkcjonowanie dużego koncernu z udziałami skarbu państwa jest istotnym elementem budowania bezpieczeństwa energetycznego i surowcowego.

– To jest kwestia nie tyle nawet stabilizacji rynku czy dostępności paliw w Polsce, ile kwestia bezpieczeństwa energetycznego całej gospodarki, całego państwa – mówił w Bukowinie Jan Szewczak. – Jesteśmy dzisiaj krytykowani za podpisanie kontraktu z Saudi Aramco, największą firmą petrochemiczną świata, na dostawę do Polski 20 mln ton ropy naftowej. Proszę sobie wyobrazić, że gdyby nie ten wyprzedzający ruch w postaci dopięcia negocjacji i podpisania umowy, dziś połowa Polski byłaby bez paliwa – mówił.

ZIELONE FINANSE

Skala koncernu, jakim staje się Grupa ORLEN, jest istotnym elementem także w innym toczącym się w tym samym czasie procesie – w transformacji energetycznej. Giełda i spółki oparte na akcjonariacie odpowiadają na wyzwania związane z transformacją niezwykle aktywnie. Wśród nich jest także PKN ORLEN, który był jedną z pierwszych spółek ogłaszających kilka lat temu zieloną strategię.

Na ten temat mówił w panelu „Zielone finanse: szanse i wyzwania rynku kapitałowego i jego uczestników” Michał Perlik, dyrektor wykonawczy ds. zarządzania finansami w PKN ORLEN, podkreślając, że w transformacyjnym wyścigu polska gospodarka, oparta przez lata na węglu i surowcach kopalnych, jest w innej sytuacji startowej niż gospodarka Holandii czy Norwegii.

– Z mojego doświadczenia wynika, że nie zawsze można liczyć na zrozumienie globalnych czy europejskich instytucji finansowych inwestujących w polskie spółki. Spotkaliśmy się z tym, emitując zielone obligacje. Jeśli w czasie rozmów okazywało się, że wciąż 75 proc. energii, którą sprzedajemy i kupujemy, pochodzi z węgla, to naprawdę ciężko było wytłumaczyć, że tak właśnie wygląda dziś nasz system energetyczny i żeby się transformować, potrzebujemy pieniędzy. Także pieniędzy inwestorów – mówił dyrektor Perlik.

Inwestorzy na rynku kapitałowym są jednak wciąż wyraźnie zainteresowani inwestowaniem w spółki, które podejmują inwestycje w transformację energetyczną, ograniczanie śladu węglowego i emisji CO₂ w całym procesie i łańcuchach dostaw. Jak podkreślali uczestnicy debaty na konferencji rynku kapitałowego, zielona transformacja spółek giełdowych to już nie jest moda, ale konieczność, wymóg stawiany przez inwestorów.

Konferencja Izby Domów Maklerskich co roku wyznacza i wskazuje tematy, zagadnienia, którymi rynek kapitałowy, a zatem uczestnicy polskiej gospodarki, będą zajmować się przez cały rok. Tym razem z pewnością debatę zdominowały wyzwania związane ze wsparciem Ukrainy, pokonaniem kryzysów surowcowego i inflacyjnego, a także – stanowiąca wyzwanie od lat – transformacja energetyczna. PKN ORLEN staje się na wszystkich tych polach kluczowym uczestnikiem i – co wybrzmiało na spotkaniach w Bukowinie – także liderem w wielu elementach polskiego miksu gospodarczego. ➤

(mac)

TSUE orzekł w sprawie polskich lasów

W czwartek 2 marca Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej rozstrzygnął skargę, którą przeciwko Polsce złożyła Komisja Europejska.

To pokłosie nowelizacji ustawy o lasach z 2016 r. Trybunał uznał, że organizacje ochrony przyrody powinny mieć prawo kwestionować przed sądem plany urządzenia lasu. Takie orzeczenie może doprowadzić do paraliżu gospodarki leśnej oraz przynieść negatywne skutki. To już kolejna próba zablokowania polskiego konkurencyjnego przemysłu drzewnego



Komisja Europejska zarzuciła Polsce naruszenie przepisów dyrektyw siedliskowej i ptasiej przez wprowadzenie do prawa krajowego przepisów, zgodnie z którymi „gospodarka leśna prowadzona w oparciu o dobrą praktykę nie narusza żadnych przepisów dotyczących ochrony przyrody na mocy ww. dyrektyw”. KE zarzuciła też Polsce brak możliwości zaskarżenia do sądu przez organizacje ochrony środowiska planów urządzenia lasu. Wszystko na wniosek trzech organizacji: Fundacji Frank Bold, Pracowni na rzecz Wszystkich Istot i WWF Polska.

Warto dodać, że powierzchnia lasów w Polsce wynosi obecnie ponad 9 mln ha. Tym samym Lasy Państwowe to największa w Unii Europejskiej organizacja zarządzająca lasami należącymi do skarbu państwa. Już Adam Loret, pierwszy dyrektor LP oraz wielki autorytet leśników, zwracał uwagę na to, że znaczenie gospodarstwa leśnego nie ogranicza się jedynie do strony ekonomicznej w życiu narodu, ponieważ „las posiada jeszcze wiele niezastąpionych dla kraju właściwości”.

BEZZASADNE ZARZUTY

Ze stanowiskiem Komisji Europejskiej nie zgadzają się jednak Lasy Państwowe, które odniosły się do wyroku w specjalnym oświadczeniu. „Pierwszy zarzut jest bezprzedmiotowy, bowiem przepisy, które wzbudziły wątpliwość ekologów, zostały uchylone rok temu, o czym Komisja Europejska była poinformowana, a obowiązujące obecnie prawo chroni przyrodę w stopniu nawet wykraczającym poza standardy unijne. Polskie prawo nie ogranicza również dostępu społeczeństwa do procedury tworzenia planów urządzenia lasu. Podczas obowiązkowych konsultacji społecznych jest uwzględnianych ponad 90 proc. uwag zgłaszanych przez lokalne społeczności, organizacje pozarządowe czy samorządy” – wskazują pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa Edward Siarka i Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Warto dodać, że przed sądami cywilnymi w całej Polsce toczą się również postępowania dotyczące planów urządzenia lasu, co oznacza, że dostęp do sądów jest zapewniony. „W obecnym stanie prawnym skarżący muszą wiarygodnie uzasadnić swoje pozwy, wskazując, jakie realne niebezpieczeństwo dla przyrody niesie z sobą realizacja przyjętego planu urządzenia lasu. Zmiana polskiego prawa zgodnie z wyrokiem TSUE oznaczałaby możliwość zaskarżania planów bez takiego uzasadnienia, co w praktyce doprowadziłoby do paraliżu gospodarki leśnej w całym kraju i w konsekwencji upadku polskiego przemysłu drzewnego” – dodają Lasy Państwowe.

GROŹNE KONSEKWENCJE

W wydanym 2 marca orzeczeniu Trybunał zbagatelizował polskie argumenty i stanął po stronie Komisji Europejskiej. To oznacza, że Polska powinna zmienić przepisy, w przeciwnym razie mogą na nią zostać nałożone kary finansowe. Tyle tylko, że dostosowanie prawa, zgodnie z oczekiwaniami TSUE mogłoby doprowadzić do katastrofalnych skutków gospodarczych. „Skarga Komisji Europejskiej, którą uwzględnił TSUE, jest kolejną próbą zablokowania polskiego konkurencyjnego przemysłu drzewnego, co może doprowadzić do jego upadku, a w efekcie do nagłego, skokowego wzrostu bezrobocia na terenach wiejskich i drastycznego wzrostu cen wyrobów dREW-

nianych. Gospodarka leśna zapewnia setki tysięcy miejsc pracy i dostarcza 3 proc. PKB, będąc jedną z najważniejszych gałęzi całej polskiej gospodarki” – przestrzegają Lasy Państwowe.

GŁOŚNY SPRZECIW

Orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE odbiło się w Polsce głośnym echem. „Niemcy prawie już nie mają lasów, u nas jest ich coraz więcej. Niemiec nie może skarżyć do sądu planu urządzenia lasu, u nas chcą pozwolić pieniaczom paraliżować nadleśnictwa. Komisja Europejska znowu próbuje zniszczyć polskie leśnictwo. Nie uda im się” – punktował rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski. „Nie pozwolę, by organizacje pozarządowe zablokowały gospodarkę leśną. Będę konsekwentnie bronił dostępu do drewna dla polskiego przemysłu” – napisał na Twitterze pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa Edward Siarka. Do orzeczenia odniosła się też była premier, a obecnie europoseł PiS, Beata Szydło. „Zagraniczne organizacje domagały się w Komisji Europejskiej wpływu na polskie lasy i TSUE właśnie przyznał im takie prawo. Warto podkreślić – tu nie chodzi o obronę przyrody. Tu chodzi o nadanie zagranicznym organizacjom prawa do blokowania polskich decyzji” – napisała na Twitterze.

KOLEJNY ATAK

Orzeczenie TSUE to kolejna odsłona sporu o polskie lasy, które są jednymi z najlepszych w całej Unii Europejskiej. Polski model trwale zrównoważonej gospodarki leśnej był dotychczas wzorem dla innych państw. Opiera się on bowiem na doświadczeniach kilku generacji polskich leśników i ich stuletnim doświadczeniu, a także czerpie z najnowszych osiągnięć nauki i wdraża nowoczesne technologie. Dzięki temu polski model zarządzania terenami leśnymi równoważy potrzebę ochrony dziedzictwa przyrodniczego z potrzebami gospodarczymi i społecznymi. Niestety, coraz bardziej to przeszkadza.

Przypomnijmy, że w Parlamencie Europejskim trwają prace nad zmianą w przepisach, która ma przenieść leśnictwo z tzw. kompetencji krajowych do tzw. kompetencji dzielonych. Taka zmiana byłaby sprzeczna z traktatem lizbońskim, ponieważ zgodnie z nim o leśnictwie decydują wyłącznie kraje członkowskie. „Propozycje Komisji Europejskiej rozwiązań prawnych, które mają być sposobem na walkę z ociepleniem klimatu, doprowadziłyby do całkowitego załamania polskiego przemysłu drzewnego, poważnego osłabienia całej polskiej gospodarki, skokowego wzrostu cen energii i w efekcie zubożenia społeczeństwa. Propozycja przekazania Unii Europejskiej kompetencji w obszarze leśnictwa jest kolejnym elementem nieakceptowalnych przez stronę polską zmian w unijnym prawie” – podkreśla minister Siarka i dyrektor Kubica. „Lasy są polskim dziedzictwem, które musi być przekazywane w co najmniej nie pogorszonym stanie kolejnym pokoleniom. Ministerstwo Klimatu i Środowiska oraz Lasy Państwowe są strażnikami polskiej natury i nie mogą podejmować decyzji, które będą stanowiły zagrożenie dla przyszłych pokoleń Polaków” – czytamy w oświadczeniu.



Lasy Państwowe

*Sezon wyścigów
rozkreca się na dobre*

Tam gdzie ryczą motory...



„Bądźcie wytrwali i walczcie o marzenia, bo... spełniają się” – mówił do kamery Polsatu Sport szczęśliwy Bartek Marszałek, który po raz pierwszy w swojej karierze wygrał wyścig Grand Prix w motorowodnej Formule 1 w Indonezji. Zawodnik Orlen Teamu był najszybszy w pierwszej tegorocznej eliminacji sezonu 2023, którą rozegrano 26 lutego na jeziorze powstałym w kalderze superwulkanu Toba

Ponad 100 tys. kibiców na trybunach ustawionych na nabrzeżu, pasjonujący wyścig i bolid z logo naszego Orlenu przecinający linię mety jako pierwszy, później polski zawodnik odbierający puchar z rąk prezydenta kraju. Możemy tylko żałować, że te cieszące polskie oczy i serca wydarzenia miały miejsce tyle tysięcy kilometrów od naszego kraju, a kolejna eliminacja sezonu motorowodnej F1H2O odbędzie się równie daleko, bo w Chinach. Nie umniejsza to jednak w żaden sposób osiągnięciu Bartłomieja Marszałka, który oczywiście objął prowadzenie w klasyfikacji łącznej sezonu 2023. Było to pierwsze zwycięstwo w tym najbardziej elitarnym cyklu syna legendarnego motorowodniaka i multimedalisty mistrzostw świata i Europy Waldemara Marszałka i trzecie podium



z rzędu. Wcześniej Bartek zajmował trzecie i drugie miejsce, więc zwycięstwo było zwieńczeniem tego postępu. Trzymajmy teraz kciuki za to, by nasz rodak utrzymał swoją dyspozycję, a być może będziemy cieszyć się z historycznego sukcesu na koniec sezonu.

SZYBCIEJ NIŻ BUGATTI

Same wyścigi motorowodnej Formuły 1 to skrajnie niebezpieczny sport ekstremalny. Najmniejsza fala czy podwodna przeszkoda może być przyczyną dramatycznego w skutkach wypadku. Łodzie, nazywane podobnie jak w lądowej Formule 1 bolidami, są napędzane silnikami o mocy 425 KM. Są to sześciocylindrowe motory w układzie „V”, dwusuwowe, które kręcą się do kilkunastu tysięcy obrotów na minutę. W czasie wyścigu jednostka spala średnio ok. 120 l paliwa na godzinę. Bolid bez sternika waży nieco ponad 500 kg. I teraz najlepsze: maszyna rozpędza się na wodzie do 240 km/h, a pierwszą setkę osiąga po... 2 s! Warto dodać, że najszybsze seryjne sportowe supersamochody, takie jak np. Bugatti Chiron potrzebują na rozpędzenie się od 0 do 100 km/h ok. 0,5 s więcej. Nietrudno sobie zatem wyobrazić, że czasem wystarczy zmarszczka na wodzie czy delikatny podmuch

Fot. kajetani.pl (2x), materiały prasowe

wiatru, by ślizgający się po powierzchni akwenu bolid stał się nie do opanowania. Same łodzie-bolidy to cuda techniki i każda jest budowana indywidualnie, by była jak najbardziej dopasowana dla konkretnego sternika, dlatego by utrzymać się w elicie, uczestnicy F1H2O nie mogą np. folgować sobie zbyt przy stole.

URLOP WE FRANCJI?

Tegoroczny sezon, w którym apetyty polskich kibiców tak bardzo rozbudził fenomenalny występ Bartka Marszałka w Indonezji, będzie miał latem swoje europejskie odsłony. Jeśli ktoś planuje np. urlop we Francji lub Włoszech, to w lipcu będzie tam okazja do zobaczenia na żywo Bartłomieja Marszałka w akcji. 1 i 2 lipca rzeka Saona na odcinku w mieście Mâcon stanie się areną zawodów Formuły 1. Dokładna lokalizacja zmagania we Włoszech nie jest jeszcze znana. Wiadomo za to, że sezon zakończą wyścigi w Azji, a wielki finał nastąpi 17 grudnia w Szardży w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Jeśli ktoś miałby wątpliwości, czy warto zainteresować się tą dyscypliną sportu motorowego, polecamy odnaleźć i obejrzeć relacje filmowe z zawodów F1H2O, by przekonać się na własne oczy, jak widowiskowe i emocjonujące są to zawody.

W DNA PKN Orlen, multienergetycznego koncernu, jest wpisane wspieranie sportu motorowego, a mając w Polsce takiego asa jak Marszałek współpraca z nim narzuca się niejako sama. Teraz dzięki znakomitym rezultatom osiąganym przez Bartka, na oczach setek tysięcy kibiców i przed najważniejszymi osobistościami, które gromadzą te zawody w krajach azjatyckich, logo Orlenu staje się rozpoznawalne w kolejnych częściach świata i co istotne – jest kojarzone z sukcesami i ze zwycięstwami. Orlen ma najlepszego z możliwych ambasadora w elicie sportów motorowodnych, a Marszałek ma zapewnione stabilne i bezpieczne wsparcie sponsorskie, bez którego nie ma mowy o sukcesie w żadnych ze sportów wymagających nakładów na sprzęt.

KAJTO GRZEJE SILNIK

W oczekiwaniu na kolejne starty Bartka Marszałka żądni mocnych wrażeń polscy kibice odliczają dni do rozpoczynającego

się 16 marca Rajdu Meksyku. W imprezie, która powraca do kalendarza rajdowych mistrzostw świata po dwuletniej przerwie, wystartuje załoga Orlen Rally Team – Kajetan Kajetanowicz z pilotem Maciejem Szczepaniakiem. Polacy pojadą po raz pierwszy w tym sezonie i będą się ścigać w kategorii WRC-2.

Jak czytamy na stronie najlepszego polskiego kierowcy rajdowego kajto.pl – w ramach przygotowań do rajdu Kajetanowicz odbył w Portugalii pierwsze testy, podczas których trenował dwoma modelami rajdowej Skody. Szutrowe trasy Polak pokonywał Skodą Fabią Rally2 evo, którą startował w ubiegłym sezonie, a także jej nowszą generacją, RS Rally2. Nie wiadomo jeszcze, na które auto zdecyduje się nasz kierowca.

– Cieszę się, że wracamy do naszego rajdowego trybu. Zakończyliśmy właśnie bardzo ważne testy, podczas których

Rajd Meksyku będzie składał się z 23 odcinków specjalnych o łącznej długości 320 km. Zakończenie imprezy przewidziano na 19 marca. W czasie gdy kierowcy rajdówek będą rywalizowali w Meksyku, wystartuje wyjątkowo wycekiwany w tym roku przez fanów Roberta Kubicy sezon WEC, czyli World Endurance Championship. 17 marca na torze w Sebring na Florydzie odbędą się pierwsze wyścigi cyklu, podczas których w klasie prototypów LMP2 zobaczymy właśnie naszego najsłynniejszego kierowcę.

W momencie, gdy oddawaliśmy do druku ten numer tygodnika „Sieci” do Rajdu Fafe w Portugalii, będącym eliminacją mistrzostw Europy, szykowało się inna polska załoga Orlen Teamu – Mikołaj Marczyk z pilotem Szymonem Gospodarczykiem. Zaplanowana na 10–12 marca impreza była przetarciem dla polskiego duetu przed występami w klasie WRC2,



porównywaliśmy nową generację Skody z poprzednią, dobrze nam znaną. Nowe auto zrobiło na mnie pozytywne wrażenie, ma duży potencjał. W mojej ocenie jest nieco mocniejsze. Jednak stary samochód znam bardzo dobrze, jeśli chodzi o ustawienia, mamy dla niego pakiety set-upów na każde warunki. Analizujemy z inżynierami dane, które zebraliśmy podczas testów i na tej podstawie podejmiemy decyzję, czym wystartujemy w danym rajdzie tego sezonu. Będzie mi nieco trudniej zdecydować niż np. kierowcom fabrycznym, którzy mają za sobą mnóstwo kilometrów przejechanych już już są po dwóch rundach. Przed nami Rajd Meksyku, jesteśmy gotowi. Trzymajcie za nas kciuki – mówi Kajetan Kajetanowicz.

a w 2023 r. Marczyk i Gospodarczyk chcą wystartować w rajdach Portugalii, Sardynii, Estonii i Finlandii. Nie wykluczają także, że ich rajdówkę, którą jest najnowszy model Skody Fabii RS Rally2, zobaczymy też na innych trasach. My możemy być pewni, że wszędzie tam, gdzie słychać ryk silników, a prędkość podnosi kibicom poziom adrenaliny, czy to na wodzie, czy to na lądzie, zobaczymy maszyny z logo Orlenu.

PARTNER DODATKU



JÓZEF RACINEWSKI*

Pod nieczynnym wulkanem



Boguszów-Gorce



Zamek Książ

Jestem rodowitym gdańszczaninem, ale całe życie spędziłem na Dolnym Śląsku. Kiedy miałem rok, umarł mi tata i mama przeniosła się do rodziny w Wałbrzychu. Jestem związany z tym miastem od 1954 r., chociaż w ostatnim czasie wyprowadziłem się do leżącego nieopodal Boguszuwa-Gorców, gdzie znajduje się najwyższy położony rynek w Polsce.

Kocham morze. Znam całe Wybrzeże, ale najmniej Gdańsk. Bardzo bliskie jest mi Świnoujście. Mieszkał tam mój brat i przez całe młodościowe czasy spędzałem u niego lato. Miałem tam też sporo rodziny. Do Międzywrodzia jeździło się z najbliższymi. Było jeszcze Darłowo, Darłówko, to wszystko w czasie wakacji. Potem wracałem na Dolny Śląsk.

Miałem ciekawe życie. Pracowałem w wałbrzyskiej kopalni Wiktoria – 900 m pod ziemią. Zaczynałem od łopaty, a zakończyłem jako kierownik oddziału. Na czapce miałem pióra białe, a także czerwone, bo

przez 15 lat grałem w orkiestrze górniczej. Zjeździłem z tą orkiestrą całą Polskę.

Potem szybko zamknięto nam cztery kopalnie. Wałbrzych był jednym z najprężniej rozwijających się miast w Polsce, a także jednym z najbardziej zanieczyszczonych, tego nie da się ukryć. Po zlikwidowaniu tych kopalni tysiące ludzi poszło na bruk. Teraz powietrze bardzo się u nas zmieniło i w tej chwili mamy jedno z najczystszych w Polsce.

Mieszkam w fantastycznym rejonie, gdzie zimową porą do wyciągu narciarskiego mam raptem kilka kilometrów, więc mogę iść pieszo. Latem też można tu podziwiać piękne wzniesienia. Nawet w samym Wałbrzychu jest góra Chełmiec – to nieczynny wulkan. Na szczyt prowadzi szlak m.in. z Boguszuwa-Gorców. Z Wałbrzycha bardzo blisko jest do Kudowy-Zdroju, Karpacza. W zasięgu jest Polanica-Zdrój i Duszniki-Zdrój.

W samym Wałbrzychu polecam najpiękniejszy w Polsce zamek Książ i palmiarnię. Tę ostatnią zwłaszcza, kiedy na zewnątrz szaro i buro, a tu wchodzimy w zielony przepych – egzotyczne, tropikalne rośliny. Jeśli ktoś jest choć trochę romantykiem i potrafi się w to wczuć, to czekają go niezapomniane chwile.

Mamy też najpiękniejszą i najlepszą stadninę koni w Polsce, gdzie odbywają się zawody międzynarodowe w powożeniu, w skokach. Ta stadnina mieści się przy zamku Książ.

Przez jakiś czas mieszkalem na Teneryfie. Trafiłem tam po zamknięciu kopalni. W 1992 r. kolega zaproponował mi, żeby wyjechać, i tak mi zeszło pięć lat. Rozwoziłem ludzi, którzy pracowali na budowach, i tak poznałem całą wyspę, nauczyłem się hiszpańskiego. Ściągnąłem zięcia, który ze mną pracował. Potem córka mnie ściągnęła do Holandii i tam byłem kolejnych pięć lat – w Amsterdamie.

Zanim wyjechałem za granicę, w Boguszuwie-Gorcach prowadziłem sklep ogrodniczy. Ponieważ nie chciało mi się jeździć codziennie do Wałbrzycha, kupiłem mieszczące się niedaleko sklepu mieszkanie. Przed wyjazdem do Amsterdamu zlikwidowałem sklep, ale mieszkanie zostało. Po powrocie je wyremontowałem. Jest cudowne. Jeszcze niewiele znam tu ludzi, ale z czasem się to zmieni i będzie jak w Wałbrzychu, gdzie mnie rozpoznają, bo tyle lat szkoliłem tam kierowców i miałem sklepy w samym centrum.

Mógłbym znów pojechać do Amsterdamu i na Teneryfę, ale turystycznie. Polska też ma wiele pięknych miejscowości. Jestem miłośnikiem przyrody. Jak tylko robi się ciepło, doczepiam do samochodu przyczepę kempingową i jadę na kilka dni, na tydzień nad wodę. Wracam, pobędę trochę w domu i znów gdzieś jadę. Cudownie jest być na łonie natury.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadzworna**

*Król piątego turnusu programu „Sanatorium miłości”

SŁODKO-SŁONY

Śniadanie, obiad i kolacja w jednym



ANNA MONICKA

Omlet – chyba pierwsze poza jajecznicą danie, które nauczyłam się robić w dzieciństwie. Często chorowałam, więc siedziałam w domu z książkami i gramofonem Mister Hit. Gdy już miałam dosyć czytania i słuchania płyt, brałam się za kulinarne eksperymenty, mimo że mama zawsze zostawiała mi coś smacznego, a po powrocie gotowała obiad. Pole do popisu miałam niewielkie, ale jajka, masło, mleko i mąka zawsze były w domu, więc pichciłam zapamiętane, a jeśli nawet coś sknociłam, i tak mi smakowało, a i moi wierni kibice – pies i kot – byli zadowoleni.

To wtedy się nauczyłam, że omlet – chociaż tradycja przyrządzania tego placka sięga starożytnego Rzymu – jest daniem, które udoskonalano przez wieki w wielu krajach. Głównie we Francji, w Hiszpanii i Włoszech, chociaż japoński wariant też jest wart grzechu. Wystarczyło dodać do jajek lososia albo anchois, kurczaka, ziemniaki, pomidory, najróżniejsze sery, ubić z białka pianę, wlać jajko czy wrzucić ser – za każdym razem był inny. Płaski jak naleśnik, puchaty niczym chmurka, wysoki jak sernik, czasem na słodko, innym razem na słono – ale zawsze zachwycający w smaku, pod warunkiem że się za bardzo nie przypiekl. W końcu tortilla, frittata to także omlety, tylko z nadzieniem.

Ostatnio przypominałam sobie, ile to danie ma wariacji w czasie spotkania ze znajomymi, gdy koleżanka podała omlet po grecku. Przypominał nieco francuski quiche, a nie tradycyjną strappaciatę, tyle tylko, że zamiast parmezanu miał w środku duże ilości fety, czarnych oliwek, pomidorów i młodego szpinaku. Był zapiekany w formie, a nie smażony na patelni, więc zdecydowanie mniej tłusty. I mógł z powodzeniem być daniem obiadowym, a nie tylko śniadaniowym.

Robi się go bardzo prosto – najpierw na patelni trzeba podsmażyć na maśle szpinak, potem dorzucić oliwki i pomidorki koktajlowe, lekko podsmażyć i przełożyć do żaroodpornego naczynia. Dodać kostki dobrej owczej lub owczo-krowiej fety, wymieszać i zalać wszystkim masą z jogurtu porządnie rozbełtanego z jajkami – 5 sztuk na 0,5 litra. Trzeba jeszcze posolić, popieprzyć i zapiec przez mniej więcej 30 min, maks. 40 min. Podajemy, gdy trochę odpocznie, solidnie posypyany dymką. Na zimno też smakuje doskonale. 

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Systemy rolno-leśne



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Systemy rolno-leśne są bardzo interesującym i wartym uwagi sposobem na gospodarkę ekstensywną, przyjazną przyrodzie i środowisku, a jednocześnie dzięki harmonijnemu połączeniu sił natury i działalności ludzkiej przynoszącą istotne korzyści.

Do dziś w bogatej Bawarii istnieją lasy odroślowe. Wciąż też są użytkowane w tradycyjny sposób. Głównymi gatunkami lasotwórczymi są dęby i buki. Odnawia się je przez umożliwienie odbijania pędów z pni pozostałych po ścinie. Nie jest to działanie sprzyjające powstaniu drzewostanów wysokiej jakości: las jest niski, krzaczasty i lukowaty. Jednocześnie jednak lasy takie są pastwiskami dla krów i świń, które mogą w takich naturalnych warunkach (co na pewno podnosi komfort życia zwierząt, mogących po prostu pobiegać po lesie) żywić się różnymi roślinami, żołądziami i bukwia. Przeświecone lasy bywają również siedliskiem sprzyjającym rozwojowi rzadkich gatunków roślin, np. rozmaitych storczyków.

Na podobnej zasadzie opierają się tradycyjne systemy: portugalski nazywany montado i hiszpański dehesa. Montado i dehesa wyglądem przypominają sawannę – rzadko rozmieszczone drzewa o rozłożystych, parasolowatych koronach, między którymi rozpościerają się rozległe przestrzenie trawiaste, zielone wczesną wiosną, przez pozostałą część roku wypalone.

W Portugalii gatunkiem tworzącym taki system jest dąb korkowy (dzięki czemu połowa światowego korka pochodzi z Portugalii), a w Hiszpanii dąb ostrolistny. Oba są dostosowane do tamtejszych suszy i upałów, potrafią też przetrwać trafiające się mrozy. Trawiaste obszary między dębami pełnią funkcje pastwisk, często dla mało wymagających i niewybrednych owiec, z kolei dęby dają cień zwierzętom i żywią żołądziami tamtejsze czarne świnię.

Każdy z tych systemów przez wieki stał się jednocześnie cennym ekosystemem, domem wielu rzadkich gatunków, jak chociażby rysi iberyjskich i iberyjskich orłów.

Możliwość kombinacji, jakie daje nam przyroda, jest bardzo duża: w polskich warunkach można myśleć np. o uprawie orzechodajnych leszczyn, a pod nimi trufli.

Oczywiście nie można zamieniać naszych lasów na systemy rolno-leśne, może to być jednak kierunek wart uwagi w przypadku ugorów i zmiany użytkowania niektórych terenów rolnych. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Dziennikarska żenada

Cechą mediów opozycyjnych zaangażowanych w zwalczanie Zjednoczonej Prawicy i oczywiście rządu jest prezentowanie polskich spraw wyłącznie w czarnych kolorach. Nie miejsce tu na liczne tytuły gazet, portali internetowych, stacji radiowych i telewizyjnych. Ich dominacja nad mediami patriotycznymi to smutna spuścizna PRL i tzw. transformacji systemu w III RP. Genetyczna i ideowa progenitura dawnych pseudoelit nie może ani nie chce być dumna z polskich osiągnięć, bo u władzy znajduje się formacja, z którą nie mieli ani nie chcą mieć nic wspólnego. Wsparcie opozycji ze strony unijnych instytucji wzmacnia tę chorą alienację o silne przekonanie o rychłym sukcesie w wyborach do parlamentu. Szefowa KE Ursula von der Leyen namaściła już Donalda Tuska na nowego premiera, a zapowiedź odmrożenia środków z KPO po wygranej PO zakomunikował ponad rok temu Rafał Trzaskowski.

Wrogie nastawienie do obozu władzy można już odnaleźć w tytułach publikacji, które narzuca zwykłym redaktorom kierownictwo redakcji, czyli wyższa kasta dziennikarska. Często powstaje komiczny efekt, gdyż mrozący krew w żyłach tytuł nijak ma się do treści artykułu czy raczej artykułiku. W tej manipulacji wyróżnia się m.in. portal Wirtualna Polska (WP). Tytuł: „Niepokojące dane o Polsce, tego Polacy władzy już nie wybaczą”. Szukamy w treści artykułu, czego to Polacy nie wybaczą i nic, ale za to w konkluzji artykułu czytamy: „[...] choć inflacja ogólnie będzie się obniżać zapewne od I kwartału 2023 r.”. Inny tytuł na WP: „Polacy muszą się szykować na inflacyjny cios. Będzie trudno”. Na zdjęciu prezes NBP prof. Adam Glapiński, co już samo w sobie ma podnosić ciśnienie. A w artykule taka opinia: „Choć czynnikiem niepewności wciąż pozostaje dalsza ścieżka inflacji bazowej, to analityk Erste prognozuje, że w całym 2023 r. inflacja w strefie euro obniży się o 5,6 proc.”. W konkluzji zaś czytamy: „Polska pod względem inflacji w najbliższym czasie niebezpiecznie odjedzie Europie”. Odjedzie oczywiście tak daleko, że „będzie trudno”. Ponownie WP i tytuł: „PiS znalazł nowego wroga, ogłasza walkę cywilizacji”. Chodzi o krytyczny stosunek władzy do raportu C40 Cities podpisanego przez stowarzyszenia 100 miast, w tym prezydenta Warszawy, w sprawie ograniczenia spożycia mięsa, nabiału, zakupu ubrań i podróży lotniczych. W artykule przedstawiciele branży mlecznej i tekstylnej zapewniają, że nie ma żadnych zagrożeń. Pozostaje za-

tem tytuł o wojnie cywilizacji, którą wywołało PiS. WP ciąg dalszy, tytuł: „Skutki będą straszne, nauczycielka komentuje nowy pomysł Czarnka”. Zgodnie z projektem ministerstwa uczniowie mają przechodzić coroczne testy sprawnościowe, np. w skoku w dal czy w biegu wytrzymałościowym. Nauczycielka z poznańskiego liceum zaciekle tępi pomysł Przemysława Czarnka. To, czego jej najbardziej w szkole brakuje, to nowych sanitariatów. „Nie widzi pani nic dobrego w pomysle MEiN?” – pyta dziennikarka. „Absolutnie nie” – odpowiada. W obszernym artykule nie znalazła się wypowiedź żadnego innego pedagoga. Jednym słowem pomysł Czarnka wywoła straszne skutki, choć w pomysle tym chodzi wyłącznie o to, by polska młodzież była bardziej sprawna fizycznie.

Osobną, przebogatą historię walki mediów z PiS stanowią ataki na Jarosława Kaczyńskiego. Od lat zainteresowaniem tych mediów cieszy się najbliższy sklep spożywczy na Żoliborzu, w pobliżu domu prezesa Kaczyńskiego, uparcie nazywanego willą, choć jest to typowy, niczym się niewyróżniający piętrowy dom z płaskim dachem, jakich w Polsce tysiące. Artykuły o sklepie i zakupach szefa PiS: „Tajemnicza torba Kaczyńskiego”, „Pamiątkne zakupy Kaczyńskiego”, „Koszyk Kaczyńskiego”, „Ile kosztuje cukier pod domem Kaczyńskiego”, „Kaczyński na zakupach”, „Drożyna u Kaczyńskiego” itd., itp., to prawie osobny gatunek dziennikarskiej sklepowej twórczości z repertuaru granego konsekwentnie od 30 lat. Jego przesłaniem jest drożyna i inflacja, za którą odpowiada obecna władza, a szczególnie Jarosław Kaczyński.

Jest to też dla redakcji doskonała okazja udostępnienia miejsca dla komentarzy czytelników. Promowane są wyłącznie te wypowiedzi, które wskazują na nieprzystosowanie do życia prezesa PiS oraz jego destrukcyjną rolę w polityce państwa. Jest to miejsce do zohydżania Jarosława Kaczyńskiego i jego formacji politycznej.

Ostatni reportaż w WP zatytułowano „To nie żart. Tyle kosztuje masło pod domem Kaczyńskiego”. Jak pisze portal, w sklepie spożywczym obok domu Kaczyńskiego są ceny, „na których widok dosłownie można złapać się za głowę”. Dowiadujemy się, że bułka kajzerka kosztuje 0,79 zł, masło 11,19 zł, litr mleka 5,39 zł, chleb 5,99 zł, a czerwona papryka z Turcji aż 29,99 zł. Już widzę Jarosława Kaczyńskiego kupującego sobie czerwoną paprykę na kolację.

To nie żart. Tak wygląda dziś dziennikarstwo prasy opozycyjnej. Żenada to nad wyraz łagodne określenie.

www.wojciechreszczyński.pl



Cud mieszkaniowy

W cieniu niedawnej pandemii i skutków lockdownu, w cieniu wojny na Ukrainie i kłótni polityków nieomal o wszystko istnieje i rozwija się potężne zagrożenie, którym na poważnie, konsekwentnie i skutecznie nikt się nie zajmuje. Prawie każdy zdaje sobie z niego sprawę, ale jego przewlekłość bodaj powoduje, że jest spychane na dalszy plan, wypychane poza horyzont tego, co głośnie i bieżące. Chodzi mi o demografię, a ściślej o polski kryzys demograficzny, o malejący do rozmiarów alarmowych przyrost naturalny i ubywanie Polaków. Jest nas coraz mniej, a będzie naprawdę niewiele, jeśli rząd nie weźmie się ostro za bary z tym cichym likwidatorem narodu. I to nie kiedyś tam, lecz już i natychmiast, bo każdy dzień to kolejne straty demograficzne.

Przed wszystkim trzeba raz i na zawsze rozwiązać ciągnący się jeszcze z głębokiego real socjalizmu problem mieszkaniowy. Nie będzie rodzin i nie będzie dzieci, jeśli nie będzie mieszkań. Sama promocja rodziny nie wystarczy. Trzeba promować dom rodzinny, a zatem zarówno rodzinę, jak i przestrzeń, którą wypełnią miłością, troskliwością i szczęściem. Nawet najbardziej zgodna, przyzwoita i bogobojna rodzina nie zazna szczęścia, jeśli nie będzie mogła być na swoim.

Program Mieszkanie+ idzie opieszale i staje się obiektem żartów nie tylko po stronie opozycyjnej. Rozmachu w tej materii nie widać, spektakularnych, masowych zasiedleń domów też nie. Sytuacja mieszkaniowa w Polsce jak była, tak jest beznadziejna. I nic nie zapowiada wyrazistszych zmian.

Ceny mieszkań osiągają tak niebotyczne kwoty, że jednym z ubocznych skutków takiego stanu rzeczy jest apatia i frustracja młodych ludzi.

Karta Dużej Rodziny to korzyści raczej symboliczne i trudno je uznać za szczególnie skuteczny bodziec rozwoju dzietności. Program 500+ też nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Pieniądze wydane, dzieci nie przybyło. Powszechne staje się posiadanie jednego dziecka, a to daje reprodukcję wsteczną, bo dwoje ludzi dostarcza społeczeństwu jednego osobnika. Reprodukacja prosta, czyli podtrzymująca stan liczebny, to 2+2, to pewnie mi-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Kwestia demograficzna
jest tak paląca,
że nic nie może nam
stać na przeszkodzie,
nawet czart*

nimum trwania. Żeby myśleć chociażby o reprodukcji prostej, trzeba już teraz, od razu przystąpić do realizacji „cudu mieszkaniowego”, który zadziwi Europę. Należy jednak odwrócić istniejące mechanizmy. To znaczy uczynić tak, by korzyść była nagrodą za to, co się zrobiło, a nie zachętą, by coś zrobić.

Po pierwsze, głównym deweloperem na rynku mieszkaniowym musi stać się państwo. Należy uruchomić budowę 1 mln przyzwoitych, zbudowanych w dobrych technologiach i błyskawicznie mieszkań. Jeśli u nas nie znajdują się tacy wykonawcy, to trzeba ich ściągnąć z Azji albo Afryki, albo wyciągnąć ich spod ziemi! Kwestia demograficzna jest tak paląca, że nic nie może nam stać na przeszkodzie, nawet czart.

Po drugie, dla rodzin z dwojgiem i więcej dzieci te mieszkania powinny być w cenie znacznie niższej od ceny produkcji przy górnym pulapie, np. 100 tys. zł. Jeśli rzeczywiście chcemy zainwestować w młodość, to jak przy każdej inwestycji musimy ponieść koszty.

Po trzecie, „cudem mieszkaniowym” należy objąć w pierwszym rządzie najmłodsze rodziny z najmłodszymi dziećmi. Dla nich

mieszkanie powinno być niemal od ręki. Naturalnie im liczniejsza rodzina, tym cena mieszkania musiałaby spadać. Przy czworgu dzieci mieszkanie byłoby za darmo. Wychowywanie gromadki dzieci to już poważny wkład w życie narodu i państwa.

Oczywiście już słyszę głosy krytyków, sceptyków i pesymistów, że to się nie uda, „pieniędzy nie ma i nie będzie”, że to niesprawiedliwe, by wyróżniać tylko jakąś grupę, że mieszkanie jest prawem każdego itd. itp. Takich „niemożnowców” trzeba wygonić za drzwi i głowy sobie nimi nie zawracać. To szkodniki, a często i lenie, uczepione mniej lub bardziej intratnych stołków. Precz!

Co zatem należy zrobić? Ależ to proste, trzeba znaleźć kogoś, kto „cud mieszkaniowy” dopracuje, wymyśli, co trzeba, i wdroży w życie. Im szybciej, tym lepiej. Polska to prawdziwa skarbnica talentów, także ekonomicznych. Agdy sytuacja jest tak paląca jak nasza demografia, to trzeba sięgać po wszelkie możliwe rezerwy. Cud czeka, a zatem do roboty.



JAN POSPIESZAŃSKI

Bez debaty publicznej po cichu jest forsowany program odchodzenia od gotówki. Forsowany – bo oprócz propagandy, zwanej promocją upowszechniania obrotu bezgotówkowego (w czym celuje Fundacja Polska Bezgotówkowa), wymusza się płatności kartą. Drastycznym przykładem jest stopniowe ograniczanie w bankomatach wysokości kwoty wypłacanej za jednym razem. Doświadczyłem tego, gdy chciałem wypłacić z bankomatu 9 tys. zł. Okazało się, że bankomat może mi wydać jednorazowo najwyżej 800 zł. Sterczałem pół godziny na ulicy w padającym śniegu, ponawiając operację, zgrabiającymi palcami wstukując PIN, zmieniając telefonem w ustawieniach konta limity transakcji, wkładając i wyjmując kartę, oglądając za każdym razem reklamę. Gdy zakładałem konto, nikt mnie nie informował, że moje pieniądze będą w ten sposób dawkowane.

Ale obok tego idą działania państwa, czyli projekty ustawowe. Owszem, walka z przestępczością, z praniem brudnych pieniędzy potrzebuje narzędzi, ale pomysł nałożenia na konsumenta obowiązku płatności za pośrednictwem rachunku, jeżeli wartość transakcji z przedsiębiorcą przekracza 20 tys. zł, jest jawnym ograniczeniem wolności. Taki właśnie limit proponował projekt zmiany

ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych z 26 lipca 2021 r. Na szczęście, po negatywnej opinii prezesa Narodowego Banku Polskiego, sprawa została wstrzymana, ale nie wiemy, na jak długo.

Prof. Glapiński swój sprzeciw argumentował nie tylko względami praktycznymi, wskazując badania, z których wynika, że spora grupa obywateli nie korzysta z rachunków bankowych. Odwołał się również do kwestii wartości. Chodzi o naruszenie wolności obywatelskich i prawa do anonimowości. W projekcie zmian znalazło się zaledwie jedno zdanie uzasadnienia: „popularyzacja obrotu bezgotówkowego”. Zważywszy na poważne ograniczenie obywatelskich praw i wolności, uzasadnienie to brzmi jak żart. W liście do ministra finansów prezes NBP zauważa, że projekt nakłada na konsumentów ograniczenia w celu monitorowania przedsiębiorców bez analizy wpływu tego ograniczenia na sferę wolności i praw konsumentów.

Projektowany limit ma pomóc urzędnikom skarbowym w kontrolowaniu przedsiębiorców, jednak przy tej okazji będą gromadzone dane o konsumentach. Jest to w jawnym konflikcie z przepisami artykułów: 31 ust. 3, 51 ust. 2, 47 i 76 Konstytucji RP. Ograniczenia mogą być nakładane na obywateli wyłącznie w sytuacjach niezbędnych w demokratycznym państwie prawa do zapewnienia bezpieczeństwa państwa, porządku publicznego bądź do ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej albo wolności innych osób. Prezes NBP oprotestował w tym liście również po-

mysł zmniejszenie limitu płatności gotówkowych w obrocie między firmami – z 15 do 8 tys. zł.

Proces zmian ma tylko jeden wektor – eliminacja gotówki. Kiedy to nastąpi, zależy tylko od nas. Pewnie każdy jest w stanie wymienić wiele oczywistych zalet płatności kartą i są to oczywiste udogodnienia. Pandemia, a ściślej polityka walki z pandemią, przyspieszyła drastycznie proces odchodzenia od gotówki. Nie tylko przez podsycany medialnie lęk przed wirusami, które gnieżdżą się szczególnie na banknotach (!), ale przede wszystkim przez lockdown i gwałtowny wzrost e-zakupów. Wprowadzenie z dnia na dzień ograniczeń pandemicznych pozwoliło nam dostrzec, jak łatwo możemy stracić wolność, stąd groźba inwigilacji i gromadzenie naszych danych przez banki powinny być poważnym ostrzeżeniem.

Ale nie tylko nasza wolność i anonimowość są zagrożone. Konsekwencją odejścia od gotówki może być paraliż obrotu finansowego wskutek ataku na infrastrukturę krytyczną. Od roku chyba nikogo nie trzeba przekonywać o realności takiego zagrożenia. Ponadto, podobnie jak w dyskusji za i przeciw euro, istotnym argumentem jest argument tożsamościowy. Złotówka – nominały i banknoty – są bowiem tekstami narodowej kultury. Każdorazowe wzięcie monety do ręki to kontakt z polskim z orłem w koronie. Z banknotów parzą na nas bohaterowie naszej historii. To tylko kilka z licznych, niemieszczących się w krótkim felietonie argumentów, byśmy stanęli w obronie gotówki. Jak to zrobić? To pewnie temat na kolejny tekst. 

Brońmy płatności gotówkowych

Sterczałem pół godziny na ulicy w padającym śniegu, ponawiając operację, zgrabiającymi palcami wstukując PIN

Odezwa walczącej młodzieży



**Jerzy
Jachowicz**

Zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny” („PP”), wydawany przez specjalistów molekularnej fizyki kwantowej, dzięki jednemu z satelitów umieszczonych nad Warszawą zarejestrował przebieg spotkania Koła Wytrwałych Demokratów na Uniwersytecie Warszawskim. Tą drogą nasi koledzy z „PP” zdobyli również uchwalony projekt odezwy do odbycia manifestacji na dziedzińcu uczelni w obronie prześladowanego przez organa państwa geja z Poznania. Prokuratura mimo uniewinnienia go przez sąd podejmuje nadzwyczajne kroki prawne, które mają na celu ukaranie tego młodego człowieka. Godny podkreślenia jest fakt, iż treść odezwy podjęto jednomyślnie po wcześniejszym wykluczeniu z KWD dwóch jego protestujących członków, uznanych w tajnym głosowaniu za kryptozwolenników autorytarnego prawniczego reżimu.

Oto ta odezwa:

„Niezwykle wrażliwy, o delikatnej konstrukcji psychicznej nasz rówieśnik, występujący pod artystycznym pseudonimem drag queen Mariolka Rebell, kilka lat temu w nocnym klubie w Poznaniu zainscenizował zabawny pokaz, w którym drwił sobie z abp. Marka Jędraszewskiego, znanego z nie-

chęci do środowiska LGTB+. Wedle prokuratury poznański twórca Rebell na dmuchanej lalce z przyklejoną podobizną krakowskiego duchownego imitował poderżnięcie mu gardła. Tym samym nawoływał do przestępstwa i nienawiści na tle wyznaniowym.

Naszym obowiązkiem jest przeciwstawienie się brutalnej ingerencji państwa w życie duchowe polskiego społeczeństwa, a przede wszystkim młodego pokolenia. Prokuratura przedstawia zafałszowany lub co najmniej przejawiskawiony obraz rzeczywistych intencji niesłusznie nękanego artysty. W skonstruowanej przez siebie teatralizacji przez dopuszczalną w sztuce drastyczność autor chciał wstrząsnąć sumieniem cenzorów hamujących swobodę obyczajów, które powinny zawsze nadążać za dynamicznym rozwojem różnorodnych potrzeb nowoczesnego człowieka.

W nawiązaniu do przeszłych tradycji walki o wolność i demokrację młodzieży akademickiej liczymy na masowy udział w proteście całej społeczności uniwersyteckiej, a także innych uczelni” – zachęca odezwa.



Rosjanka na urodzinach Chopina

Recital Julianny Awdiejewej w Filharmonii Narodowej uświetnił 213. rocznicę urodzin Fryderyka Chopina. Zwycięzczyni XVI Konkursu Chopinowskiego zagrała nie tylko utwory genialnego polskiego romantyka, lecz także Ferencę Lisztą, Mieczysława Wajnera, a na bis – m.in. bagatelę nr 2 ukraińskiego kompozytora Walentyna Sylwestrowa.

Akcent ukraiński nie był zaskoczeniem. Ta akurat rosyjska pianistka, od lat mieszkająca w Niemczech, z poparciem dla kraju napadniętego przez jej rodaków na rozkaz Putina nie miała problemu od początku agresji. Ale bywa różnie. Za granicą znani rosyjscy artyści ostentacyjnie stojący za barbarzyńską Rosją są na cenzurowanym. Nie wszędzie konsekwentnie, ale jednak. Z życia muzycznego na Zachodzie wyeliminowany został np. dyrygent Walerij Giergijew, dyrektor Teatru Maryjskiego w Petersburgu, na podobnym zakręcie znalazł się inny pieśczęt Kremla – operowy bas Ildar Abdrazakow. Ceniona sopranistka Anna Netrebko długo zwlekała ze zdystansowaniem się od polityki Moskwy, więc straciła angaż w nowojorskiej Metro-



**Adam
Ciesielski**

213. rocznica urodzin
Fryderyka Chopina,
Recital Julianny
Awdiejewej,
Filharmonia Narodowa
1 marca 2013 r.

politan Opera, a jej występy w Wiedniu czy Paryżu są oprotestowywane przez aktywistów, wypominających jej długoletnie związki z rosyjskimi kręgami władzy i entuzjazm dla separatystów w Donbasie.

Juliana Awdiejewa nie jest aż tak głośną gwiazdą, ale jej delikatnie, stale powtarzane proukraińskie gesty mają wagę dla cywilizowanego świata. W recitalu, w którym potwierdziła swoje kompetencje jako znakomita interpretatorka Lisztą i zjawiskowo podała IV sonatę Wajnera, najważniejszy był jednak Chopin. Jego utwory wypełniły całą pierwszą część wieczoru. Zwiewne mazurki op. 41, feeria nastrojów w scherzo cis-moll i barkaroli Fis-dur znalazły idealną puentę w polonezie-fantazji As-dur. A przecież na drugi bis – po wspomnianej bagatel Sylwestrowa – był jeszcze polonez As-dur. Chopinowska klamra, po której mogła być już tylko owacja na stojąco.

To dopiero przedsmak wielkich emocji. W sierpniu czeka nas XIX Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Chopin i jego Europa”, a w październiku – II Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych. Zapraszam.

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Wiele grozą

Platformie pozostał już tylko hejt

W 2008 r., występując w kabarecie Pod Egidą, potrzebowałem aktualnych tekstów satyrycznych. Ubawiła mnie wypowiedź nowego premiera Donalda Tuska, że Platforma jest partią miłości.

Tak powstała piosenka „Platforma cię kocha”. Zostałem za nią odwołany z funkcji dyrektora Domu Kultury Praga przez prezydenta z PO, której imienia nie warto przywoływać. Piosenka ta miała puentę na melodię „Niepewności” Marka Grechuty: „I tylko takie zadaje pytanie, czy to jest miłość, czy molestowanie”. Wtedy to były żarty. Te żarty szybko się skończyły.

Ruszył przemysł pogardy skierowany przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu. Donaldowi Tuskowi bliższy był prezydent Rosji, bliższa była kanclerz Niemiec niż prezydent Polski. Wolał knuć z obcymi. Obecnie przerabiamy powrót Tuska. Manewr, by on znowu stanął na czele PO, zbiegł się z atakiem hybrydowym na naszą granicę z Białorusią, a potem z napaścią ruskich bandytów na Ukrainę. Być może to przypadkowa koincydencja? Ale być może tak jak zakładano, że Ukraina upadnie w trzy dni, tak w tym samym gabinecie tliła się mrzonka, że uda się obalić rząd PiS.

Chyba coś nie wyszło, bo złość, jaką dzisiaj reprezentuje Platforma, ocieka pianą wściekliwości. To już nie jest partia, to demoniczna sekta rodem z Netfliksa, kipiąca żądzą odwetu w stylu stalinowskim. Więzienia, pręgierze, wyrzucanie z pracy... Dla kogo? Ano dla Polaków. Partia miłości przeistoczyła się ośmiogwiazdkową zbieraniną hejterów. Buduje swoją pozycję na piekielnych emocjach. Jest takie miejsce, gdzie kończy się satyra, bo więcej grozą. **✓**



Ryszard Makowski

Michał Korsun prezentuje: *Atak niemieckiego polskojęzycznego portalu na polski karabinek Grot*



rol Shutterstock, mal. prasowe

Wycinki z przeszłości

Dziś w naszym kąciuku kilka ogłoszeń matrymonialnych z 1910 r. za „Tygodnikiem Narodowym Ilustrowanym”.

Ożeni się kupiec osiadły w Krakowie, kawaler lat 36, przyjemnej powierzchowności, sympatyczny, szlachetnych zalet, z panną lub młodą wdową, Polką, katoliczką, przystojną, miłego usposobienia. Posąg wymagany. Pośrednictwo rodziny mile widziane.

Celem powiększenia znacznego interesu w wielkim mieście i spłacenia mego wspólnika szukam znajomości sympatycznej panny w wieku 18–25 lat w zamiarze matrymonialnym z majątkiem 20–30 tys. marek. Jestem dzielny kupcem, przystojnym kawalerem, średniego wzrostu i liczę lat 27.

Kawaler liczący lat 27, posiadający 8000 marek gotówki, poszukuje na tej drodze żony. Panny lub wdowy w wieku do 35 lat, posiadającej gospodarstwo, gościniec lub interes, ewentualnie gotówkę 3 do 8000 marek zechcą nadesłać zgłoszenia.

Panna, licząca lat 32, inteligentna, skromna, poszukuje dla braku znajomości na tej drodze męża. Panowie, którzy zważają nie na majątek, lecz tylko na skromność i uczciwość, zechcą swe oferty nadesłać.

(mk)



Coś mnie omija



Leszek Długosz

Zapomniana piosenka z szuflady z lat 80. Ale czy tylko?

*Ja mam tych swoich lat, powiedzmy trochę
Lecz obraz ten nie spędza jeszcze mi snu z powiek
Zielone światło jeszcze na rozstajach
I dni za krótkie jeszcze ciągle mi się zdają
I tylko czasem taka myśl przychodzi
I tylko czasem myślę, myślę sobie...*

*Coś mnie omija, coś przechodzi obok
Coś się zatracza, gubi się i gaśnie
Coś, co przemyka, szumi nieopodal
Coś, o czym myślisz „mogło by być właśnie?”
Dlaczego tu i tak w tej świata stronie?
Dlaczego głos i twarz i takie imię
Dlaczego teraz, wcześniej ani później?
Akurat z tobą, czemu nie z kimś innym?
Coś mnie omija, coś przechodzi obok
Coś się zatracza, gubi się, ucisza
Wieczorem tylko gdzieś na schodach
Znów przystaniesz
Pomyślisz: ach to już, to znów nie dzisiaj...*

*Cóż zawsze tak i widać w każdej świata stronie
– Najlepiej – tam, gdzie ciągle jeszcześmy nie byli
Z miłości wszystkich, o tych, które przeszły
O tych, co przyjdą, o tych się najwięcej śpiewa
– Na skraju lasu najpiękniej szumią zawsze drzewa
– Najpiękniej szumią na skraju lasu drzewa*

*Coś nas omija, coś przechodzi obok
Z nadzieją biegnie, z wiatrem w cień umyka
Niby coś płonie, lecz nie grzeje ognie
Niby się tańczy, niby gra muzyka
To prawie boli, wiedzieć, że możliwe
I niedotknięte raz na zawsze tracić
Na bocznych torach, gdzieś na bocznej stacji
Gdy jest gdzieś, jest, o choćby jest inaczej?
Coś nas omija, minąć przecież musi
I tu i tam, i tylko czy tak samo?
Wieczorem tylko znów na schodach
Gdzieś przystaniesz
Pomyślisz: „Przeszło?”
Może ja zostałem...?”*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Wolność w Tropikanie

Iście tropikalne aquaparki wodne – sztuczne kompleksy z wodą, egzotyczną roślinnością i atrakcjami udającymi krainy z dalekich kontynentów. Ośrodki spa niczym rajskie wyspy. Wielu Polaków nigdy wcześniej z takiej oferty nie korzystało. Za komuny nawet się to nie śniło. Może to niezła alternatywa dla tych, którzy z różnych powodów nie mogą wybrać się w dalekie, prawdziwie egzotyczne miejsca.

Nowy obszar wolności i przygody. Ucieczki od kapryśnej marcowej pogody. Ucieczka jest – w pewnym sensie – prawdziwa. I wolność też. Z tym że w pewnych, nader ściśle wyznaczonych ramach.

KARCIANA WYGODA

Papierosy i napój energetyczny kupują, płacąc kartą. Płatność gotówką często uważają za coś tak powolnie starożytnego, że nie mają potrzeby jej noszenia. Zakupy głównie online. Muzyka z serwisu Spotify, filmy z HBO, gry ze Steamu, czasem naprawdę tanie loty do cieplejszej części Europy. Ileż pozytywnych emocji!

GPS powie ci skąd-dokąd i o jakiej porze mniejszy ruch. Uber raz dwa zawiezie za nieduże pieniądze. Zegarek treningowy nie tylko policzy kroki i oceni jakość twojego snu, lecz także podtrzyma dyscyplinę w planie treningowym. Apki dietetyczne ułatwią zdrowe odżywianie. Samochód z wypożyczalni sam wezwie pomoc w razie wypadku. Apki sieci stacji benzynowych pozwolą taniej kupić paliwo.

Ogromny obszar wygody i swobody! Pod warunkiem, że na koncie masz pieniądze – ten wątek jednak dziś odpuśćmy. Przecież żyjemy w czasach dostatku i naprawdę już miliony Polaków mają sporo więcej pieniędzy, niż jest to niezbędne dla względnie godnego życia. A zresztą: podając garść danych osobowych, buty sportowe kupujesz 50 zł taniej. Korzystne – nie?

Kontakty z rówieśnikami na Facebooku, Messengerze, Instagramie, Di-



*Beztroszy, przekonani,
że są wolni, nawet nie
zauważają, że ich życiem
sterują algorytmy*

scordzie, Snapczacie. Na WhatsAppie, Twitterze, Telegramie. Itd.

Internet to wspaniała technologia – już samo surfowanie daje poczucie niebywałej swobody, ba, nawet kreatywności.

ŻADEN PROBLEM

Młodzi coraz mniej rzeczy chcą/potrafia robić analogowo. Korzystanie z technologii zwykle wymaga zakładania kont, rejestrowania się za pomocą danych osobowych, stałego bycia online. Dla młodych to żaden problem. Beztrosko zostawiają ślady cyfrowe.

Wiele nowych zachowań upowszechnia się pod hasłami ochrony planety – np. carsharing, korzystanie z rowerów miejskich albo hulajnóg.

W imię wygody – zakupy, rezerwacje biletów, wynajem samochodów – ale i ze strachu przed wykluczeniem, aż do po-

ziomu choroby FOMO. Zwłaszcza młodzi pozbywają się prywatności.

PĘTLI ZACISKANIE SIĘ

Spirala działa tak: dzięki technologiom cyfrowym masz większy zakres wolności – możesz robić i posiadać rzeczy, które w epoce sprzed ery internetu byłyby dla ciebie niedostępne. Zarazem przy okazji, często zupełnie niezauważenie, zostawiasz cyfrowe ślady. Całe mnóstwo.

Za ich pomocą już można zbudować cyfrowego sobowtóra każdego z nas – każdego konsumenta i obywatela. Model cyfrowy odślanający nasze najskrytsze pragnienia i lęki. A za pomocą takiego sobowtóra każdym można coraz skuteczniej manipulować. Zapraszać do aquaparku skrojonego na waszą kieszeń i ambicje. Prywatność znikła po drodze. A bez prywatności i wolność staje się złudzeniem.

Jest bowiem tak: korzystając z cyfrowej swobody, wyprzedajesz swoją prywatność. A gdy stajesz się dla algorytmów, sztucznej inteligencji (czytaj: dla właścicieli systemów AI) zupełnie przejrzysty, twoja wolność zamienia się w ułudę.

Ciekawa pułapka: nowe pola wolności → oddawanie prywatności → wolność skanalizowana. Co gorsze, o ile użytkownik tropikalnego aquaparku wie, że jest w sztucznym świecie, to młody bywalec świata cyfrowego myśli, że jest naprawdę wolny.

WSKAZÓWKI

Beztroszy, przekonani, że są wolni, nawet nie zauważają, że ich życiem sterują algorytmy. Dziś każdemu, komu zależy na wolności także poza Tropikaną, radzimy, by nie pozbywał się gotówki i co pewien czas robił zakupy za jej pomocą. Już niedługo może się okazać, że gotówka to jedna z tych fortect prywatności, bez której nie sposób ocalić naszej wolności.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

V Forum **w Gospodarcie.pl**

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych,
z udziałem ekspertów oraz liderów administracji i biznesu

V edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

JAK TWORZYĆ I UTRZYMAĆ DOBRE WARUNKI ROZWOJU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO POLSKI I EUROPY?

PARTNERZY
STRATEGICZNI:



PARTNERZY
GŁÓWNI:



PARTNERZY
WSPIERAJĄCY:



Więcej informacji na www.wGospodarcie.pl/sektory/forum-wgospodarcie

Zdrap party

MODA NA ZDRAPKI
JEST ZAWSZE



Rozkręć Zdrap Party
i wygraj nawet
1 000 000 zł.



GRAJ W PUNKTACH

